

W numerze świętecznym:

J. Baranowicz — J. Baranowski — Zb. Bednorz — W. Brzeska — Ppłk. dypl. W. Brzeziński — B. Danielewski — J. Dobraczyński — J. Duchnowski — K. Gołba — Zdz. Hierowski — M.A. Jaworski — Edw. Kozikowski — Miecz. Markowski — Leon Mocydlarz — E. Naganowski — A. Nawka — E. Pauksza — H. Pawlicki — Cz. Piskorski — X.W. Pyszkowski — K.A. Stokłosa — St. Strugarek — W. Szewczyk — G. Timofiejew — Al. Widera — Kaz. Wolanowski — M. Wolczacka. — Dodatek „Mały Osadnik” — Numer bogato ilustrowany.

POLSKA ZACHODNIA

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

ROK II

POZNAŃ, BOŻE NARODZENIE 1946 R.

NR 50-51 (72-73)

X. WACŁAW PYSZKOWSKI, PPLK
Z-ca Generalnego Dziekana W. P.

NA PRZEŁOMIE WIEKÓW

Kończy się od Narodzenia Pańskiego rok 1946, stajemy na progu roku 1947. Ustał przeraźliwy świst bomb niosący śmierć i zniszczenie, przestały grzmieć złowrogie działa, zamilkły groźne kulomioty i karabiny.

Jeszcze nie wszędzie uspokoiły się rozruchane fale namiętności ludzkiej, jeszcze na drogach i po lasach padały strzały, jeszcze na horyzontach widać skłębione chmury, lecz oddalają się one, słońce połoju od półtora roku zajaśniało nad światem i zwyciężyło torując sobie drogę do serc i do dusz ludzkich.

Rok 1946 był już rokiem pokoju. Przestała ręka kroknąć zapisywać w nim miejsca walk i bitew, to skrzydlate pióro cywilnych i wojskowych nie pisały w nim strasznych bilansów lat codopiero ich. Niezliczone szeregi i grobów, a w nich dużo kochanych kolegów, braci i przyjaciół tak bezlitośnie zabitych, tak okrutnie pomordowanych. Tyle milionów matek oplakujących swoich synów, tyle milionów dzieci oplakujących swoich ojców, swoich rodziców. Tak dużo żon oplakujących swoich mężów, tyle siostr i braci oplakujących swoje rodzeństwo. Taki ogrom dobytku ludzkiego zniszczony bezpowrotnie, tak dużo zdeptanych ognisk domowych, tyle złamanego szczęścia ludzkiego. Miliony ludzi okaleczonych, tysiące oślepiłych, którzy nigdy już nie zobaczą piękna swego kraju, dla którego tyle cierpieli, nigdy już nie zobaczą ukochanych twarzy swoich bliskich i swojej rodziny.

Przez Polskę i przez świat cały przeszła burza potężna i wstrząs ogromny na miarę wiekopomych zmagania rasowych i międzykontynentalnych walk pomiędzy starymi Grekami a Persami, pomiędzy Rzymianami a Fenicjanami, pomiędzy Hunami a cywilizacją zachodnią, pomiędzy islamem a chrześcijaństwem, pomiędzy Azją a Europą.

Tym razem ogniskiem potwornej erupcji, źródłem zbrodni i hańby dwudziestego wieku stała się centralna Europa; stały się niemieckie Niemcy i faszystowskie Włochy. Przestroga krwawa z lat 1914/18 nie wystarczyła, świat jeszcze raz musiał przejść przez drugi i gorszy potop jęków, łez i krwi. Bilans bolesny, straszny i wstrząsający.

Wstrząs potężny sięgnął do samych posad struktury narodów, sięgnął do samego dna duszy ludz-

kiej. Pod naporem wyładowujących się sił ludzkich łamały się granice państw, pękały wiekami ustalone formy i węzły społeczne. Świat cały stanął na przełomie wie-

ków, a wraz z nim na przełomie wieków stanęła Polska.

Największy ciężar furii teutońskiej i strat wojennych spadł na narody słowiańskie, na Polskę, na

Rosję i na Jugosławię. Kiedy niemiecki sąsiad nasz od dziesiąt k lat konsolidował się politycznie, gospodarczo i militarnie, my Słowianie według starej i nieszczęsnej

tradycji naszej byliśmy ze sobą zwarzeni i skłóceni. Gdy Niemcy napadli Czechosłowację, my poszliśmy po nasze pretensje do napadniętych sąsiadów słowiańskich, nie bacząc na to, że ten fatalny błąd polityczny może się z kolei na nas zemścić.

Powtórzyły się u nas tragiczne błędy przeszłości i powtórzył się wielki błąd Bolesława Wielkiego. Bolesław Chrobry brał udział w wojnie przeciwko Związkowi Weleickiemu po stronie Niemców i Słowianie zachodni Bolesławowi zapomnieć tego nie mogli. W walkach jego z Niemcami do Słowian stawało po stronie Niemców przeciwko „zdrajcy” polskiemu. Jak przez wieki całe Słowianie wciąż coś dzieliło i wciąż Niemcy z tego wyciągali korzyści, tak i w dwudziestym wieku nieporozumieniem swoim i niezdolnością zapomnienia sobie uraż i różnic ułatwiliśmy Niemcom rozgromienie nasze i wykonanie na nas bezwzględny i najbrutalniejszego wyroku „ausrotten”. Wspólna dopiero klęska i wspólne cierpienia doprowadziły nas do złączenia swoich sił, do sojuszu wojskowego.

Sytuacja nasza w wieku XX-tym podobna jest do sytuacji, w jakiej znalazł się nasz naród w w. XIV. Napierani brutalną siłą niemieckich Krzyżaków, a będąc równocześnie w nieporozumieniu z sąsiednim państwem litewsko-ruskim mieliśmy wybór pomiędzy poddaniem się wpływom niemieckim i udziałem wraz z nimi w wytępieniu Litwinów, albo połączeniem się z pogańską Litwą celem stawienia czoła Niemcom i odrzucenia ich na zachód. Instynkt narodowy wybrał alternatywę drugą, stworzył pomost pomiędzy Europą chrześcijańską a Litwą i obłudnym wyznawcą Krzyża, stworzył pamiętny Grunwald. Historia powiada, że nie umieliśmy wówczas wyzyskać zwycięstwa pod Grunwaldem, lecz kto głębiej umiał wchodzić w przyczyny tego błędu, ten zrozumiał, dla czego po tak wspaniałym zwycięstwie przegraliśmy wówczas pokój. Nie umieli Polacy Litwinom i nie umieli Litwini Polakom zapomnieć swoich dawnych porachunków i dla tego tyle mieliśmy z Litwą unii, bo tak dużo wciąż wracało dys-unii.

Sojusz z Rosją, porozumienie terytorialne z Litwą i Rusią dało nam nie tylko nowy Grunwald, lecz zwycięskie sztandary słowiańskie zawiodły nas aż do Berlina i nad Łabę i na ziemię dawne Związ-



ku Weleckiego. Oddawszy wschód nasz w ręce sojuszników słowiańskich i litewskich, z ich pomocą wróciliśmy na dawne ziemie nasze nad Odrą, nad Bałtykiem i Nisą.

Dla Polski i dla świata słowiańskiego złożone zostały zręby niezmiernie doniosłej i wielkiej w możliwościach swoich przyszłości. Jak w wieku XIV zachodzi jednak niemniej niż wówczas ważne pytanie, czy wygrawszy wielką wojnę, potrafimy wygrać także pokój. Czy potrafimy w rodzinie naszej słowiańskiej zapomnieć, co nas dzieliło, czy potrafimy utrzymać zawarty sojusz i pogłębiać go w coraz głębszą przyjaźń i dopomożemy do rozładowania naprężeń i sprzeczności, czy też dopuścimy do oziębienia naszych stosunków słowiańskich i do dys-unii nawiązanych dobrych stosunków.

Podniesienie tego zagadnienia uświadamia nam, że stoimy na przełomie wieków nie tylko pod względem orientacji narodowej, lecz także i w silniejszym bodaj stopniu pod względem społecznym i gospodarczym.

W Rosji dokonał się blisko trzydzieści lat temu rewolucyjny przewrót stosunków wewnętrznych. Będąc przed tym pod względem społecznym najbardziej zaofałym krajem w Europie, Rosja stanęła na czele najbardziej w demokracji konsekwentnej, zaawansowanych krajów na świecie. Stała się pierwszym państwem na przestrzeni tysięcy lat, które rewolucję społeczną nie tylko przeprowadziło, lecz utrzymało do tej pory i mimo silne uderzenia zewnętrzne obroniło. Zasady demokracji rosyjskiej nie są pochodzenia rosyjskiego, lecz zachodnio-europejskiego i wyznawców swoich mają wciąż na zachodzie Europy i na całym świecie. Nigdzie jednak tak konsekwentnie i tak zupełnie nie zostały wprowadzone w życie, jak w Rosji. Rewolucja rosyjska była eksplozją silną, jak każda eksplozja spowodowana nierozumnym gromadzeniem materiałów wybuchowych, nie stosowaniem należytych środków zapobiegawczych i wentylów bezpieczeństwa.

Jeśli idzie o tego rodzaju eksplozje organizmów społecznych, gospodarczych i politycznych, wolno i trzeba nam przyjąć, że nikt i nigdy nie wywoływał i nie przeprowadził żadnej rewolucji wśród ludzi szczęśliwych, zadowolonych i spajanych węzłami serca, miłości i sprawiedliwości. Gdzie jednakże jedni mają prawo, a drudzy nie mają, gdzie jedni są posiadzicielami majątków różnych, a drudzy są wydziedziczeni, gdzie jedni wynoszą się wciąż nad drugich i wciąż tym mniejszym okazują swoją wyższość i swoje lekceważenie i swoją wzdargę, tam u pokrzywdzonych powstaje żal, a następnie gniew i wreszcie rozpaczliwa namiętność. Jeśli w takich społeczeństwach wprowadza się przy tym równość wszystkich jego członków w obowiązkach wobec państwa i narodu, jeśli w równym stopniu żąda się od wszystkich największego podatku obywatelskiego w postaci życia i krwi, jeśli wprowadza się gdzieś powszechną służbę wojskową i w najwyższej hierarchii obowiązków wobec całości państwa i narodu ustanawia, innymi słowy, demokrację obowiązków, wtedy trzeba w życiu wprowadzić demokrację spraw i to nie tylko demokrację

PREZYDENT BIERUT

Zryw patriotyczny całego Narodu

Wśród licznych najpoważniejszych zagadnień państwowych i ogólnonarodowych sprawa Ziem Odzyskanych zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Nie będzie bowiem żadnej przesady w stwierdzeniu, że naród polski, że całe uczciwe, patriotyczne społeczeństwo polskie żyje dziś pod znakiem jak najszybszego zagospodarowania Ziem Odzyskanych, jak najściślej powiązania ich z Macierzą, że wokół zagadnień związanych z Ziemiami Odzyskanymi jednoczą się wszyscy Polacy, którym szczęśliwa przyszłość naszej ojczyzny leży na sercu.

Ziemie, które w ciągu wieków były terenem najbardziej bezwzględnej akcji germanizacyjnej, dziś w niespełna 2 lata po wojnie zamieszkałe są przez 5 milionów Polaków.

Ziemie Odzyskane wywalczyliśmy bohaterskim wysiłkiem żołnierza polskiego, który w swym zwycięskim marszu u boku sojusznicznych wojsk radzieckich doszedł aż do Berlina, wywalczyliśmy ją krwią walczących o naszą wolność i niepodległość najlepszych synów Polski. Ale nie wolno nam też zapomnieć, że ziemie nasze po Odrę i Nisę wywalczyliśmy, wyrwaliśmy z rąk odwiecznego wroga również dzięki dalekowzroczności, dzięki odwadze naszej myśli politycznej, myśli która zdecydowanie zerwała ze zgubnymi dla Polski tradycjami politycznymi, która skierowała naród na jedynie słuszną drogę prowadzącą do ustalenia granic państwa na Odrze i Nisie.

Odzyskanie naszych ziem zachodnich stworzyło dla narodu polskiego wspaniałe perspektywy rozwojowe, a naszemu pokoleniu dało wielką historyczną szansę, której nie wolno nam zmarnować.

Czy potrafimy wykorzystać te możliwości?

Nasze osiągnięcia pierwszego okresu po wyzwoleniu — okresu najeżonego trudnościami, zdawałoby się nie do przewyżczenia, napawają otuchą. Świadczą one o nieprzebranej energii naszego narodu, świadczą o bohaterstwie i wielkiej ofiarności — w pierwszym rządzie mas pracujących Polski — świadczą o zrozumieniu tych wielkich zadań, jakie postawiła przed nami historia.

Ale nie wystarczy wysiłku 5 milionów osiadłych na zachodzie kraju ludzi, by Ziemie Odzyskane stały się dla Polski tym, czym być mogą i czym być powinny. Dla zupełnego wykorzystania wszystkich nieprzebranych możliwości Ziem Odzyskanych, dla uczynienia z nich centrum siły gospodarczej naszego kraju, dla przekształcenia ich w nasz bastion obronny na zachodzie konieczny jest wielki zbiorowy wysiłek całego narodu polskiego.

Zagospodarowanie Ziem Odzyskanych wymaga wielkich środków finansowych — ten fakt nie budzi u nikogo trzeźwo patrzącego żadnych wątpliwości. Nie ulega również wątpliwości, że środków tych nie może starczyć tylko skarbowi państwa, że zwykłych jego wpływów. Te właśnie okoliczności skłoniły Rząd Jedności Narodowej na zagospodarowanie Ziem Odzyskanych.

Wpłacając Daninę Narodową w wyznaczonych kwotach i terminach społeczeństwo polskie raz jeszcze dowodni, że pokojowymi, twórczymi środkami potrafi zabezpieczyć i utrwalić to, co wywalczył żołnierz w krwawym, znojmym trudzie. Danina jest powszechna tak jak powszechna jest idea zagospodarowania Ziem Odzyskanych i najszybszego zespolenia ich z Macierzą. Obejmuje ona wszystkich zarobkujących obywateli polskich i wszystkie sektory gospodarki narodowej. W demokratycznym państwie demokratyczny musi być i wymiar Daniny.

Każdy szczery i rzetelny Polak winien propagować ideę Daniny Narodowej, mobilizować wokół tej idei całe społeczeństwo, sprawić by Danina Narodowa stała się wielkim, patriotycznym zrywem całego Narodu polskiego, wielką potężną manifestacją polskości Ziem Odzyskanych i ich nierozwiązalnej łączności z Macierzą!

Z przemówienia prezydenta Bieruta we Wrocławiu w dniu 2. 12. 46.

WICEPREMIER GOMUŁKA

Niema Polski bez Ziem Odzyskanych

Ziemie Odzyskane stanowią podstawowy warunek umocnienia niepodległości i suwerenności Polski. Bez Ziem Odzyskanych Polska byłaby podobna do kadłuba, pozbawionego rąk i nóg. A oderwanie od Polski Śląska Dolnego znaczyłoby to samo, co dla człowieka amputacja obydwu nóg. Ziemie odzyskane posiadają dla życia i rozwoju Polski takie same znaczenie, jak ręce i nogi dla życia i rozwoju człowieka. Dlatego zagadnienie scalenia Ziem Odzyskanych z Macierzą postawiliśmy na pierwszym miejscu w hierarchii zadań państwa i narodu, dlatego rozpisaliśmy Daninę Narodową na ich zagospodarowanie.

Ziemie Odzyskane powróciły do Polski po wielu wiekach oderwania. Powróciły na fali straszliwej burzy dziejowej, jaką była II-ga wojna światowa. Powrót tych ziem do Macierzy stoi w ścisłym związku z obecnymi granicami Polski na Wschodzie, które — jak wiadomo — wytyczone zostały przez trzy mocarstwa światowe Anglię, Stany Zjednoczone i Związek Radziecki jeszcze wówczas, kiedy interesy Polski reprezentował oficjalnie rząd emigracyjny w Londynie.

Na ostatniej konferencji trzech wielkich mocarstw, odbytej w Poczdamie po złamaniu Niemiec hitlerowskich, przy usilnych zabiegach rządu polskiego, popartych przez Rząd Związku Radzieckiego, ustalone zostały zgodnie przez wszystkie trzy mocarstwa granice Polski na Zachodzie i północy tak, jak biegnie ona obecnie.

Niedługo jednak po konferencji poczdamskiej w Anglii i Stanach Zjednoczonych podniosły się głosy, początkowo pojedyncze i nieoficjalne, skierowane przeciwko naszym granicom zachodnim. Ostatnio do głosów tych przyłączyli się oficjalni przedstawiciele rządów Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych w osobach pp. Byrnesa i Bevina. Zakwestionowali oni trwałość obecnych granic Polski na Zachodzie mimo, że sami brali udział w ich ustaleniu.

Nowa Polska chce być i będzie państwem silnym. Chce zabezpieczyć wszystkim swoim obywatelom pracę i dostatnie życie. **NIE CHCEMY BYĆ WIĘCEJ ZALEŻNI OD OBCYCH.** Nie chcemy być państwem kadłubowym, ani inwalidzkim. Mamy takie same prawa, do życia i rozwoju, jak Anglicy, Amerykanie, Francuzi, czy inne narody. **NIE MOŻEMY MIEĆ GORSZYCH PRAW DO ŻYCIA, JAK MAJĄ NIEMCY.** Przyszłość Państwa i Narodu Polskiego, przyszłość nasza i następnych pokoleń Polski leży tutaj — na Ziemach Odzyskanych, w tej kolebce Polski piastowskiej.

Na próby podważania naszych praw do Ziem Odzyskanych, naszych granic na Nisie Łużyckiej, Odrze i Bałtyku mało jest odpowiedzi głosowaniem ludowym. Należy odpowiedzieć pełnym zagospodarowaniem tych ziem. Należy zaościć wszystkie zagony tych ziem, tak obficie zroszone krwią żołnierza Wojska Polskiego i powstańca śląskiego. Należy pracą i wysiłkiem całego narodu tchnąć życie w ruiny fabryk i zakładów przemysłowych. Z pracą tą nie możemy czekać na lepsze czasy. Nie wolno biec klusem wówczas, gdy pozostaliśmy w tyle, a pragniemy, jeśli już nie prześcignąć, to przynajmniej dorównać innym narodom. Na próby podważania naszych granic przez p. Bevina, który wyraża wątpliwość, czy Polska potrafi zagospodarować Ziemie Odzyskane i rzekomo dlatego kwestionuje nasze granice zachodnie, odpowiadamy daniną narodową na ich pełne zagospodarowanie. Robimy to nie dlatego, aby przekonać obcych, którzy i tak widzą olbrzymi dotychczasowy wkład pracy narodu na Ziemach Odzyskanych i wyrażają nieraz podziw dla naszego wysiłku i jego rezultatów. **NIE CZYJES WĄTPLIWOŚCI PRAGNIEMY ROZBIĆ, LECZ DZIAŁAMY WE WŁASNYM, GŁĘBOKO ZROZUMIAŁYM PAŃSTWOWYM I NARODOWYM INTERESIE.**

„NAWET GDYBY PRZYSZŁO SOBIE OD UST ODJAĆ ZE SKAPEJ PORCJI — TO DANINĘ NARODOWĄ NA ZAGOSPODAROWANIE ZIEM ODZYSKANYCH NALEŻY UIŚCIĆ. DANINA NARODOWA JEST BOWIEM WKŁADEM FUNDAMENTALNYM W BUDOWĘ NOWEJ POLSKI I DLATEGO ZAPŁACIĆ JĄ WINIEN KAŻDY POLAK.”

Z przemówienia ministra Ziem Odzyskanych wicepremiera Gomułki we Wrocławiu w dniu 2. 12. 46.

praw politycznych, lecz także demokrację praw społecznych i gospodarczych.

„Godzien jest robotnik zapłaty swojej”, powiedział Chrystus i „miłujcie się wzajemnie, jak i ja was społecznie umiłowalem”. W tych słowach mieści się głęboki sens sprawiedliwości wyrównawczej chrześcijaństwa i z tego rozumienia ducha nauki Chrystusowej wzrosły piękne w swoich zasadach Encykliki „Rarum Novarum” i „Quadragesimum anno”.

Lecz chrześcijanom, należącym do mas posiadających, tak ciężko było rozstawać się ze swoimi majątkami, swoimi prawami społecznymi, ze swoimi przywilejami. Uznawali zasadę, głoszoną przez Chrystusa i głoszoną przez Namiestników Chrystusowych, lecz wykonanie ich wstrzymywali, odkładali „na później”. Chętnie oddawali innym swoje obowiązki i dzielili się nimi, prawami zaś dzielić się nie chcieli.

Lud wobec tego sam sięgał po swoje prawa i czynił to na swój sposób, przy sprzyjających mu warunkach i okolicznościach, szczególnie w czasie wojen, czy po wojnach, gdy odczuwał najbardziej ciężar gniojących go obowiązków, a równocześnie niesprawiedliwość otrzymywanej sprawiedliwości wyrównawczej.

Wojny światowe, które tak ciężkie obowiązki i ofiary równo rozłożyły na wszystkich obywateli państwa, musiały skończyć się wielkimi i głęboko sięgającymi reformami społecznymi i gospodarczymi, albo — rewolucjami.

Prawo miłości i sprawiedliwości chrześcijańskiej obowiązuje nas wszystkich, nie tylko lud nasz i tych ludzi maluczkich, lecz także tych wielkich właścicieli majątków materialnych i duchowych. „Wiarą bez uczynków martwa jest” — mówi św. Apostoł — a drzewo, które owoców nie rodzi, będzie ścięte i wrzucone w ogień”.

Dotychczas naród polski, choć krwawa była jego historia, nie przeżywał nigdy rewolucji społecznej, bo znaleźli się zawsze u nas ludzie tacy, jak Stefan Batory, Staszic, Kołłątaj, Kościuszko i in., którzy potrafili w głębokim rozumieniu ducha chrześcijańskiego, przy wydatnej pomocy duchowieństwa polskiego, wprowadzać w odpowiedniej chwili, odpowiednie reformy prawne i społeczne.

Stoimy dzisiaj w dziejach narodu naszego i w dziejach świata na przełomie wieków. Stoimy wobec wielkiej misji dziejowej pogodzenia starego świata z nowymi nurtami, którym słuszności i sprawiedliwości w najgłębszych ich zasadach jako chrześcijanie odmówić nie możemy.

Od nas, od naszej dobrej woli i od naszego rozumienia wielkiej idei Chrystusowej, zależy, czy rok 1947 przyniesie nam odprężenie sił nieprzyjaznych, drzemających w duszach naszych i w duszach narodów i społeczeństw, czy też przyniesie narodzenie nowych materiałów wybuchowych i niszczących.

Pokój i miłość przynosiło światu Narodzenie Chrystusa, pokój u pragniony i miłość wśród naszego narodu i wśród narodów innych niech przyniesie nam wielkie święto Bożego Narodzenia.

Niech będzie „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli”.

Gdy mówi się o wkładzie Wojska Polskiego w walce o Ziemię Odzyskaną, nie można nie wspomnieć o roli całego Narodu Polskiego, który już zimą 1939 r. swą niezłomną wolą przeciwstawienia się wrogowi i wytrwania w tej walce położył podwaliny dalszych dziejów tych zmagają.

Równocześnie jednak niepodobna nie wrócić pamięcią do przedwzrzesniowej sytuacji Polski.

Sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem polityka „równowagi“ wobec sąsiadów, ówczesnego Rządu Polskiego i szukanie przez sojusze oparcia na mocarstwach zachodnich już a priori postawiły Polskę wobec grozy klęski. Bówiem nieprzygotowanie do wojny zarówno Anglii jak i Francji było ogólnie znane, a dla Niemców, gotowych pod względem militarnym, był ten fakt momentem ośmielającym ich do uderzenia.

Polityka ta zmusiła słabą pod względem potencjału wojskowego Polskę do prowadzenia wojny w osamotnieniu. Nie mogąc liczyć na pomoc mocarstw zachodnich, nie wyciągnął rząd prostego a najpomyślniejszego wniosku, że należy szukać możliwości współdziałania ze Związkiem Radzieckim; ba — takie koncepcje odrzucono w ogóle.

Zgubne drogi takiej polityki zrozumiał jeden z pierwszych Gen. Wł. Sikorski i wyciągnawszy z tragicznej nauki realne wnioski, dążył do porozumienia z Z. S. R. R. — przełamując w swoim otoczeniu sprzeciwy i niechęć do tego porozumienia — oraz do stworzenia u boku potężnego sojusznika nowego Wojska Polskiego.

W lipcu 1941 r. zawarty został układ, a wkrótce potem podpisano umowę wojskową.

Niestety — tragiczny splot wydarzeń nie zezwolił Sikorskiemu na zrealizowanie jego dalekosiężnych, a śmiałych ze względu na wpojone wówczas w oba narody jady niechęci — zamierzeń i przewidujących planów.

HISTORYCZNA DATA

Zalążki jednak tych myśli kielkowały w umysłach roztropnych Polaków i podjęte zostały przez Związek Patriotów Polskich w Rosji starania, które doprowadziły do stworzenia ze zgodą Najwyższej Rady Z. S. R. R. dnia 9 maja 1943 r. zaczątków Wojska Polskiego.

Data ta jest historyczną datą rozpoczęcia formowania 1 dywizji

PPŁK. DYPL. WITOLD BRZEZIŃSKI

Wkład

WOJSKA POLSKIEGO

4 w walce

o Ziemię Odzyskaną

piechoty im. T. Kościuszki. Duży napływ Polaków, znajdujących się na emigracji w Rosji, umożliwia formowanie nowych jednostek wojskowych, przed którymi otwarły się nowe perspek-

ty, kilka dywizji piechoty, kilka brygad artylerii i saperów, wojska pancerno-motorowe, specjalne, jednostki pomocnicze i służby. Wszystkie nowo utworzone jednostki W. P. otrzymały nowocze-

obronę Niemców na przedmościu Praga.

Ciężki okres od października 1944 do połowy stycznia 1945 r. przeżywa 1 Armia W. P. w bezpośredniej styczności ze stolicą, nie mrogąc jej jednak, niestety, oswobodzić. Armie niemieckie, rozbite na wschodzie i już z wydatą sobie przez wojska radzieckie iniejętąwa działań były jednak jeszcze tak silne, że wykorzystując zbytnie wydłużenie radzieckich linii komunikacyjnych, potrafiły zatrzymać się i oprzeć na Wiśle.

Skoncentrowanie świeżych jednostek radzieckich, podwiezienie amunicji itd. wymagało czasu. W okresie tym 1 Armia W. P. wstąpiła się kilkoma lokalnymi działaniami na północ od Pragi i na Jabłonnę, zacieśniając coraz bardziej przedmoście wroga w widłach rzek Wisły i Narwi, stwarzając tym samym podstawy do przyszłych działań przełamujących.

Druzgocąca ofensywa radziecka, rozpoczęta w połowie stycznia 1945 r. z linii Wisły doprowadziła do załamania równowagi frontu niemieckiego na Wiśle i przeniosła działania na zachód. Wraz z armiami radzieckimi ruszyła i 1 Armia W. P. w pośpiechu za wrogiem, pędząc go na jego własne ziemie.

PRZEŁAMANIE WAŁU POMORSKIEGO

Gdy wojska polsko-radzieckie przekroczyły dawną polsko-niemiecką granicę państwową opór Niemców zaczął przybierać na sile i stał się szczególnie mocny lecz już bezskuteczny, w rejonach Flederborn — Jastrowie — Złotów, a więc na przedpolu ostatniej przed Odrą niemieckiej linii oporu na tzw. „Wale Pomorskim“.

Przełamanie tej przeszkody było najpoważniejszą operacją 1 Armii W. P. Trwała ona do połowy lutego. W szeregu ciężkich, lecz zwycięskich walk obalony został system silnych i zdawna przygotowanych fortyfikacji, przebiegających od Szczecinka przez Nadarzyce, Wałcz, opartych na jeziorach, bagnach i lasach, a pozamykanych na wąskich przesmykach schronami żelazo - betonowymi, okopami, przeszkodami przeciwpancernymi i minami. Pomyślnie tej bronili wyborowe jednostki S. S. i oddziały sformowane ze szkół oficerskich.

Zajęto szereg miast, zdobyto bogaty sprzęt wojenny i wzięto jeńców.

Ofensywa do morza rozpoczęła po całkowitym zdobyciu „Wału Pomorskiego“ dnia 1. 3. 1945 r. doprowadza do zajęcia Drawska, Czaplina, Złocińca, Połczyna, Świbodnicy i Gryfic, skąd działania polskie rozpostrzeniają się wachlarzowo na Kołobrzeg, Gdynię, Gdańsk i na Odrę.

Dnia 18. 3. stary gród słowiański Kołobrzeg został zdobyty i po raz pierwszy w tej wojnie podniesiono nad portem morskim przywróconym Polsce — flagę narodową.

Wydzielona z 1 Armii W. P. I Brygada Pancerna im. Bohaterów Westerplatte walczy w ramach pancерnej armii radzieckiej o Wejherowo — Redę — Gdynię i Gdańsk od 12. 3. do 28. 3.

WILHELM SZEWCZYK

Pozdrowienie Odrze

*Rzeko, nową historią okryta,
nowym świtem poczęta u źródła —
dziś za tobą kroczy Rzeczypospolita
w morskich kąpiach się kudłach.*

*Wiarą miast jak kolumnami wsparty
strumieniu, wyniesiony nad Śląsk,
plyń nad czołem naszym i zaszum,
pergaminom poczerńniałym klnąc,
historią niezatarty.*

*Któż to ogniem gwiazd niemieckich gasił
twój szum lecący do sosen?
Tys uwita z tych samych pierścieni
jak Wisła i jak San złotousty i krewki Dunajec
i tak samo się dno twoje spieni,
gdy je karabinem poruszyć jak wiosłem.*

*Orędowniczko nasza na brzegu szczecińskim,
w morze pieśń ta falą modrą chlusta,
gdzie opolskie kamyczki, ostre jak pociski,
podpływają pod morza lazuruwe usta.*

*U źródeł sosny ze snu, dym spała się w kiście,
miasta u ramion wiszą twarde, całe w zbroi —
witam dziś falę Odry, co w snach polskich wyschło
wonnym palmowym pokojem.*

*Porusza się na chmurze niespokojny wróg.
Gwałt niech się wiarą odciska!
Tu nad rzeką stanie mego syna
pierwsza wolna kołyska.*

1945.

tywy dalszej walki z odwiecznym wrogiem.

Wojsko Polskie powiększa się wkrótce do jednego korpusu (1 K. W. P.), a w rok później rozrasta się w Armie (1 A. W. P.), obejmu-

jącą broń, sprzęt, ekwipunek oraz kadre instruktorów i dowódców.

Wojsko Polskie w Z. S. R. R. nie ościagało się w spełnieniu swego zadania i obowiązku wobec Ojczyzny i wobec Wielkiego Sprzymierzeńca, który posiadał wszelkie warunki doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca. Nieustanne i niezłomne pragnienie walki z wrogiem sprawia, że natychmiast po osiągnięciu gotowości bojowej ruszyła 1 dyw. piech., by wraz z 33 Armią Radziecką pod miasteczkiem Lenino stoczyć swój pierwszy zwycięski bój z Niemcami w dn. 12. i 13. 10. 43 r.

Bitwa ta była logicznym następstwem deklaracji ideowej Związku Patriotów Polskich. Żołnierz Polski po raz pierwszy od setek lat walczył w przyjaźni z bratnimi żołnierzem słowiańskim przeciwko wspólnemu wrogowi. Właśnie dlatego polityczne znaczenie tej bitwy, w której młode wojsko polskie wykazało od razu swą dzielność, jest większe nawet, niż jej znaczenie wojskowe.

Ofiara krwi polskiej, przelanej wspólnie z rosyjską, nie poszła na marne — scementowała ona przyjaźń oraz braterstwo broni Polaków i Narodu Radzieckiego.

W lipcu 1944 r. rusza Pierwsza Armia W. P. do Polski, z rejonu Kiwerce w kierunku na wyęsknioną Warszawę. W ramach armii radzieckich i w ścisłym z nimi współdziałaniu walczą jednostki polskie pod Deblinem i Puławami, później pod Warką, gdzie utrzymują przez długi czas przedmoście, groźne operacyjnie dla armii niemieckiej, by w dn. 10 do 14 września 1944 r. zlikwidować

WALKI O BERLIN

W pierwszej połowie kwietnia 1945 r. Armia Czerwona przystąpiła do zadania ostatecznego ciosu Niemcom w ich własnym kraju. Działania zaczepne rozpoczęły się od przełamania pozycji obronnej na Odrze, a ostatecznym celem było otoczenie Berlina oraz połączenie się z posuwającymi się od zachodu armiami sprzymierzonymi. 1 Armia W. P. w operacji tej przeprowadzona została w rejonie Kostrzyna i w ścisłej łączności z sąsiadami uderzyła, by pod Wrizen doprowadzić do załamania obrony niemieckiej.

Posuwając się dalej na zachód likwidowała beznadziejne już próby oporu niemieckiego na kanale Hohenzollernów, a potem na rzece Haweli, by w dniu 4 maja połączyć się na wschodnim brzegu Łaby z oddziałami armii amerykańskiej.

Najstarsza część Armii Polskiej 1 Dywizja Polska im. T. Kościuszki wraz z II Brygadą Artylerii została wydzielona do współdziałania w walce o Berlin, gdzie jednostki polskie opanowały Instytut Techniczny, Tiergarten, 6 fabryk, 4 stacje kolei podziemnej i 36 bloków domów.

KRWAWY BOJE NAD NISĄ

Z chwilą rozpoczęcia działań zaczepnych z Wisły w styczniu 1945 r. 2 Armia i 1 Korpus Pancerny W. P. z rejonu koncentracji podażyły za wojskami niemieckimi nad Nisą, która w dwudniowych ciężkich walkach sforsowała i posunęły się w pobliże Drezn.

Niemcy podjęli rozpaczliwą próbę zaczepnych działań odciażających i uderzyli w rej. Zgorzelic dwoma dywizjami pancernymi i kilkoma piechoty na tyły 52 armii radzieckiej, działającej na południu od 2 A. W. P.

18 kwietnia dotarli do lewego skrzydła polskiego i, uderzając na północ, starali się rozbić 2 Armię na dwie części. Niezmiernie krwawe boje trwały kilka dni, w których położenie 2 Armii było bardzo ciężkie. Wreszcie krytyczną sytuacją została opanowana i w maju podjęła 2 Armia ponowne działania zaczepne w kierunku południowym, które doprowadziły czołowe oddziały armii do m. Mielnik położonej o 30 km na północ od Pragi Czeskiej. W tym rejonie zastał 2 Armię koniec wojny.

Uwieńczona spełnieniem podjętego zadania ofiarą z życia i krwi młodzieńczej nie skapionej przez synów Polski w walce o naszą odwieczną naszą ziemię — to pierwszy „wkład“ Odrodzonego Wojska Polskiego w Ziemię Odzyskaną.

Za nim idzie konsekwentnie konieczność strzeżenia tych ziem — drugi więc z kolei „wkład“ — to wojsko, czuwające na ziemiach zachodnich.

Nie na tym kończy się rola Żołnierza Polskiego. Wie on, że trzeba było zdobyć, trzeba strzec, lecz i odbudowywać należy kraj ojczysty. Więc daje żołnierz „wkład“ trzeci: pomaga on w uprawie ziemi, nasiąkniętej od długich, długich lat łzami ciemionych przez Niemców Braci, nasiąkniętej krwią walk o nią — zaciera ślady naleciałości germańskich i współpracuje przy tworzeniu wielkiej świetlanej przyszłości Polski.



Marsz. Rola-Zymierski i gen. dywizji Spychalski obserwują walki uliczne w Berlinie



Generalicja polska przed Bramą Brandenburską w dniu zdobycia Berlina

Bezczelny list Niemki z Dortmundu

„Niemcy nie przegrały wojny” w angielskiej strefie okupacyjnej

Dużo jest w społeczeństwie polskim jednostek, które nie potrafią patrzeć krytycznie na to, co się dzieje w okupowanych Niemczech. Nie dają wiary głosom, które ostrzegają, że Niemcy są już na drodze do rekonstrukcji

chodnie (oczywiście przy pomocy swych opiekunów). Nadzieje ich sięgają już obecnie, półtora roku po klęsce, do tego, że Herbert Waldschmidt ma już wkrótce znów wyruszyć na łodzi podwodnej, aby „napotkać” na polskich

wicielem jakiegoś samozwańczego „Danziger Komitee”, reprezentującego interesy Gdańska wobec Anglików!

Dla kompletnego zrozumienia treści listu, wyjaśniamy, że Han-

cie o sobie znaku życia. O śmierci matki dowiedzieliśmy się od ciotki Cille. Oczywiście nie wiedzieliście adresu babci, ale Hansi znał adres ciotki Hilidy w Schweringu i mój adres w Sauerlandzie

Po uzyskaniu przez Herberta dobrego stanowiska w roli zarządcy magazynu u swego wujka w Dortmundzie — zamieszkujemy wśród gruzów Dortmundu wraz z Lüttenami. Dzięki memu talentowi organizacyjnemu nasze miesz-

szkanie jest piękne i miłe. Obecnie pozostanę sama z dzieckiem, ponieważ Herbert będzie znów tym, czym był dawniej.

My, wszyscy, uciekinierzy ze Wschodu, a jest nas około 6 i pół miliona, mamy nadzieję i wiarę w sprawiedliwość Bożą, że nasza ojczyzna będzie znowu wolna...

Za wyjątkiem ciotki Trudy je-

ojeździe. Gdyby nie wielka tęsknota, która pali nasze serca, byłabym szczęśliwa, gdyż moje mieszkanie jest nad wyraz piękne...

Prawie wszyscy dawni znajomi, koledzy i moi szefowie, przebywają na terenie angielskiej okupacji, przeważnie w Lubece. Mój szef, K. M. Bens, pracuje w „Gdańskim Komitecie” („Danziger Komitee”) i reprezentuje u Anglików interesy Gdańska. Jest dla nas zupełnie jasne, że z rzeczy, które u nas w domu pozostały, nie nie otrzymamy. My jednak dorabiamy się na nowo, a Niemcy znani są ze swej nieugiętości i pracowitości, mimo, że wyrzucono ich z ojczyzny jak zbrodniarzy. Jak brutalnie to się odbyło! Dzięki Bogu, że jesteśmy teraz w strefie angielskiej. Matka twierdzi, że gdyby wiedział, jak dobrze jest w strefie angielskiej, to wcześniej opuściłaby Polskę...

Czy Hansi jest w marynarce? Bo on i Alły tak zamierzali. Me-

że napotkali na Herberta!!!

Ale w jaki — to by sposób?..

Z okazji Twojego ślubu nie mogę Tobie życzyć szczęścia, ponieważ Twój mąż jest Polakiem, zatem moim

największym wrogiem, który mnie z mojej ojczyzny wyrzucił.

(—) E. Waldschmidt.

Ellen Waldschmidt

die Verbacher. Wie gewiss das alles was. Gottlob, dass wir in der englischen Zone sind. Eine Zeit im Meer, hätte sie gemusst, wie gut es hier ist, wäre sie schon längst weg von Polen.

Ja noch Jacke Jacke es gibt

heißt!

swjej potęgi politycznej, gospodarczej, a w konsekwencji dalszej i militarnej. A że tak jest — świadczy o tym m. i. list, który otrzymała redakcja naszego tygodnika od p. Jana Pielowskiego, Gdańszczanina, obecnie mieszkającego w Gdyni.

List skierowany jest do bratanki p. Pielowskiego („Elly” — Heleny), mieszkającej w Gdańsku-Wrzeszczu, a pisała go jej ciotka, Ellen Waldschmidt. Ciotka ta zamieszkiwała przed wojną i w czasie wojny w Gdańsku i jest żoną — wspomnianego w liście — Herberta, b. komendanta niemieckiej łodzi podwodnej. Uciekła z Gdańska do Niemiec na długo przed oswobodzeniem miasta. Obecnie pisze beczelny list, pełen kłamstw co do niehumanitarnego wysiedlania Niemców z Gdańska. List zawiera rewelacje co do „nie-doli niemieckiej” w brytyjskiej strefie okupacyjnej i obala twierdzenia co do tego, że panuje tam głód i niedza. Przeciwnie: Niemcy w anglosaskich strefach okupacyjnych „wcale nie odczuwają, że wojnę przegrali”. Co więcej: wierzą, że wrócą na Ziemię Za-

krewnych swej żony (Alfonsa i Jana Pielowskich), którzy zdawna mieli zamiar wystąpić po wojnie do polskiej marynarki wojennej. A więc Niemcy już grożą odwetem! Nie dziwnego: spodzie-

si — to Polak, Jan Pielowski, syn zamordowanego przez Niemców (za „partyzantkę”) obrońcy poczty polskiej w Gdańsku; Alfons Pielowski — Polak, również Gdańszczanin, stryj' Jana Pielowskiego.

A oto tłumaczenie listu, który podajemy w najcharakterystyczniejszych wycimkach:

Fast alle früheren Bekannten, Kollegen und meine Ehefrau sind in dem engl. Gebiet, u. größtenteils in Lüneburg, wo auch Lissy und Jacke hines sind. Mein Chef, A. M. Bis arbeitet im „Danziger Komitee“ und vertritt kein Engländer die dortiger Sache. Ferner ist von den Leuten, die von Wasser, nicht mehr kriegen leiden am ...

Ellen Waldschmidt — Dortmund-Worsbel, Hallweg 36, 21. 8. 46 Kochana Elly!

Więcej jak pół roku minęło, od kiedy łączność pocztowa z Polską została przywrócona, a jednak zarówno Ty, jak i Hansi, nie daje-

steśmy — całe szczęście — w strefie angielskiej, a przez to wygraliśmy wielki los. Zarówno w amerykańskiej, jak i w angielskiej strefie okupacyjnej nie odczuwamy my, Niemcy, żeśmy wojnę przegrali. Pod żadnym względem życie Niemców nie zmieniło się tutaj, a więc jest zupełnie inaczej, jak u Was — we właściwej naszej

Kurt Flöter z Berlina, pełniący służbę w okresie wojny jako starszy marynarz, znudzony wyczekiwaniem na zapowiadane przez zwycięstwo „5 minut po 12-iej”, postanowił nieco przed dwunastą stanąć na lądzie i zlikwidować swoje agresywne nastawienie do aliantów. Zdezercerował. Fakt sam w sobie niechwalebny, ale w dobie terroru hitlerowskiego rzadki i ryzykowny. W lutym 1945 roku, schwytany przez Gestapo, został skazany przez Sąd Wojenny w Berlinie na 6 miesięcy więzienia. Wyjątkowo łagodny wyrok zawdzięczał Flöter zbliżającej się kapitulacji. Po zajęciu Berlina przez wojska radzieckie uzbędzony Flöter wyszedł z więzienia. I w tym miejscu zaczyna się właśnie farsa. W rok po zakończeniu wojny, 30 czerwca rb., otrzymuje Flöter urzędowe pismo z „Marineaufangstelle Flensburg-Mürwick”, gdzie pełnił służbę, podpisane przez naczelnego sędziego marynarki wojennej dra Schlegelbergera. Pismo dotyczy wyroku z dnia 16 marca 1945 r. i zawiadamia, że uchwałą sądu z 29 kwietnia 1946 r. wyrok zostaje zatwierdzony i zaostrowany degradacja. Skazanemu zalicza się okres śledztwa i czas odbycia kary przed kapitulacją, „reszta zaś odbycia 4-miesięcznej kary odracza się do 31 grudnia 1946 r.” Analogiczny wypadek, gdzie sąd po kapitulacji pozwolił sobie

na wydanie wyroku za dezercję z czasów hitlerizmu — miał miejsce w Bremie ubiegłego roku i był przedmiotem wielkiej sensacji i protestu w prasie. Wówczas sędziów, którzy tkwili jeszcze w ideologii faszystowskiej usunięto z urzędu, a miarodajne czynniki pouczono, że dezercja z czasów Hitlera w żadnym wypadku nie może być uważana za wykroczenie i nie jest karalna w demokratyzujących się Niemczech.

To wszystko jednak nie dotarło do „Marineaufangstelle Flensburg-Mürwick”, która sobie nadal istnieje i urzęduje z naczelnym sędzią marynarki wojennej w pokonanych Niemczech, nie posiadających floty.

Tym razem dzienniki wcale się nad tym faktem nie zatrzymały, nikt się nie oburzył, jedynie dwutygodnik „Weltbühne” mimochoć o tym wypadku wspomniał. Rok temu Niemcy byli zastraszeni, nie było jeszcze polityki zapomnienia i przebaczenia, więc się wszyscy prześlizgnęli w potępieniu wszystkiego, co traciło faszyzmem. Trzeba było zdobywać zaufanie aliantów.

A dziś? Dnia 14-go bm. do kolejki elektrycznej (S-Bahn) w Berlinie wsiada wieczorem młody człowiek. W kolejce pełno, z powodu oszczędności prądu, — światło

MARIA WOŁCZACKA

List z Berlina: Dziwne

słabe. Kolejka rusza, młody człowiek opiera się o drzwi, w ręku trzyma grubą łaskę i namiętym, donośnym głosem zaczyna wygłaszać że „hitlerizm nie umarł (Das Hitlertum ist nicht tot) Anglosasi przygotowują się do rozprawy z Rosją, a Niemcom przypadnie wielka rola w tej zbrojnej rozgrywce. Że z pewnością należy się szykować do nowej świętej wojny ze wschodem, że i tak pod ciężarem reparacji, których im Rosja nie chce darować, muszą zginąć. Należy więc walczyć o życie! Kończy z entuzjazmem: „Hitlerizm żyje, a my z nim! Cześć pamięci Hitlera!”

Kilka przerażonych głosów kobiecych strzela, tak jak się strofuje niegrzeczne dziecko, które wypaplało na głos to, co starsi mówią szeptem. W kolejce było dużo ludzi. Byli też mężczyźni! Nikt nie wysiadł na najbliższej stacji, nikt nie podążył za tajemniczym nieznajomym, nikt go nie legitymował, nikt go w ręce władzy nie oddał, żaden dziennik o tym się nie dowiedział. Słowa wsiąkły w ludzi, cicho, tajemniczo, tylko z ust do ust podawane. Autentyczne!

Nie jest już dziś popularne wyciąganie na światło dzienne reakcyjnych wykroczeń i faszystowskich błędów. Niemcy mają stanowczo dość posypywania sobie głowy popiołem. Zdecydowanie nie chcą uznać swojej winy. Nie wina też swoich generałów i Führera za bestialstwo i zbrodnię, w które mimo procesu norymberskiego nie bardzo wierzą, ale za to że wojnę przegrali. Wojnę przegrała Trzecia Rzesza, a nie Niemcy słyszy się coraz częściej. Winni są więc przywódcy, z nimi niech się rozprawiają sądy. Proces norymberski się skończył, Niemcy rozdział zamykają, bilansów nie robią. A choć sędziowie międzynarodowi szykują nowe rozprawy przeciw różnym generałom, eksperymentującym na ludziach lekarzom i przeciw wielkim przemysłowcom, naprawdę żadnego Niemca to nie a nie nie obchodzi i nie interesuje. Świat cały przeżywał proces norymberski, Niemcy byli znudzeni o wiele więcej szeregów z przebiegu procesu, aniżeli dzienniki niemieckie. Gdy speaker podawał sprawozdaniez przebiegu pro-

cesu, wyłączono radioodbiorniki: „Wieder derselbe Blödsinn” (znowu te same idiotyzmy). Ba, nierzadko słyszało się i takie uwagi: „Czy to sztuka zwycięzcy sądzić zwyciężonego?”

Sens moralny procesu nie dotarł wcale do mentalności niemieckiej, która nie prędko wyzbędzie się jadu, sączonego przez 12 lat. Żadne wysiłki aliantów tu nie pomogą, żadna lojalność w traktowaniu Niemców, żadne demokratyczne wychowanie. Niemiec może być tylko demokratą koniunkturalnym, nacjonalista, nie przestanie być nigdy. Jeśli Niemiec w strefie angielskiej lub amerykańskiej biegnie do urny wyborczej i głosuje po myśli zachodu, a w strefie sowieckiej po myśli wschodu, to robi to nie dlatego, że tak myśli lub że takie jest jego przekonanie, ale dlatego, że oblicza korzyści. Przed wyborami mężowie stanu Anglii i Ameryki głosili w swych przemówieniach przebaczenie, pomoc i podniesienie standardu życiowego w Niemczech. Upojony Niemiec mając już wizję przyszłej świetności i potęgi, a co za tym idzie wojny, wybiera SPD. W kilka

BOHDAN DANIELEWSKI

Cała różnica to ciemniejsze pończoszki?

WALKIRIE NIEMIECKIE...

W amerykańskiej strefie okupacyjnej Niemiec znajduje się kilka obozów, w których odosobniono tzw. niebezpiecznych hitlerowców spośród SS, Gestapo i „personelu” obozów koncentracyjnych. Internowani złoczyńcy pędzą tam życie wygodne, bez troski, nawet przyjemne. Regulamin tych obozów nie przewiduje żadnych robót karnych, w programie zajęć są natomiast kursy języków obcych i nauk politycznych oraz gry sportowe. Wielką częścią tych zbrodniarzy hitlerowskich po pewnym czasie uzyskuje wolność.

Czasopismo amerykańskie „Life” drukuje w nrze 20/46 reportaż z obozu dla aktywnych „działaczek” hitlerowskich. Oto co pisze reporter, który zwiedził obóz, dokonując zarazem szeregu zdjęć fotograficznych: „W pobliżu Ludwigsburgu w Wirtembergii znajduje się kilka amerykańskich obozów dla internowanych niebezpiecznych zwolenników Hitlera. Tu pokazujemy Obóz 77, w którym ulokowane są kobiety, wśród nich fraulein Rüdiger, b. kierowniczka Bund Deutscher Mädel (BDM) i osławiona Frau Koch z Buchenwald. Pozostałe lokatorki w liczbie 1100 to przeważnie stenotypistki, które jednocześnie były na usługach Gestapo i pracowały w wywiadzie dla SS. Te kobiety nie spełniają żadnej pracy i dla ich reedukacji nie się nie robi. Zamiast tego chodzą na spacer, palą papierosy i siedzą beczynnym, stając się coraz grubsze. Otrzymują 3000 kalorii dziennie w amerykańskich porcjach żywnościowych, nic więc dziwnego, że wiele z nich przytyło na wadze o 30 i więcej funtów. W ciągu dnia spacerują w obrębie parkanów z drutu kolczastego, wykrzykując wesoło pod adresem strażników amerykańskich i polskich (!) wieczorem aranżują one przedstawienia kabaretowe, przeważnie bezwstydną i wyuzdaną. Głównie jednak walkirie te spędzają czas na wzajemnym zapewnianiu się i pokrzepianiu, że kłosa Niemiec jest tylko chwilowa i że hitlerowcy pewnego dnia będą znowu górą.”

Tak brzmi sprawozdanie dziennikarza amerykańskiego z tego osobliwego obozu. Wszystkie zdję-

cia reprodujemy z oryginalnymi podpisami „Life’u”. (patrz str. 32)

W Bawarii znajduje się ogromny obóz Moosburg, w którym internowano przeszło 7000 przywódców hitlerowskich i funkcjonariuszy partyjnych NSDAP i SS. Obóz ten, który pozostawał dotąd pod zarządem amerykańskim, przekazany został ostatnio przez szefa amerykańskich władz wojskowych w Bawarii gen. J. Müller rządowi bawarskiemu. Straż obozu objęło 300 policjantów niemieckich. Ceremoniał przekazania obozu władzom niemieckim miał charakter niezwykle uroczysty. Generał Müller w przemówieniu wygłoszonym z tej okazji określił przekazanie obozu Niemcom jako „kamień milowy na drodze do demokracji w Niemczech!” Rzeczą najciekawszą jest, że internowani dotąd hitlerowcy odzyskują obecnie wolność na podstawie orzeczenia denazyfikacyjnego własnych Izb Orzekających (Lager - Spruchkammer). Pierwsza grupa zwolnionych opuściła już obóz, uznana za osoby „mało obciążone” (minderbelastet). Na czele obozu stoi wybrany przez internowanych burmistrz, którym jest dr Gerhard Krause, znany w Bawarii hitlerowiec. Podkreślił on w wywiadzie, udzielonym przedstawicielowi agencji prasowej DANA, że pierwsze zwolnienia wywalały powszechną radość wśród więźniów obozu. 180 aktywistów hitlerowskich utworzyło na terenie obozu „związek pracy państwowo - politycznej”, którego celem jest „znalezienie dróg, które by poprowadziły Niemcy ku lepszej przyszłości.”

Kierowniczka kontroli niemieckich książek szkolnych w Wydziale Oświaty i Wychowania amerykańskiego zarządu wojskowego w Berlinie (Berlin-Dahlem) miss Jeanne podzieliła się swymi dotychczasowymi wrażeniami z Niemiec z współpracownikiem berlińskiego dziennika „Telegraf”. Amerykanka jest zachwycona Niemcami, Berlinem a do literatury niemieckiej żywi prawdziwą miłość.

— A jak podobała się pani berlińce? — zapytał dziennikarz niemiecki.

Miss Jeanne wahała się długo z odpowiedzią, wreszcie powiedziała z namysłem:

— Uważam, że różnią się zewnętrznie od Amerykanki, mianowicie w ciemniejszym tonie pończoszek i dłuższym kroju zakcietu. Poza tym nie zauważyłam dotychczas żadnych zasadniczych różnic. Sądzę także, że o Amerykankach panują tu zupełnie fałszywe poglądy. A my przecież chodzimy chętnie do kina i kochamy teatr, słuchamy chętnie radia i jeździmy na weekend, aby popływać w jeziorze Michigan.

Wywiad z miss Jeanne zatytułowało pismo berlińskie: „Mądra kobieta reformuje książki szkolne” (Eine kluge Frau reformiert die Schulbücher).

Kabaret w obozie walkirii niemieckich, izby denazyfikacyjne w Moosburgu i miss Jeanne w Dahlem to składowe części tzw. reedukacji narodu niemieckiego według recepty amerykańskiej. Po półtorarocznym urzędowaniu okupacyjnym wśród Niemców, Amerykanie doszli do zdumiewającego stwierdzenia, że właściwie nie ma zasadniczych różnic między nimi a Niemcami. Chyba, że pończoszki i zakciutki. A myśmy myśleli do tej pory, że naród, który ma na swoim sumieniu Oświęcim, Majdanek, Treblinkę, Warszawę i Ravensbrück, Buchenwald, Belsen różni się jednak z a s a d n i c z o od innych narodów nie tylko ciemniejszym tonem pończoszek ale nad wszystkim ciemniejszym tonem swojej duszy.

NIEMIECKIE „ODDZIAŁY SŁUŻB”

Niedawno prasą obiegała wiadomość, że na terenie brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech istnieje tzw. „czarna Reichswehra”, składająca się z uzbrojonych oddziałów armii niemieckiej. Władze brytyjskie tę wiadomość zdemontowały.

Faktem niezaprzeczonym natomiast jest istnienie zwartych oddziałów niemieckich, pozostających pod dowództwem oficerów niemieckich. Dla tych oddziałów wydaje się nawet specjalne pismo informacyjne. W jednym z nich (Nachrichtblatt für die Dienstgruppen im Bereich Nr 84), wydawanym przez sztab łączności (DAZL III) znajduje się następująca wzmianka:

„Rozróżnia się jednostki DAZL, FAZ i specjalne. Oddziały służb są czysto niemieckimi jednostkami bez broni, podlegające niemieckim dowódcom (Führern) — b. oficerom lub urzędnikom w stopniu oficerskim — oraz poddowódcom (Unterführern) z wyłącznym przeznaczeniem do pracy. W jednostkach tych obowiązuje jak dotychczas w całej pełni niemiecki kodeks karny wojskowy i niemieckie przepisy dyscyplinarne.”

W myśl uchwał poczdamskich wszelkie organizacje wojskowe, półwojskowe i paramilitarne miały być niezwłocznie rozwiązane. Tymczasem pod okupacją brytyjską znajdują się zwarte formacje niemieckie, które mimo, że nie posiadają broni, mają charakter wybitnie wojskowy.

NARÓD POETÓW I MYSLICIELI

W Niemczech kursują obecnie z ręk do ręk ulotki, gloryfikujące dawne, dobre czasy. Ulotka ta odzwierciedla „demokratyczną” tęsknotę przeciętnego członka tego narodu poetów i myślicieli do pełnego żołądka. Gdy się prawie sześć lat żyło z kradzieży i rabunków w całej niemal Europie, odczuwa się dzisiaj nieprzyjemnie pewne braki i niedostatki a wtedy odzywa się tęsknota i przy kuflu piwa Niemiec staje się sentymentalny, rozmarzony, romantyczny. Jak na dłoni widzi cesarza Wilhelma i gęś, prezydenta Eberta i pieczeń wieprzową, Göringa i śledzia. Dzisiaj zaś kalorie tylko na papierze. Taka jest treść ulotki, której oryginał brzmi: Bei Kaiser Wilhelm — voll Toleranz Assen wir manchmal eine Gans. Später bei den Sozialdemokraten Assen wir noch den Schweinebraten. Bei Hitler und bei Göring Gabs’ wenigstens ’nen Hering. Doch stehen bei der heutigen Leitung Kalorien nur in der Zeitung.

Co wobec osiągnięć cesarza — pisze jeden z dzienników berlińskich w związku z tą ulotką — znaczy dla Niemca demokracja, która nie może im dać w wystarczającej ilości nawet chleba i kartofli.

O WEJMARZE I LUDZKOŚCI

Dr Ferdinand Friedensburg, do niedawna prezydent zarządu centralnego dla przemysłu opałowego w sowieckiej strefie okupacyjnej

wydał świeżo książkę o republice wejmarskiej. W rozdziale zatytułowanym: 1945 — Friedensburg próbuje odpowiedzieć, dlaczego Weimar skończył się w Niemczech niepowodzeniem.

Pierwszą przyczynę widzi w tym, że zawiódła Reichswehra i stowarzyszenia wojskowe. Rewolucja 1918 — pisze — nie była prawdziwą rewolucją, lecz załamaniem się państwa po przegranej wojnie. Niemcy wcale nie pragnęły demokracji, została ona narzucona potrzebą chwili. Punktem przelomowym był wybór Hindenburga na prezydenta. Odtąd rozpoczęła się droga w przepaść.

Drugą przyczyną klęski Weimaru był według Friedensburga całkowity brak zrozumienia ze strony przeciwników Niemiec w czasie pierwszej wojny światowej dla bohaterstwa wysiłków ludzi, którzy w Niemczech wzięli na siebie brzemie odpowiedzialności. Wystarczy wymienić tylko dwa nazwiska: Stresemann i Brüning. I w tym miejscu wychodzi sztybel z worka. Friedensburg nie panuje już nad sobą i pisze czarno na białym: „Gdyby świat dał im to tylko, co później dał dobrowolnie Hitlerowi, inaczej wyglądałaby nasza teraźniejszość”. Czyli innymi słowy, chcecie mieć Niemcy demokratyczne, dajcie nam Austrię, Czechosłowację, Polskę itd. Tę samą politykę szantażu uprawia obok autra tej książki od dłuższego już czasu legjon Schumacherów.

Friedensburg swoje rozważania na temat republiki wejmarskiej tak kończy: „Koniec wojny 1914—1918 przyniósł ludzkości małych ludzi, którzy nie umieli wyżyć się pojęć swojej propagandy wojennej. Clemenceau, Poincaré, Lloyd George i Wilson wygrali wojnę lecz przegrali pokój. Z troską pytamy: czy ludzkość wygra tym razem pokój?”

Dr Friedensburg jest wielki, bo należy do narodu panów, dlatego nie dziwimy się zbytnio, że w wysokości swego spojrzenia, pełnego pogardy dla reszty świata, zalicza do małych ludzi tych, którzy bądź co bądź przeszli do historii. Ale Friedensburg, jak zresztą wszyscy Niemcy, popełnia błąd kapitalny, który jeszcze zawsze w dziejach na nich się zemścił — utożsamia mianowicie Niemców z ludzkością. A to nie jest to samo.

rzeczy się dzieją

dni po wyborach ma już smutne refleksje i życie codzienne. Ograniczenia prądu, zapowiedź ograniczeń gazu, brak opału, trudność rozwiązania problemu żywnościowego w strefie angielskiej nasuwa żal, że trzeba było może głosować na SED? W strefie sowieckiej problem żywnościowy nie szwankuje, opał jest, wydają nawet na kartki obuwie i odzież. A teraz — myśli Niemiec — Rosjanie mogą wykazać zasadnicze błędy gospodarki anglosaskiej i ich przy wyborach popieranych pupilów. I wcale na myśl mu nie przyjdzie, że samowystarczalność strefy sowieckiej pochodzi z wprowadzenia w życie od roku ustawy rolnej i konfiskaty wielkich koncernów monopolowych na rzecz ogółu, podczas gdy w innych strefach tworzy się dopiero plany w tym kierunku.

Do tej pory Niemcy narzekali między sobą, cicho. O swoje prawa i o swoje krzywdy pozwalali bić się nawzajem aliantom. Doskonale zdawali sobie sprawę, że za ich plecami rozgrywa się wielka gra. Teraz krytykują głośno, żądają, wracają tęskno myślami

do reżimu hitlerowskiego, a nawet szantażują reakcją. „Świat jest zobowiązany do pomocy, jeśli posiada sumienie”. Nagle ze słownika wyciągnęli Niemcy dawno zapomniane słowa — sumienie i humanitarność! Świat nie powinien prowadzić jakiejś polityki rewanzu (Vergeltungspolitik), wszak sam Churchill jest tego zdania. Z odszkodowań i długów wojennych powinien świat tak, jak po pierwszej wojnie światowej — zrezygnować.

W parlamencie w Düsseldorfie na plenarnym posiedzeniu prezes ministrów Amelunxen głośno zaznaczył: „Przyczyną całej biedy, całej nędzy i katastrofy w jaką coraz bardziej Niemcy wpadają, są tylko postanowienia konferencji poczdamskiej”. Więc nie fašyzm, nie Hitler, jest przyczyną tego, ale właśnie konferencja w Poczdamie.

Po półtorarocznym wychowywaniu apolitycznym młodzieży, Hans Hermsdorf w Hanowerze tak oto ujął całokształt żądań młodzieży: 1) nie stwarzać monopolu na wyższych uczelniach tylko dla nieobciążonych politycznie; 2) Niemcy należy dopuścić do Narodów Zjednoczonych; 3)

tereny na wschód od Odry i Nisy muszą bezwarunkowo pozostać przy Niemcach. Na pierwszym zjeździe niemieckich kobiet socjalistycznych we Frankfurcie nad Menem wystosowały kobiety apel do ONZ z oświadczeniem, że Niemcy głodują i marzną. „Nie prosimy o litość, ale żądamy umożliwienia nam życia. Humanitarność świata nie powinna dopuścić do masowego napływu Niemców tak bezwzględnie wysiedlanych z Polski, którzy wypędzani tylko nagie życie mogą ratować.”

Mimowoli nasuwa się pytanie, jeśli tyle miejsca było w Niemczech dla niekończących się przez lata transportów z całej Europy milionów cudzoziemców, dlaczego więc brak miejsca dla swoich! Wystarczy tylko otworzyć „humanitarnie” stojące jeszcze niezliczone ilości baraków po niebezpiecznych cudzoziemcach.

Czy aby nie za wcześnie apelować do sumienia świata i stawiać żądania?

Ale obiektywnie mówiąc, nie należy im się dziwić, że tak myśla, bo myślą konsekwentnie. Bo to co z Niemcami, wyprawiają, każdemu normalnemu człowieko-

wi musi przewrócić w głowie. Jeżeli w 18 miesięcy po takiej morderczej wojnie, stosuje się jakąś gloryfikującą biednych Niemców i współpracującą im politykę, jeśli przedmiotem rozpatrywań w parlamencie angielskim ma być kwestia czy jeńcy niemieccy w Anglii mają spędzić święta Bożego Narodzenia w kręgu rodzin angielskich, czy nie, jeśli amerykańscy żołnierze otrzymują rozkaz od głównodowodzącego armii w Niemczech obowiązkowego zamawiania paczek żywnościowych z Ameryki na święta dla Niemców, jeśli punktem honoru każdego amerykańskiego żołnierza jest po pracy spędzenie wolnego czasu w klubach i na boiskach z młodzieżą niemiecką — czy każdy Niemiec nie może myśleć, że jest osiłą świata?

Największym argumentem propagandy Goebelsa było właśnie widmo kary, jaka na Niemców w razie przegranej spadnie. Niemcy na tę karę czekali, bo wówczas czuli, że są winni. Tymczasem kary nie ma, więc pewno i winy nie ma. Jest natomiast pomoc, współczucie, opieka. Dlaczego więc winić Hitlera, faszyzm, naród? Dlaczego nie żądać? Że jest źle — mogą być winni tylko alianci, ponieważ jeszcze za mało się starają, aby było dobrze. Wywód zupełnie prosty.

W Niemczech dzieją się jakieś dziwne rzeczy. Reakcja jakby

celowo popierana, zaczyna coraz silniej pracować. W dzień wykonania wyroku na zbrodniarzy norymberskich, w mniejszych miastach niemieckich świeciły pustkami kina, teatry, lokale rozrywkowe. Gdzie indziej przyrzeczono tego dnia grupę młodzieży niemieckiej przy zawieszaniu na ratuszu chorągwi nazistowskiej, na znak żałoby opuszczonej do połowy masztu. W listopadzie splanęło w Saksonii z niewiadomej przyczyny cały szereg fabryk (Pirna, Zwönitz, Weissenborn), które zostały upaństwowione. Władze zagroziły karą śmierci za sabotaż i wyznaczyły nagrodę 100.000 marek za wykrycie sprawców. W odpowiedzi stwierdzono kilka dalszych pożarów w Pöllitz i Crimmitschau. Widać w tym wszystkim akcję planową.

W Monachium znajduje się główna kwatera wojskowa ukraińska, która zorganizowała szkołę dla wyższych oficerów sztabowych. Cały szereg zbrodniarzy wojennych ukraińskich, którzy dopuszczali się największych zbrodni na terenach Małopolski, korzysta z azyłu i opieki miejscowych władz. Pod płaszczykiem organizacji wysiedleńców ukraińskich, pracują nadal ze Stefanem Bandera na czele.

Tak wkraczają Niemcy u progu roku 1947 w orbitę narodów demokratycznych.

JAN DUCHNOWSKI

Naród-zbrodniarz winien odpowiadać

Historia świata nie zna wojny, którejby towarzyszyło takie nasilenie zbrodni w stosunku do ludności cywilnej, jakie obserwowaliśmy ostatnio. Kwestia odpowiedzialności za wywołanie wojny i za zbrodnie popełnione w czasie jej trwania leży poza wszelką dyskusją.

Spisek przeciwko ludzkości ukuł reżim największych zbrodniarzy świata. Ewangelia zbrodnię szajki zawarta w „Mein Kampf” i publikacjach Rosenberga podobała się widocznie narodowi niemieckiemu, skoro w styczniu roku 1933 uznał większość głosów te właśnie, a nie inne ugrupowanie polityczne za jedynie godną swą reprezentację.

Naród, który dobrowolnie powierzył losy swego państwa w ręce zbrodniarzy, a następnie popierał w całej rozciągłości ich rządy wewnątrz kraju i dążenia na terenie międzynarodowym, w czasie wojny zaś masowo brał udział również w dokonywaniu zbrodni, jest winien sam ich popełnienia i musi za nie ponieść odpowiedzialność.

W wyniku świeżo ustalonych zasad międzynarodowego prawa zawisło na szubienicy dziesięciu głównych niemieckich zbrodniarzy wojennych.

Jest to oczywiście odpowiedzialność raczej symboliczna, bowiem trudno sprawę uznać za wyczerpaną ukaraniem dziesięciu, gdy w zbrodni brały udział setki tysięcy, ale w każdym razie zasadzie stało się zadość. Odpowiedzialność karna za zbrodnie wojenne została ustalona i wprowadzona w życie. Precedens jest.

Tydzień więzienia politycznego zwrócił mu uwagę na inne zagadnienie.

W Polsce, w wyniku zbrodni niemieckich dokonywanych na ludności cywilnej pozostało ok. czterech i pół miliona sierot.

Te cztery i pół miliona ofiar hitlerowskich zbrodni, albo żyje w skrajnej nędzy, albo spada ciężarem na zrujnowany gospodarstwo kraju, czy instytucje społeczne.

Naród niemiecki, odpowiedzialny za wywołanie wojny i za wszelkie zbrodnie popełnione przez swych siepaczy, których rozesał po okupowanych krajach, winien ponieść obecnie wszelkie koszty związane z utrzymaniem tych nieszczęśliwych, winien zapewnić im znośny byt. Zamiast myśleć o odwiecie i ewentualnie znowu produkować narzędzia zbrodni, niech niemiecki naród-zbrodniarz pracuje przede wszystkim na utrzymanie ofiar swego bestialstwa.

Jest rzeczą zupełnie naturalną i z punktu widzenia prawa i sprawiedliwości konieczną, aby zbrodniarz, który zabił żywiciela, poniósł nie tylko zasłużoną karę, ale został również obciążony kosztami utrzymania pozostałych po swej ofierze sierot.

Jest to nakaz elementarnej sprawiedliwości. Naruszenie tej fundamentalnej zasady musiałoby ujemnie wpłynąć na poczucie ładu i sprawiedliwości w stosunkach ogólnoludzkich.

Ja również byłem więźniem niemieckim i miałem minimalne widoki na to, że cało wyjdę z rąk siepaczy. W celi, czy za drutami obozu pocieszałem się myślą, że Niemcy przecież wojnę przegrają, a zwycięski kraj nasz upomni się między innymi i o krzywdę moich najbliższych, że nie pozostawi bez opieki i nie pozwoli zmarnieć moim dzieciom.

Tak myślałem nie tylko ja, lecz i cały szereg innych, tak myśleli również ci, którym nie danym było dożyć wolności, bo to było rozumowanie jedynie logiczne i jedynie konsekwentne, oparte na wewnętrznym poczuciu sprawiedliwości i ładu w stosunkach pomiędzy ludźmi.

Oczywiście zdajemy sobie sprawę, że obecny rozwój sytuacji politycznej na terenie międzynaro-

dowym nie jest dla strony porażonej pomyślny.

Sztaby polityczne państw anglosaskich coraz wyraźniej i coraz bardziej cynicznie starają się zbrodniarzy brać w obronę i stwarzać takie warunki, w których potrafiliby ci zbrodniarze uniknąć zasłużonej kary i wszelkich niekorzystnych dla siebie konsekwencji zbrodniczego czynu.

Ci mężowie stanu, zaślepieni interesem szczyptych grup społecznych swego narodu, działają na szkodę ludzkości. Podkopują bowiem główne zasady ludzkiego współzycia, opartego na poczuciu ładu, porządku, odpowiedzialności i sprawiedliwości.

W konsekwencji stanowisko ich prowadzi nie do normalizacji życia międzynarodowego, lecz do jego zakłócenia, nie do ugruntowania zasad dobrego współzycia, lecz do podważania zaufania ludzkości do idei ogólnoludzkiej sprawiedliwości. Tego rodzaju tendencje anglosaskich mężów stanu nie mogą nas nie martwić, ale nie powinny one stać się powodem niedopełnienia przez nas obowiązku domagania się zrealizowania zasad sprawiedliwości.

Walka o to, aby naród niemiecki poniósł również konsekwencje swoich zbrodni wojennych w dziedzinie majątkowej iłożył na utrzymanie milionów wdów i sierot pozostałych po zamordowanych działaczach politycznych jest naszym prawem i naszym obowiązkiem. Obowiązkiem w stosunku do żyjących wędzy rodzin po zamordowanych i prawem wpływającym na poczucie sprawiedliwości i zasad międzynarodowego prawa.

Odpowiedzialność karna za zbrodnie wojenne została ustalona.



Człowiek,

jakiego sojusznicy potrzebują?

Tak nazywa londyńskie pismo „News Chronicle” przywódcę socjalistów niemieckich dr Schumachera, który ostatnio był uroczystie przyjmowany i fetowany w stolicy Anglii. Schumacher wyprowadzi — zdaniem Anglików — naród niemiecki na drogę „prawdziwej demokracji”. Nam się wydaje, że ten chytry gracz i szantażysta polityczny pozujący na nieoficjalnego „Kancelerza IV. Rzeszy” wyprowadzi raczej w pole swoich dzisiejszych protektorów. Stosunek jego do Polski jest znany. Krótko przed wyjazdem do Londynu w dniu 22. XI. Schumacher wygłosił w Bawarii „wielkie przemówienie polityczne”, w którym m. in. powiedział: Tymczasowa linia administracji polskiej nie może być nigdy granicą niemiecką na wschodzie.

My możemy na to powiedzieć krótko: Pse głosy nie idą pod niebiosa.

HIERONIM PAWLICKI

Likwidacja Prus

Już się zaczęła. A stało się to dnia 7 grudnia 1916 r., kiedy Molotow na posiedzeniu Wielkiej Zgromadzenia w Nowym Jorku, zgłaszając radzieckie propozycje do porządku obrad nad sprawą Niemiec, zażądał — likwidacji Prus.

Gdy mówimy Prusy, historia pruska i niemiecka wymienia nam Albrechta Achillesa (1440-70), który ustanowił niepodzielność Prus, a następnie Fryderyka I (1683-1713), który w roku 1701 proklamował w Królewcu utworzenie Królestwa Pruskiego. A potem historia niemiecka, w zmiennych losów kolejach, wymienia z dumą pruską Fryderyka II, rozbiory Polski, ale i Fryderyka Wilhelma III z bitwą pod Jena i Auerstadt, pokój Tylicycki, Napoléona w Berlinie i upadek Prus, by za lat kilka znowu głosić glorie oręża pruskiego. Stein, Hardenberg, Blücher — oto wskrzesiciele Prus, spętanych wojennym i dyplomatycznym geniuszem Napoleona. Następnie widziemy Fryderyka Wilhelma IV i Rewolucję marcową w Berlinie (nasz Libelt w więzieniu Moabickim uczył wtedy Prusaków demokracji wolności). A potem nastąpiła era wielkich Prus z Wilhelmem I, Bismarckiem i Moltkiem, z zabobnymi wojnami przeciw Danii, Austrii i Francji, która zamyka klęską Francji Napoleona III i proklamacją w Wersalu (1871) cesarstwa niemieckiego. I znowu Bismarck: ze swoją walką kulturalną, prawami majowymi, z uwiezieniem niezłomnego Polaka, arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, ks. kardynała Halki-Ledóchowskiego, z prawa-

mi wyjątkowymi przeciw Polakom; i Bülowa: hakatyzm, Komisja Kolonizacyjna i proces dzieci wrzesińskich.

Pod koniec XIX w. historię Prus zamykają rządy Wilhelma II z kanclerzami Caprivim, Bülowem, szarą eminencją Holsteinem, Bethmanem-Holwegiem, klęską pierwszej wojny światowej, republiką weimarską, będącą restytucją Prus pod szyldem „demokracji” niemieckiej, następnie Hitler i druga wojna światowa i rozgromienie Niemiec, w których Prusy junkierskie i kapitalistyczno-przemysłowe szeroka pierś oddechaly jeszcze pod pancernem narodowego socjalizmu.

Oto historia Prus Hegłów, rechtów, Onckenów, Rosenbergow, Treitschkich, Mommsenów, Lamp-Fryderyka Wielkiego, Bismarcka i Hitlera. Dziś — Finis Prussiae! Na polach bitew ostatniej wojny zwycięskie armie radzieckie rozgromiły Niemców, ale przede wszystkim rozgromiły Prusy. Walcząca obok Armii radzieckich armia polska w sercu Prus, dopiero nad Odrą i Nisą przywróciła Grunwaldowi sens historyczny i polityczny. Taka jest logika dziejów: wczoraj rozgromienie orężne, a jutro polityczna likwidacja Prus, państwa czarnego orła i państwa militarystyki pruskiego. Wten sposób historia pomści na Prusach rozbiory Polski.

Długo, nazbyt długo czekaliśmy na nasz dzień w historii Prus. Od 5 sierpnia 1772 r. do 6 grudnia 1946 r. 174 lata. Teraz chyba my-

ślenie kategoriami historycznymi nauczy nas realizmu politycznego i wiary w niezniszczalność polskiej niepodległościowej, demokratycznej myśli politycznej. Bo likwidacja Prus — to zwycięstwo demokracji nad junkierskimi, reakcyjnymi, imperialistycznymi Niemcami. Bismarcka, Wilhelma II i Hitlera.

Molotow, określając jeden z podstawowych warunków politycznych zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami terminem likwidacja Prus, jak spiszową kłamrą spiał wszystkie warunki tego traktatu w jedną całość słowiańskich interesów w problemie niemieckim. Stało się to nie bez głębszych przyczyn historycznych.

Jak nasi, tak i radziecy mężowie stanu mają dobrą pamięć, studiowali historię Prus do jej ostatnich tajemnic. Na przestrzeni blisko 300 lat duch pruski spiskował w Petersburgu, panował nad carami i gnębił narody Rosji. Później wyrazieliem ducha pruskiego byli historycy „Treitschke ze swym programem wynarodowienia znajdujących się na terytorium Rzeszy mniejszości narodowych, Mommsen, który rządził bić pałkami twarde lby słowiańskie i sprusaczony Anglik H. Stewart Chamberlain, głoszący prymat rasy germańskiej” (J. Feldmann). Swym militarystycznym duch pruski zamienił zachód i wschód Europy w pobojowiska i ruiny. On był twórcą hitleryzmu. Ale duch pruski w swym rozumnym szale zapomniał o skutkach swego tepicielskiego instynktu germańskiego. Zapom-

niał, że uczyniwszy sprzeczność funkcją polityczną, niszczącej jej potęgi dozna nieuchronnie na samym sobie w chwili, gdy historia wybierze przewidywany punkt czasu. I oto nadszedł czas likwidacji Prus.

Nie tu miejsce na cytacje z dzieł historyków, polityków i ekonomistów niemieckich, których mentalność duch pruski kształtował i narodowi niemieckiemu na wodzów wybierał. Junkier pruski. Ponieważ Niemcy na ski nosił likwidację Prus w swoim przestrzeni kilku wieków nie przeżyli wstrząsów rewolucyjnych, nie burzyli starego porządku rzeczy, a naród niemiecki, a zwłaszcza sentymentalny mieszczuch, uważał siebie za naród wybrany do rządzenia światem, — więc król i junkier, generał i minister, podoficer i żandarm, nauczyciel, pastor i profesor uniwersytetu, „der deutsche Michel” i mieszczaństwo pruskie tworzyli niebezpieczny dla Europy układ zabobnych elementów polityki, której likwidacja musi pociągnąć za sobą likwidację Prus, jako państwa i jako historycznego fundamentu Niemiec.

Zadania Molotowa likwidacji Prus — to warunek pokoju Europy i pokoju świata. To ultimo ratio demokracji i ultimo ratio Słowiańszczyzny nad Odrą i Nisą. Ostatnim słowem polityki pozostaje — siła. Siła Słowiańszczyzny wczoraj rozgromiła Niemcy, a jutro zlikwiduje Prusy. Zlikwidowane Prusy, to trwały pokój między zachodem i wschodem Europy.

na skazującym wyrokiem Międzynarodowego Trybunału w Norymberdze. Dalszą konsekwencją tej zasady prawa międzynarodowego winno być zgłoszenie do Międzynarodowego Trybunału — jak każda procedura sądowa — powództwa cywilnego w imieniu tych czterech i pół miliona podopiecznych o alimentację.

Powie ktoś, że konieczne na ten cel środki finansowe winny być włączone do ogólnych sum odszkodowań wojennych, jakie Niemcy mają płacić w przyszłości po zawarciu traktatu pokojowego.

Właśnie, że nie.

Uzasadnienie wyłączenia sum na alimentację wdów i sierot w krajach niemieckiej okupacji z ogólnych odszkodowań wojennych jest następujące:

po pierwsze — inna podstawa prawna. Tam przegrana wojna, a tu popełniona zbrodnia.

po drugie — powstanie nowego działu odszkodowań — alimentacji jest konsekwencją popełnionych zbrodni i norymberskiego wyroku, skazującego głównych zbrodniarzy niemieckich, upelnomocnionych przeciw przez naród niemiecki przez powołanie do rządzenia państwem w roku 1933 partii hitlerowskiej.

po trzecie — silniejsza podstawa moralna żądania tego rodzaju świadczeń od narodu niemieckiego, wreszcie

czwarte — konieczność uchronienia od fluktuacji i niepewnych zwykle losów ogólnych odszkodowań wojennych.

Wdowy i sieroty po zamordowanych muszą jeść i muszą się ubierać i żadne koncesje na korzyść narodu-zbrodniarza nie mogą tu mieć miejsca. Co więcej: nawet zasadę opodatkowania narodu niemieckiego na ten cel należałoby wydzielić i podkreślić.

Najodpowiedniejszą formą opodatkowania na ten cel, było by pogłówne, które ciążyłoby nad każdym członkiem narodu niemieckiego, jak wyrzut sumienia i pokuta za popełnione zbrodnie. Byłoby to równocześnie momentem wychowawczym, których Anglosasi tak bardzo oszczędzają Niemcom.

Dożywianie Niemców

Władze brytyjskie podały następujące dane urzędowe, dotyczące importu artykułów spożywczych do Niemiec (str. brytyjskiej) w m. wrześniu i październiku br.:
Zboże (ze Stanów Zjedn. i Kanady) — we wrześniu 30 000 ton, w październiku 108 000 ton.

Kartofle (z W. Brytanii, Czechosławacji i Holandii) — we wrześniu 78 132 ton, w październiku 56 006 ton.

Mięso (z Danii) — we wrześniu 1 400 ton, w październiku 1 586 ton.

Ryby (z W. Brytanii i Norwegii) — we wrześniu 9 530 ton, w październiku 11 903 ton.

Ogółem sprowadzono żywności jedynie do okupacyjnej strefy brytyjskiej we wrześniu 146 411 w październiku 177 921 ton.

Drygas

Poznań, ul. Skarbowa 15
Fortepiany - Pianina - Fisharmonie

1896



1946

lat w służbie klienta

Jeden z ocalałych rozdziałów powieści „Ottonowa Obietnica”, nagrodzonej na konkursie głównego Instytutu Akcji Katolickiej w Poznaniu w 1938 r., zniszczonej przez Niemców w drukarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Wigilia odbyła się niezwykle uroczysto. Wszyscy — od księcia aż do ostatniego pacholka, a nawet niewolnika — zasiedli przy jednym stole, przykrytym płacami lnu, pod które rzucono garsć siana. Bogumił, którego obaj biskupi odstępowały zawsze pierwsze miejsce, zmówił krótką modlitwę, pobłogosławił zastawione jadlo. Ale zanim zasiedli do stołu, poszli wszyscy w objęciu gospodarce do stajni, obór, chlewów, szop dla owiec i tam śpiewali radosną pieśń narodzenia, aby i bydło nierozumne, które jednak kiedyś ogrzewało małego Jezusa swym oddechem, mogło się także radować wesołą nowiną. Przy stole padano sobie w objęcia, kto miał z kim jakie zatargi, godził się teraz; radość więc błyszczała na wszystkich obliczach.

Stanisław, idąc przez izbę, zobaczył nagle stojącą pod ścianą Dobrochnę. Ona jednak radości ogólnej nie podzielała. Poszukał wzrokiem Przemka i zobaczył, że i chłopak także zasępiony stoi w kącie. Zaśmiał się i zawoławszy oboje do siebie, rzekł:

— Dzień dńis wesela i radości, uśmiechnijcie się tedy. Ty prosz ją o wybaczenie, boś winien. Ona zaś niech ci wybacz, boś miłować jej nie przestał. Jeszcze kłopoty wasze nie skończone, ale się przynajmniej na siebie nie boczcie...

I zaraz poszedł, aby im nie przeszkadzać, bo zobaczył, że się do siebie uśmiechają.

Kryśty na wigili nie było, bo poczęła chorzeć. Ale Stanisław udał się do niej, aby i z nią podzielić się radością świątecznego wieczoru. Zastał ją na łożu nakrytą skórą. Uśmiechnęła się do niego smutnie.

Wigilię spożyto wśród świątecznej radości. Rotem udano się do katedry na pasterkę. W dworcu zostali tylko straż i chorzy.

Mróz silny chwycił nocą i szklistość zimowa świat objęła. Zimnym blaskiem świeciły się gwiazdy na niebie, a śnieg mrugał tysiącami skier i chrzęścił pod nogami. Przemko, idąc koło Dobrochny, nie mógł słów znaleźć ze szczęścia. Miłczał więc, jeno spoglądał na nią spod oka. Potem jednak nie strzymał, ale wskazując na trzy obok siebie położone gwiazdy w ramce z czterech innych, rzekł:

— Widzisz? To jest myśliwiec, o którym ci gadał...

I nagle z tym okrzykiem wręciła do nich niedawna przeszłość. Przypomnieli sobie przechadzkę nad Odrą i wnet to samo co i wówczas oszłomienie — dziwne, a jednocześnie rozkoszne — ogarnęło ich gwałtownie jak gwałtownie opadają suche drzewo... Zdało im się, że nogi ścina jakas słabość, aż musieli się chwycić za ręce, mocno, do bólu...

Lecz idący za nimi kapelan Ruper zawołał:

— Hej! Nie ciągnij jej za ręce, bo nic z tego dobrego nie wyjdzie! Patrzcie no! Jeszcze przed wigilią patrzyła na niego jak na raroga, a teraz ręce mu ścisnąć daje. Miarkujcie się, dziewucho! A do eremu chciała iść!

Odakoczyli od siebie, jakby ich ogień rozdzielił. Rupert zaś fukał i burczał, ale w rzeczywistości umiechał się wesoło pod nosem. Lubił ich i rad był, że się nareszcie pogodzili ze sobą.

W katedrze było zimno i cały kościół dymił od pary idącej z ust. Woda święcona w kropielnicy przy oddrzwiach śluta była w lód. Lecz radosny śpiew zdawał się zażrzewać wszystkich. Aż mury się trzęsły od tej niepomiernej radości. Śpiewali na cześć nowonarodzonego Jezusa, tak jakby On naprawdę dziś po raz pierwszy przyszedł na świat tutaj, na nakrytej śniegiem, porośniętej borami ziemi polskiej. Witali Go sercem gorącym, szczerym i prostym — sercem nie znającym litości dla nieprzyjaciela, sercem nieraz miotanym pragnieniem zemsty, zakutym w niewolę namiętności, ale przy tym wszystkim czystym — ozystością, którą rodzi wielka chęć i pragnienie — gotowym na wszystko, oddanym tej Małej Dziecinie ze szczerem, nierozumnym może i często błędzającym, lecz okupującym wszystko przepotężną miłością.

Dopiero nazajutrz odbył się w dworzyszcu wielki wiec. Zebrano się w największej komnacie, gdzie już uprzednio na palenisku czeladź roznieciła ogromny ogień, aby zamróz nie dokuczył obradującym. Zasiedli wokół szerokiego, dębowego stołu. Na podwyższeniu zajął miejsce Bolesław, obok niego z prawej opat Bogumił, z lewej zaś komes Dobiesław, inni kolejno coraz dalej, przy tym doradcy książęcy i komesi przeplatani się z możnowładcami, głowami rodów, których zawsze kilku wzywał książę na naradę, gdy miał coś ważnego postanowić.

Gdy zasiedli, zabrał głos Bolesław. W tej chwili, gdy tak siedział na podniesieniu w cienkiej książęcej koronie na czarnych, gładkich i błyszczących, ale przetykanych już srebrnymi nitkami siwizny włosach, zawinięty w szkarłatny płaszcz władcy, a obok tronu stał pachol z włócznią książęcą w dłoni i drugi ze szczytem, na którym niezgrabnie namalowany był znak rodowy Piastów, nikt by w tym dumnym i wspaniałym władcy nie poznał zapalczego myśliwego czy też wesołego biesiadnika, jakim go widziano jeszcze wczoraj. Lekko myślą wesołość gdzieś znikła, z czarnych oczu biła powaga, skupienie i pewność siebie. W takim momencie stawał się zupełnie innym człowiekiem. Skory zwykle do gniewu, lecz i do wybaczenia, serdeczny i prosty w obcowaniu, z wysokości tronu ledwie, zda się, poznawał ludzi. Już nie zniewaga, ale byle lekceważenie okazało mu w takiej chwili, równało się wyrokowi śmierci na człowieka, który czyn taki popełnił. Pierwszy był do

okazania serdeczności innym władcom, ale tylko wówczas, gdy wyczuł, że go szanują i wyżej nad siebie stawiają. Umiał wstać z tronu na powitanie syna Światosława i nie pozwolił mu upaść na kolana, bo wiedział, że młodzik oczarowany jego sławą gotów jest to zrobić. Ale gdy Izjasław w 1069 roku zapragnął, by w obliczu kijowian siostrzan okazał mu swój szacunek, podchodząc do tronu, na którym ledwo zratowany przez Bolesława księżę kijowski siedział, Bolesław nie dość, że z konia nie zsiadł i to swoje podejście odbył w siodło, nie dość, że za każdy krok swego rumaka kazał sobie grubo skapemu Rusinowi zapłacić, ale na dodatek uchwyciwszy pociota za brodę i podniósłszy ją do góry, aż tamtemu świeczki w oczach stanęły, z drwinami wołał: „Oto jest broda waszego władcy! Szanujcie ją, bo widzicie, jako to ją ja miłuję!”



Poważna była mowa księcia i każdy — chciał, czy nie chciał — słuchał jej z należytą uwagą.

— Słyszeliście wszyscy — mówił książę — jako onegdaj powiadał czcigodny opat z Dobrowa o naszym pradziadzie, Wielkim królu Bolesławie. Wielkim był zaiste ten nasz rodzic i pragnieniem naszym gorącym było, by mu i jego sławie dorównać. Wiecie także, że nie chcąc ulegać nieprawym i niesprawiedliwym żądaniom króla Henryka, zakazałem mu daniny, którą rodzic nasz płacił, wysłać. Niktci nad nami władzy nie ma — jeno Bóg — nikomu tedy nic płacić nie jesteśmy zobowiązani — chyba mieczem. Doniesiano tam zasię, że Henryk na nas za ten czyn oburzony, chce z wojskiem ciągnąć. Jakoż zebrał rycerzy rozlicznych, ale herzog Magnus, mąż krewniaczki naszej, razem z innymi dostojnymi Sasami, wojsko jego rozproszył, sam zaś król — jako nam rzekli — bez konia musiał do swej Frankonii uchodzić. Wojna tedy trwa, a losy jej są w ręku Boga. Przewornie jednak nie zawadzi, więc też należy nam dziś pomyśleć o tym, co by było, gdyby jednak Henryk stał Sasów. Niewątpliwie pociągnąłby wtedy ku nam... Radźcie tedy o wojnie.

Szmer zadowolenia przeleciał wśród zebranych. Wojna! Magiczne słowo, do którego wdychał każdy z tych mocarnych, rozsadzanych wprost od wewnątrz przez swą siłę wołów.

Z kolei zabrał głos Stanisław. Jego twarz zachowała w sobie tyle młodzieńczości i żywości, że gdy tak stał w kole mężów o czuprynach często i gęsto siwizną posypanych, wydawał się śmiałym otrockiem, zabierającym głos wobec starszych. Lecz ci starsi słuchali go uważnie i pilnie.

— Rzekłeś miłościwy książę — zaczął Stanisław — że nikt nie ma nad nami władzy, jeno sam Bóg. Prawda to jest. A także przypomniałeś nam, książę, słowa czcigodnego opata o wielkości twego pradziada. Słusznie. Trzeba jego wielkość przed oczy ludzkie kłaść, by nasza słaba pamięć nie przypomniała o czym winna pamiętać. Jeno chciałbym i ja słowo rzec. Rzekł — co opat Bogumił, że nie tylko zwycięstwa orężne uczyniły twego pradziada, książę, wielkim, lecz nade wszystko triumfy jego wiary. Że mógł z cesarzem walczyć, a Bóg oręż jego wspierał, bo oddał się Bogu w osobie Jego następcy i namiestnika — papieża, który w Rzymie, w italskiej ziemi mieszka. Pomyśl więc, książę, czy nie godnym byłoby twej wspaniałości książęcej ponowić ona ofiarę, którą wielki twój pradziad uczynił, i kraj twój raz jeszcze Bogu ofiarować? Lennikiem Bożym być nie wstyd to ni hańba, jeno zaszczyt największy. A co by wówczas rzec mógł Henryk? Groziłby? Niechby i groził. Wy, książę, wsparci pomocą Pańską, drwić jeno moglibyście z jego grózb. Jako Żydom idącym ku Ziemi Obiecanej nikt się nie oparł, tako i wam nikt by się oprzeć nie mógł...

— Jako żywo! — krzyknął Gedeon. — Miłościwy książę! Czcigodny biskup prawie gada! Trzeba nam do Rzymu oblać się stać!

A i Dobiesław, który miał tęgą głowę i wiedział zawsze, jak należy postąpić najlepiej, przytaknął:

— Biskup słusznie gada, wasza miłość. Lepszej rady i z pochodnią by nie znalazł.

Bolesław przechylił się na tronie. Oczy mu się rozjarzyły jak węgle, nozdrza rozdymały jak u rasowego konia. Słowa Stanisława rozjaśniły mu to, ku czemu od dawna podświadomie zmierzał, ale czego nie umiał jeszcze jednym zdaniem wyrazić. Teraz wszystko było dlań jasne.

— Tak! — zawołał — tak! Biskup rzekł to, o czym myślałem. Trzeba Henrykowi zabrać powód wojny, a gdy i wówczas na nas pociągnie, obalić go jego własną bronią. Dobrześ to rzekł, Stanisławie!

Na ogół wszyscy zebrani zgodzili się z projektem biskupa tym bardziej, gdy zrozumieli, że wysłanie oblacji do Rzymu nie jest koniecznym rezygnowaniem z wojny, ku której ich wojownicze serca wrywały się z całych sił. Poczęto więc tylko dyskutować nad tym, kto by się podjął onego poselstwa. Jedni proponowali Dobiesława, dowodząc, że wielce przemyślnym jest człowiekiem i potrafiłby dokumentnie wylo-

żyć całą sprawę Ojcu św. Drużdy zaś byli zdania, iż powinien jechać biskup Stanisław jako z zagranicznymi językami obeznany, a do tego kapłan, co powinno podobać się papieżowi. Jednak Dobiesław zaraz się wycofał, prosząc księcia, aby go nie wysyłał, bo choć świata wiele widział, boi się, iż nie umiałby się na papieskim dworcu wyjęzyczyć. Zwrócono więc oczy na Stanisława, ten jednak potrząsnął głową.

— Wielki to dla mnie zaszczyt — rzekł — alem go nie godzien. Młodym jest i jeżeli nawet opowiem oocu świętemu wszystko, nie wiem, czy zdoła mnie zrozumieć, tak jakby rozumiał człowieka, który dlań jest przyjacielem i towarzyszem. Czcigodny opat Bogumił przebywał razem ze świętobliwym Hildebrandem w Cluny...

Oczy zebranych pobiegły ku wyszłonej, ściągłej twarzy mnicha. Nie wszyscy o tym wiedzieli, lecz teraz dowiedziawszy się, poczuli jeszcze większy szacunek dla starego opata. Gwiazda Hildebranda wschodziła nad całą jaskrawością nad horyzontem, a w tej przejmującym blasku jaśniejąca — zda się — zaświeciła gwiazda czczonego powszechnie eremity.

Lecz wielu zadawało sobie pytanie, czy można tego starca, pozbawionego sił, wysłać w daleką drogę. Pewnie ciężkim musiało być jego codzienne życie w surowym eremie dobrowskim. Nie dla rozkoszy zamykali się tam ludzie, ni dla wypoczynku. Zawszeć przecie co innego były trudy, posty, nocne modły w zimnym, zlodowaciałym kościele, a co innego wielodniowa podróż wśród niewygód i niebezpieczeństw.

Tymczasem Bogumił wstał i poprosił księcia o głos, mówić począł:

— Dziękuję Stanisławowi za jego słowa. I tobie książę, dzięki, żeś chciał ich wysłuchać... Nie lubięci ja pchać się tam, gdzie dla młodszych a nie dla starszych jest miejsce, ale gdybyście chcieli, abym do Rzymu jechał — pojedź. Starczy mi jeszcze sił, gdy myśleć będę, iż zobaczę raz jeszcze przed śmiercią gród Boży... I przyjaciela, co teraz namiestnikiem Pańskim został... Jako więc chcesz, książę...

Bolesław kiwnął głową, uśmiechnięty.

— Nie myślałem, że zechcecie, ale gdybyście wy chcieli jechać, wielce rad będę. Dam wam poczet i dary...

Ale tu wmiszał się Dobiesław. Nie radził on mianowicie, by poselstwo jechało licznym poczem i z bogatymi darami.

— Czasy są niespokojne, całe cesarstwo płonie w ogniu wojny domowej. Paru ludzi przemknę się niepostrzeżenie, lecz liczny poczet na pewno będzie musiał odparać rozmaite napady. Król gównieć dowiedziawszy się o tym, może z wojskiem uderzyć, a zdobyte dary weźmie dla siebie, bo u niego skarbiec pustkami świeci.

Bolesław zmarszczył brwi. Jakoż to być może? Co roku z gniewem słał Henrykowi przyręczone przez rodzica 300 grzywien, a tu Ojcu świętemu, namiestnikowi Pańskiemu, któremu dobrowolnie chce oddać się pod opiekę, miałby nic nie dać? Niemożliwe! Wszak lud go sławi i szcudrym nazywa, a on przywykł się pysznić z tego przezwiska. Dzieścię razy więcej da z dobra woli, niż musiał dawać królowi pod przymusem.

Lecz Dobiesława poparł Stanisław. Gdy oblacja będzie przyjęta, wtedy wystarczy dary posłać. Teraz jednak chodzi o to, aby poselstwo mogło zjechać do Rzymu jak najprędzej. Liczny poczet wstrzymałby go w drodze.

I Bogumił przyznał mu rację. Pojedzie w pięć koni, nie więcej. Weźmie jednego mnicha i ze dwóch pacholików. Skręci lasami na marchię austriacką, potem przez marchię karyńską i Weronę do Italii.

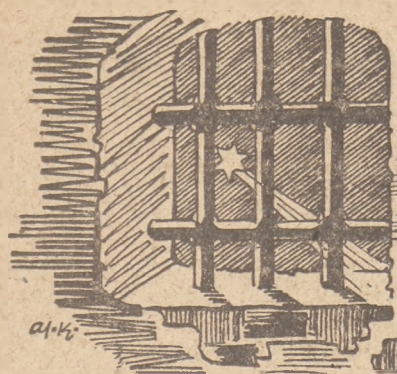
Z trudem udało się przekonać Bolesława, który był uparty i nie łatwo odstępował od swego zdania. Wreszcie sprawa została załatwiona; ustalono, że wyjazd nastąpi wczesnym latem. Miano się już rozchodzić, gdy Bogumił poprosił, by mu jeszcze dano mówić:

— Cieszę się, książę — zaczął — że zgodził się wysłać to poselstwo do Rzymu. Dowodem to twej wielkiej przemyślności i roztropności... Kto buduje z Bogiem w zgodzie, ten buduje trwale... I żadnych burz ni wiatrów, ni nawałnic nie potrzebuje się obawiać. Dzień z Boga poczętych nikt nie zburzy, chyba sam człek, gdy służbę Bożą porzuci... Tedy, gdy chcesz w swym dziele o pomoc namiestnika Bożego się starać, czynisz, jako rozum każe... Myślę też, że jako twój pradziad moc w swym pokornym oddaniu sił znalazł. Bo Pan daje siły tym, którzy Mu wynajdą swoją słabość... A ta moc do wielkości i chwały prowadzi... Łaska jest mocarną... Pomazanie odbierają...

Bolesław zerwał się nagle z tronu. Na twarz wystąpiły mu rumieńce, ręce zacisnęły się na głowicy miecza. Przeraziła wielkość horyzontów, jakie rozpostarł przed nim opat, wstrząsnęła nim. Co innego marzyć w ciszy serca — co innego o tym mówić. Ale to trwało tylko przez chwilę, bo znowu oblicze jego przybrało wyraz pewności siebie i siły. Bogumił zaś zakończył:

— Pomazanie... I koronę... Jako twój dziad, miłościwy królu...

Zrobiła się cisza, w tej ciszy wypowiedziany tytuł wybuchł jak grom. Za mało było mu tu miejsca, więc aż szarpnął oknami, jakby chciał przez nie wydobyć się na świat. Napełnił uszy słuchaczy szumem, zburzył ich spokój moczniej nakazał uderzać sercom. Zrozumieli, że oto nadchodzi chwila, jedna z tych chwil brzemiennej w wypadki, które rozdzielają jak nożem, dwie różne epoki, dwa różne życia. I pełni tej świadomości, ulegając przemożnemu nakazowi serca, powstał z chrzestem z miejca.



Ostatnia gwiazdka

pana Kazimierza

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Na korytarzu panował dziwny i niecodzienny ruch i podniecenie. Słychać było wywoływanie nazwisk, charakterystyczny trzask zamykanych i odmykanych drzwi, ciężki tupot nóg na żelaznych schodach.

Nasłuchiwałem u drzwi, z uchem przytkniętym do żółto-emaliowanej deski. W życiu więziennym żadne takie hałasy nigdy nie oznaczały nie dobrego. Obóz pracy, częściej koncentracyjny, jeszcze częściej — Ponary. Koniec „badania”, odsiadki, koniec marzeń o wolności i szczęściu.

Raptownie drgnęło wieczko „judasza”. Niemal równocześnie otworzyły się przeciagłym zgrzytem drzwi: ledwo wstrzymałem się od zatoczenia na korytarz, a drzwi bowiem oparty byłam całym ciężarem.

Przyspieszonym tempem, pchnięty ciężką ręką strażnika, wpadł ktoś do celi. Drzwi znów zatrzasnęły się z łoskotem.

Spojrzałem na towarzysza niedoli. I rad byłam jego tu obecności i po trzechmiesięcznej ścisłej izolacji tęskno było za jakąś sympatyczniejszą twarzą od trzykroć dziennie widzianych fizjonomii dozorców, tęskno do niekończącej się rozmowy w długie, powoli jak wieczność mijające godziny każdego dnia i każdej nocy.

A z drugiej strony już mi wrzucono na kilka dni „typa”, który bawiąc niesamowitymi opowieściami o swojej sprawie, chciał mnie wyciągnąć na słówka. Byłem wtedy jednak w głębokiej depresji moralnej i na rozmowy nie miałem żadnych chęci. Szczęśliwie się złożyło. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że Gestapo raczyło mi przysłać swego zausznika. Dobre psychologizowanie. Bo a nuż jeżeli człowieka nie załamały „badania”, jeżeli wytrzymał izolację, nie wytrzyma chęci pogawędki ze współwięźniem w celi.

Nowoprzybyły zrobił parę krótków ku drzwiom, gdzie stałem nadal, wyciągnął rękę i przedstawił się:

— Wiliński Kazimierz.

Po tej prezentacji położył na półce ostrożnie kapelusz, zdjął i powiesił równie flegmatycznie płaszcz, strzepnąwszy zeń jeszcze przedtem kurz i pył.

Potem nagle spojrzał na mnie raz, drugi i uśmiechnął się wreszcie szeroko. Widząc moją dosyć powściągliwą minę, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Odtąd przez pierwsze dni byłem jeszcze ostrożny, ale już rozbrojony zupełnie. Potem poznaliśmy się już na tyle, by można było mówić szczerze i swobodnie. Z dnia na dzień po tych rozmowach pan Kazimierz stawał mi się coraz bliższy. Bo i poczciwie to było chłopisko...

Przyszedł do mojej celi w ostatnich dniach listopada. Mineło już kilka tygodni. Pamiętam, jak dziś, był to 18 grudnia. Pana Kazimierza wezwano na badania. Niedługo trwały. Po godzinie wrócił w dobrym humorze.

Zarzucałem go pytaniami. Rzeczywiście sprawa wyglądała na pozor niezłe.

Pan Kazimierz, major z Krotoszyna, przeniesiony przed wojną w stan spoczynku, w czasie okupacji znalazł się w Warszawie. Pracował jako prokurent w firmie niemieckiej niejakiego

Schmidta. Specjalizacja firmy były konstrukcje drewniane dachów i w ogóle roboty montażowe z drzewa. Czasy wojny dla panów Schmidta czasy prosperity. Nie dziwnego więc, że listy pracowników sięgały tysięcznych pozycji, obrót setek milionów, a prace prowadzono i w GG i w Protektoracie Czech i Moraw, głównie zaś na terenach tzw. Ostlandu. Brygady robotnicze kompletowane były w Warszawie i Lublinie. Wyjeżdżając do pracy, ludzie musieli posiadać przepustki. Otóż dochodzimy do sedna rzeczy. Przepustki takie wypisywał cieszący się pełnym zaufaniem szefa, pan Kazimierz. Odnośny urząd nie czynił sobie specjalnego kłopotu z przeglądaniem nazwisk. Urzędnik przybijał pieczętkę, ocierał chustą spasiono czoło i mówił, że wszystko „in Ordnung”. Tego zdania był wreszta i pan Kazimierz, z każdym bowiem transportem jechało sporo „lewych”. Pan Kazimierz zresztą nie wchodził, kto i po co — dostawał nazwiska, wypełniał przepustki, właściciele nazwisk się zgłaszały i jechali, gdzie im było potrzeba.

Licho nadało, że kiedyś zechciał się zwrócić do pana Kazimierza ktoś ze znajomych z prośbą o przepustkę dla dwóch „businessmanów”, którzy w pogoni za fortuną z zysków spekulacyjnych dotarli do Warszawy, tu im się zrobiło trochę ciepło i szukali drogi, którą by wywieźli tam, skąd przybyli — a przybyli z terenów wschodnich. Pan Kazimierz wzdrygał się mało wiele, ale jakże to przyjacielowi odmówić. Dał tym gościom przepustki, ale niech ścisłe przestrzegają jego zleceń, bo kontrola została ostatnio szczególnie ścisła wzmocniona.

Ale spekulanci, dusze, jak to wiadomo, zawsze zachłanne i wygodne. Mieli jechać okrutną drogą, pojechali najkrótszą. Mieli jechać bez szmuglu, powieźli wiele tylko się dało. A kontrola była rzeczywiście wzmocniona. Obaj paszkarze wpadli na dworcę w Wilnie. Towar Gestapo skontfiskowało, ich zaś wsadziło za kratki. Przy okazji „wyspiwali” nie tylko to, co wiedzieli (a wiedzieli bardzo mało) i dużo więcej, co ślina na język przyniosła. Wiadomo, byle tylko jakoś ratować swą skórę.

Pan porucznik Max z Gestapo, późniejszy zresztą dobry kompan jednego z panów spekulantów, żywo zainteresował się całą sprawą. Aż tak, że nawet sam pojechał do Warszawy. Wtedy to aresztowano pana Kazimierza wraz z jednym z urzędników. Z kajdanami na rękach przewieziono „zbrodniarzy” do Wilna. Nawet uciekać do domu Kazimierzowi udało się na Towarówą do domu, gdzie mieszkała żona z córką i synem.

Na miejscu zaczęło się śledztwo. Musiał się przyznać pan Kazimierz do swojego błędu. No cóż, chciał pomóc ludzkiemu wrócić do rodzin, a poza tymi dwoma, nigdy nikomu żadnych „lewych” przepustek nie wydawał.

Od takich zeznań zaczął i trwał przy nich uparcie a konsekwentnie. Podobnie na dodatkowym badaniu dnia 18 grudnia. Takie dodatkowe badania bywały zazwyczaj przeprowadzane na krótko przed zakończeniem sprawy. Tym razem sędzia był grzeczny, bąknął coś nawet o karze 6 miesięcy

i wolności. A sześć miesięcy miało w końcu grudnia.

Czyż nie miał pan Kazimierz podstaw do nadziei i radości?

Była już późna noc. Zbudziłem się już dawno, wywracałem na twardym sienniku, kureczyłem jak mogłem pod wąłym kocem od zimna, idącego z cementowej podłogi. Sen odbiegł i nie chciał wracać. Szły za to tysiącem myśli, niewesołe myśli więzienne. Dziś 22 grudnia. Pojutrze wigilia. Święto rodzinne. Ciężkie to będą tutaj dni...

Powodów zbyt wielu do optymizmu nie miałem. Trudno zresztą było o nadzieję. Konkretne dowody nie do odparcia obciążały dostatecznie, by czekać tylko jeszcze jazdy do lasku Ponarskiego. Pan Kazimierz może mieć chociaż jeszcze nadzieję. On myśli o wolności, ja o życiu. Zasadnicza różnica.

Spojrzałem zrezygnowanie a smętnie na białą plamę okna, porzecinaną kratami. Przymknąłem z lekka oczy. Myślałem znów o domu. Dom bowiem wracał zawsze z nieodpartą siłą.

Gdy znów spojrzałem w okno, po ocknięciu z ciężkiego półsnu, jasny kwadrat w dolnej części przysłaniało coś ciemnego. Wzrok spoczął na ciele. Na swoim sienniku, w białej, przykrótkiej koszuli, przysłanej przez tajny patrol więzienny, kłęczał pan Kazimierz. Widac było wyraźnie na tle plamy okna poruszające się jego usta, do uszu dochodził cichy szepot.

„— Pomnij o Najmiłościwsza Panno Mario”...

Szept potem ucichł. Ale długo jeszcze nieruchomo tkwiła w pozycji kłęzącej sylwetka pana Kazimierza. Głowa kornie schyłona, ręce skrzyżowane. Raz tylko wzniósł się błagalnie i z rozpaczą, jak gdyby ku górze, a ramiona dziwnie zatrzęsły...

Społgądałem dziwny. Pan Kazimierz był pobożny, to prawda. Modlitwy co dnia odmawiał w skupieniu. Ale też i spał zawsze mocno. W swe noce bezsenne nie zdarzyło mi się nigdy jeszcze słyszeć jego miarowego oddechu. Cóż więc to dzisiaj się stało. Od dnia powrotu z ostatniego badania był wprawdzie jakiś podniecony, czegoś się chmurzył niespodziewanie i zamyślał, ale na ogół zmienił się w uosobieniu minimalnie...

W ciszę celi, przerywaną tylko miarowymi krokami strażnika gdzieś na „bocianie”, wpadł nagle raptownie ostry, niespodziewany ton. Podniosłem się na łokciu, nie mogąc przez chwilę uzmysłwić sobie miejsca, skąd pochodzi. Ze zdumieniem stwierdziłem, że to pan Kazimierz szlochał. On, taki opanowany, zawsze zrównoważony, nie poddający się impulsom?

Wylekniony dziwnie, leżałem bez ruchu. Ten tylko, kto słyszał płacz mężczyzny, płynący z rozpaczy, uświadamia sobie, ile on głębi wyraża. Wiele się musi w danym człowieku nagromadzić, by wreszcie się objawił w tych słonych łzach, ciekawych od okresu dzieciństwa może pierwszy raz w życiu. Nie wiedziałem co począć, ale szloch ten nie dawał mi spokoju, wdzierał się do serca, niepokoił i przytłaczał swoją wymową.

Wreszcie zdecydowałem się. Potrząsnąłem ramieniem współtowarzysza.

— Panie Kazimierzu!

Po chwili dopiero podniósł głowę, spojrzał, ale w tej chwili szloch targnął nim jeszcze mocniej. Dałem mu się wyplakać. Gładziłem łagodnie tę głowę z siwymi, coraz gęstszymi pasmami, nieudolnie przysłaniającymi łysinę. Złożył mi głowę na drugiej ręce. Aż wreszcie przez łzy zaczął mówić. Prosto i mocno, bezpośrednio, jak tylko w takiej sytuacji dwaj bliscy ludzie potrafią sobie mówić.

Pan Kazimierz odczuwał ostatnimi czasy jakiś dziwny, niewytłumaczony lęk. Dreczył go niepokój, opadały przecucia. I coraz straszniej tęsknił. Mówił o tej tęsknocie. O żonie, z którą tyle doli i niedoli przeżył, a która nawet i nie wie, gdzie w tej chwili jej mąż przebywa. O córce Krysi, której ślub miał być wkrótce. O synu, zdaje się Janku, dzielnym i szczerym chłopaku.

Poznałem tej nocy całe życie pana Kazimierza. I czasy pierwszej wojny, i Krotoszyna, Grodna, a wreszcie Warszawy. Wszelkie przejścia ściśle osobiste i o tyle szerszym. Nie nie tań, ja nie nie przerywałem. Skończył znowu zmorą przeczuć, ostatnio na nim osiadła. Plakać już dawno przestał. Smutnie jeno spoglądał w naddziągający przez szachownice kraty świat.

— 23 grudnia — rzekł wreszcie po długiej chwili milczenia. Jutro wigilia. Byłbym szczęśliwy, gdyby naprawdę ten ksiądz miał przyjść. Boję się, czy aby nie podstawia tutaj jakiegoś gestapowca. Bo nie chcę wierzyć, by się na taki gest durnie zdobyli...

A jednak ksiądz dnia tego wieczorem przyszedł. I nie żaden gestapowiec. Wytłumaczenie było proste. W więzieniu siedziało dużo Litwinów za kryminalne przestępstwa. Władze litewskie uprosiły Gestapo o zezwolenie na przybycie kapelana do więzienia. Ten nie zapomnił i o nas, Polakach.

Dziwna była ta spowiedź więzienna. Dziwny ten ksiądz, który w jej trakcie ukradkiem wsuwał nam w ręce papierosy. Ale nigdy też może w życiu nie był Sakrament Pokuty tak głęboko przejęty i odczuty, jak wtedy. I żaden papieros w życiu tak nie smakował.

Dudniło w celi, gdy pan Kazimierz bił się w piersi i huczał:

— Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa.

Długośmy się modlili w ten wieczór.

Ledwo świtało w dzień wigilijny, gdy do celi wszedł znów ksiądz, ten sam, w komży i ze skupionym wyrazem twarzy. Zrozumielśmy. Kolana przypadały do ziemi. Jezus nawiedzał nas w dzień Swego Narodzenia...

Długośmy jeszcze trwali na kłęczkach. Gdy wreszcie spojrzałem na pana Kazimierza, nie poznałem go wcale. Tyle było piękna i uczucia; szczerzej, najwymowniejszej radości w tej tak dobrze mi znanej twarzy, tyle uduchowienia, że w takim dopiero momencie poznaje człowiek, jak silna i potężna jest wiara.

Kilka razy jeszcze częściej, jak zazwyczaj, otworzyły się drzwi naszej celi, opatrzonej symboliczną cyfrą — 44. Przybyły paczki świąteczne — dla mnie z domu,

dla pana Kazimierza z Komitetu. Dostałem wtedy gryps. Pojawili się pierwsze wieści o niepowodzeniach na froncie, zapowiedź idącej kłęski niemieckiej. Między jedzeniem gałązka chojny radowała zielenią. Wieczorem znów przybył ksiądz, teraz z opłatkiem, dobrym słowem i dyskretnie wręczonym papierosem. Wyszedł z moimi grypsami. Jak później sprawdziłem, nazajutrz do domu dotarły.

Ale nad wszystkim dominowała radość, szczęście po prostu, że odwiedził nas w celi dnia tego sam Bóg. Ta łaska była ponad wszystko radosną.

Gdyśmy się układali spać, pan Kazimierz powiedział jeszcze:

— „Nie wiem, co jutro przyniesie. Ale choćby to miała być moja ostatnia gwiazdka, jestem dziś naprawdę spokojny i szczęśliwy.”

Nie trzeba było odpowiadać. Rozumieliśmy się przecież.

Dzień Bożego Narodzenia wstał jasny i słoneczny. Jasne i słoneczne były nasze nastroje. Tegoś dnia szczerze się śmiali, żartowali nawet wesoło. Momentami zapominaliśmy nawet, że jesteśmy w więzieniu.

Dopiero pod wieczór opadły znów falą melancholii wspomnienia domu, rodziny, wolności. Każdy z nas pograżył się w nich bez reszty.

W nocy, gdy wreszcie po długiej walce z bezsennością zapadł w ciężki, mocny sen, poczułem szarpanie za ramię.

Pan Kazimierz przysiadł na moim sienniku.

— Jutro będzie przełomowy dzień mojego życia. Czuję to wyraźnie. Ale jestem dziwnie spokojny...

Mówił mi coś tam jeszcze. Byłem jakiś podenerwowany i nie miałem ochoty do rozmowy. Może niegrzecznie bąknąłem coś o babskich przecuciach i przesądach.

Po chwili znowu spałem.

Zbudził mnie dopiero zgrzyt klucza w celi. Wywołano nazwisko pana Kazimierza, wszystkie personalia. Dano mu kwadrans czasu na ubranie się i uporządkowanie rzeczy. Zauważyłem, że dozorca był czegoś chmurny i patrzył z podejrzliwością.

Z korytarza dochodziły wywoływania innych nazwisk. Miałem poważne obawy. Pomagałem w milczeniu wziąć panu Kazimierzowi jego skromny dobytek.

Gdyśmy się całowali na odchodnym, rzucił mi jeszcze:

— A jednak miałem rację, że dzisiaj będzie dniem dla mnie przełomowym. Cieszę się tylko, że co mi się nie stanie, przystąpiłem w wigilię do Komunii Świętej...

Milczałem. Czegoś stanęły mi w oczach łzy, a w gardle było dziwnie sucho i mdło...

Wieczorem jeszcze tego smutnego drugiego dnia Świąt dowiedzieliśmy się nazwisk rozstrzelanych w rannym transporcie na Ponarach. Między nimi był i Kazimierz Wiliński.

Przypomniały mi się słowa jego o ostatniej gwiazdce...

Nie pierwszy raz i nie za pierwszego kolegę w tych czasach więziennych odmawiałem kłęzącą modlitwę pośmiertną.

Tego dnia nadawali jedenaście godzin. Szpak patrzył zażalonymi ze zmczenia oczyma na długie szeregi cyfr 427, 354, 119, 107...

Nawet po służbie, kiedy walił się na rozłożony w kącie pokoju, na podłodze, materac i zasypiał ciężkim, niespokojnym snem, przesładowały go te niekończące się, maszerujące ku niemu kolumny liczb. Na widok tych cyfr, zestawionych w grupy i stanowiących znaki umownego szyfru, ręka radiotelegrafisty drgała odruchowo, przekazując tajemniczą treść falom eteru, obiegającym cały świat i docierającym „tam“, gdzie siedział inny radiotelegrafista, syty, wypoczęty i bezpieczny.

Codziennie, kiedy kończyli nadawanie, Szpak przechodził na zwyczajny alfabet Morse'a i rozmawiał z tym kolegą, który odbierał „tam“ jego wiadomości. Kiedyś przedstawili się sobie — Szpak podał swą szarzę i pseudonim, a tamten imię i nazwisko. Ale nigdy nie „rozmawiali“ zbyt długo. Może i nie dlatego, że obaj byli znudzeni pracą, po prostu dzielił ich cały świat.

Teraz Szpak likwidował właśnie całą aparaturę. Troskliwie opakowywał drogocenny „kwarc“, który przyfrunął był któregoś bezkieszczykowej nocy, opadając na dużą, leśną polanę, w skrzynce przyczepionej do spadochronu.

Koło okna stał, trzymając ręce w kieszeniach. Bazyli — komendant radiostacji. Bez słowa patrzył na sypiący bez przerwy śnieg. Zaraz obok niego siedziała na krzeselku, twarzą zwrócona ku światłu, jasnowłosa Danusia — łączniczka. I ona miała pseudonim, ale jakoś nigdy nie używała go w rozmowie. Była Danusia i basta. Minę miała skąpioną, — czerwała właśnie skarpetki Bazylego i wypadło jej nawlec igłę gruba, wełnianą nitką.

— Skończyłeś już grać na dziś? — zapytała retorycznie Szpaka.

Nikt jej nie odpowiedział. Dobry humor i dawne zawiadyckie nastroje opuściły ich już od kilku tygodni. Zaczęło się to jeszcze w Warszawie, pewnego niedzielnego popołudnia. Bazyli już od dłuższego czasu przypuszczał, że Niemcy odeczytali ich szyfr. A wtedy właśnie, za ledwie rozpoczęli nadawanie, na tę samą falę „wjechała“ niemiecka krótkofalówka i uruchomiła brzęczyk, prawie że uniemożliwiając odbiór. Bazyli zawiadomił wtedy tych „tam“, oczywiście w mowie szyfrowej, że przechodzą na inną falę, której długość jednocześnie podał.

Nie zdążyli jeszcze nawet się przestroić, kiedy Niemcy na tej właśnie nowej, przed chwila podanej fali rozpoczęli swój obłędny koncert. Było już wtedy jasne, że szyfr udało się im odczytać. A zaraz następnej nocy nastąpiło uderzenie w sztab — trzech ujęto, dwóch cudem ocalało. Po dwóch dniach złapano jedną łączniczkę, po tygodniu wpadł technik, niosący naładowane akumulatory. Wkrótce doniesiono z Pawiaka, że łączniczka Ewa załamała się podczas badania. Nikt się nie dziwił, musiano się nad nią dobrze zniecać. Album poszukiwanych przez Geheim Staatspolizei powiększył się o dwie dodatkowe pozycje: dwa nazwiska i dwa rysopisy — Szpaka i Bazylego. Trzeba było uciekać.

Wtedy to właśnie przeniesiono się do miejscowości leńskowej pod Warszawą. Jakiś nowy, świeżo do organizacji przyjęty stamtąd pochodził. Wynalazł małe mieszkanie w drewnianym domu na uboczu, które natychmiast wynajęła jedna z „chrzestnych matek“, oświadczała rozradowanej dobrze płacącą refleksantką gospodyni, że bierze je dla swej rodziny w obawie przed spodziewanymi

LUCJAN WOLANOWSKI

Amarantowol

mi nalotami sowieckimi w Warszawie.

Szyfr zmieniono. Ów nowy jeździł codziennie do szkoły do Warszawy. Przy okazji przywoził „nuty do grania“, a zabierał otrzymany od tych „tam“ materiał. Wszystko zaczęło powoli wracać do normy, kiedy w okolicy zasygnalizowano ukazanie się samochodu Wehrmachtu, zaopatrzonego w aparaturę do obliczania położenia radiostacji. Jeszcze szczęście, że nie było akurat wtedy nie do nadawania i cały dzień pozostawano tylko na odbiorze. Ale z drugiej strony oznaczało to, że znowu tamci coś wyweszyli, że znowu zaczynają szukać. A przecież w tej zabawie w kotka i myszkę niemal wszystkie szanse były po tamtej stronie.

Zdawali sobie z tego sprawę radiotelegrafisci. Wiedzieli, że ochrona radiostacji — dwaj chłopcy 18-letni, czuwający na zmianę przez całą dobę, — nie obroni ich swym pistoletem automatycznym i dwoma starymi Mauserami, — przed cekaemami i granatami gestapo. Ale trudno — może się to jakoś uda. Przebiedują tam jeszcze trzyczci, dwa — i znowu wróca do Warszawy.

Zima była wtedy bardzo ciężka. Systematycznie Niemcy obliczali dokładnie, że od 97 lat nie było takich mrozów. A nad Europa wisiała jeszcze noc. Do świtu było daleko. Pisano rok 1941. Na wschód odechodzący z Rzeszy długie pociągi, wiozące zimowe zapleczenie dla żołnierzy w Rosji. Pociągi wracały, przywożąc tysiące ludzi, potwornie odmrożonych. Ciężka była zima w Rosji.

W małej restauracyjce koło stacji, nieopodal rozżarzonego do czerwoności piecyka żelaznego, siedzieli przy stole dwóch dobrze ubranych mężczyzn. Rozmawiali półgłosem, oglądając się niekiedy na drzemiącą za bufetem gospodynią i krzatającą się po sali wystrojoną kelnerkę. Przerwywali rozmowę, ilekroć otwierały się drzwi wejściowe, a nowo przybyli wnosili ze sobą powiew mroźnej nocy zimowej. Na świecie szalała wojna. Tuż za oknem — burza śnieżna. Ale w lokalu było gorąco, dostatek, ekliwy mieszczkański dobrobyt mieścił się w tym pokoju. Wódki, wina, piwo, przekąski, jakieś ciastka powiększały jeszcze wrażenie oazy jada i napoju wśród skołatanego wojna świata.

Panna Helenka, kelnerka sprowadzona z Warszawy, uśmiechała się przymilnie i obiecująco, proponując bez natręctwa stałym klientom specjalnie „udane“ tego wieczoru potrawy. Notowała na świstkach papieru okrągłe rachunki, od czasu do czasu rzucając spojrzenia na gości. Pod samym bufetem siedział dobrze już podpity rządcą z okolicznych majątków. Nucił pod nosem jakąś pónurą piosenkę, przenijając w przerwach do samego siebie. Zaraz obok sekretarz sołectwa obglwał z miejscowym sklepikarzem jakiś interes.

— Nie się nie bój — tłumaczył mu raz po raz — póki ja tu jestem, nic złego ci się nie stanie. Swój chłop jesteś, napijmy się.

Koło samego piecyka siedzieli dwaj główni konsumenci tego wieczoru, oszacowani oczyma panny Helenki na czterocyfrowy rachunek. Alfred Voss — właściciel jakiegoś przedsiębiorstwa w Warszawie i zarazem obywatel tutejszy oraz Zygmunt Krzewicki — tłumacz przy staroście powiatowym.

— Mówię panu — rzekł Krzewicki — to jest doprawdy wspaniały interes. Niech pan tylko uważa — wziął do ręki ołówek i zaczął kreślić szybko na pudełku od papierosów jakieś liczby — trzeba będzie pojechać na Śląsk, są tam duże cementownie, zawałone co prawda robotą, no ale jakoś się z nimi dogadamy. Będzie to naturalne kosztowało, ale powinno się opłacić. Na inwestycje dostanie pan jednorazowo pożyczkę, przypuszczam, że na długi termin. Robocizna, tak — z tym jest trochę gorzej, ale jeżeli będzie pan miał trudności, to wyrobę panu przydział Żydów do betoniarni. Dostaną grosze, haro-

nierobów, agenci nasłani przez Moskwę i Londyn, którym zależy na tym, by ludność tutejsza nie zaznała spokoju. Wie pan przecież, że jestem dobrym Polakiem, wie pan, że mam maturę i dwa lata uniwersytetu, a więc pewne podstawy do trzeźwego sądu. Otóż powiem to panu, że wojując z Niemcami, nie nie wskóramy. Trzeba się z nimi dogadać. Kto temu przeszkadza? Właśnie ci zasmarkani działacze, sługusy, międzynarodowego żydostwa.

— Ale w ogóle, po co ja to panu opowiadam? Co to pana może obchodzi? Przecież pan sam jest porządnym człowiekiem i nie bawi się w politykę, syn pana uczy się w Warszawie i też nie w głowie mu ta zabawa w w...ko. Ale nie wszyscy są tacy.

— Przedwczoraj, kiedy rozmawiałem z Kreishauptmannem na temat tej koncesji dla pana, zapytał mnie po prostu:

— Ano dobrze, ja mu dam pozwolenie na betoniarnię, ja mu pozwolę zarabiać, ale czy to jest nasz człowiek? Bo to — powiedział mi wtedy Kreishauptmann — trzeba dobrze uważać. W betoniarni pracować będą robotnicy. Pewnie przyjezdni, znowu niepewny element, no i rozumie się ulotki, odezwy i w ogóle — tak się Kreishauptmann wyraził — polskie knowania. Muszę wiedzieć, czy daje pozwolenie pewnemu człowiekowi.

— Niech pan nie myśli, panie Voss, że Kreishauptmann robi trudności dla jakichś materialnych korzyści. Jest on człowiekiem idei. Dlatego też niech pan powie, co mam mu rzec. Jak udowodni pan swój pozytywny do nas stosunek?

Voss zaniepokoił się.

— Jak to, przecież Kreishauptmann dobrze wie, że służyłem kiedyś w cesarskiej armii. Wie, że jestem lojalnym obywatelem. Zresztą jestem kupcem. Lokuje kapitał, daje mu pracę, organizuje przeróbkę surowca na towar. Tłumacz spojrzal na niego bystro.

— Panie Voss, przecież pan nie jest volksdeutschem. Pan się nie poczuwa do wspólnoty z narodem niemieckim. Ja, gdybym miał jak pan, niemieckie nazwisko, gdybym był jak pan ewangelikiem i pochodził jak pan z Niemiec, nie zastanawiałbym się długo. Jako kupiec, winien pan wiedzieć, że Niemcy nie zbaukrutują, że sowskie opłacają każdemu jego wkład do zwycięstwa Rzeszy. Ale niech pan nie myśli, że chcę pana nakłonić do przyjęcia niemieckiej volkslisty. Broń Boże, teraz, kiedy zwycięstwo Niemców jest oczywiste, wyglądałoby to nawet na spekulację. Idzie mi o co innego. swą lojalność wobec nas w inny sposób. Musi pan nam pomóc w pewnej sprawie. No, ale chodźmy na kolejkę, muszę już wracać. Opowiem to panu po drodze.

Wyszli w zawieję i utoneli w mroku. Voss zauważył jednak, jak tłumacz wydobyl pistolet z kieszeni marynarki i odbezpieczając przełożył do palta.

— Z tymi wojującymi szczeniakami nigdy nie było wiadomo — mruknął wyjaśniająco.

Już po chwili doszli na stację. Byli sami w zadymionej poczekalni. Tupali zaśnięzonymi butami i otrzepywali się ze śniegu. Siedli na ławce, wracając do przerwanej rozmowy.

— Powiem to panu w zaufaniu, panie Voss.

Nie było nikogo, ale Krzewicki zniżył głos do szeptu.

MAREK ADAM JAWORSKI

ODSZEDŁEŚ

Czy słyszysz? Szumi las.

Czy widzisz? Zieleń mchu.

Patrz, Janku, słuchaj — — —

— już piersiom braknie tchu — — —

martwota głucha. — — —

Janeczku, widzisz ptak,

ptak białopióry...

— To orzeł? — daremnie:

tam kruk się ciemni...

Wiedziałeś: słowami

nikt oka nie wydziobie.

Ująłeś karabin

w młodości ręce obie.

Hej, Janku, wolność na ramieniu

związała automatem...

i Twoich lat dwadzieścia...

Czasem, gdy zachód noc czerwienił,

Tyś myśł o Polsce pieścił,

gdzie każdy byłby bratu bratem...

Janku, budujemy Polskę,

jaką chciałeś, ...a Tobie s-umią

drzewa...

Słyszysz rytm miarowy maszyn? —

— I Ciebie przy nich nie ma,

wać będą przez cały dzień, przysię się kogoś, żeby ich popędzał, to szybko pójdzie. Zamawiający odbierać będą towar sami.

A teraz niech pan słucha. Na takim kregu studziennym powinien pan zarobić przynajmniej 30 złotych. Kalkulacja jest prosta, ryzyka nie ma. Panie Voss, przecież pan jest inteligentnym człowiekiem. Niech pan się tylko zastanowi. To, że Niemcy staneli chwilowo w Rosji, jest tylko korzystnym dla nich objawem. Organizują administrację na zapleczu, polepszają dowóz, a za to na wiosnę jeden skok — i już są w Moskwie i Leningradzie. A Ukraina? Przecież na wiosnę przetną Wołgę. Bolszewicy cofając się niszczą studnie. Ministerstwo dla Okupanych Terenów Wschodnich w Berlinie woła o kregi studzienne. Na miejscu, tam na Ukrainie, robić ich nie można. Front za blisko, cementownie za daleko, fachowców bolszewicy zabrali ze sobą. Zaś tu, u nas, warunki produkcji są idealne. Cementu dość, na Ukrainie niedaleko, robocizna tania. Ten rynek na wschodzie nie ma żadnych granic chłonności. Tysiące i dziesiątki tysięcy studzien muszą być wykopane dla wojska, oraz naszych osadników, którzy zaludnią te ziemie. Na wiosnę przybędą nowe tereny. Na tym, panie Voss, można zarobić miliony.

— Ludzie są głupi, panie Voss. Dwa lata temu we wrześniu, kiedy pierwszy powiedziałem, że Niemcy wygrają tę wojnę, okrzyczano mnie za zdrajcę, a ja po prostu miałem głowę na karku. Dziś, widać to jak na dłoni. Kto tego nie może rozumieć? Banda

— Pan jest tutejszy, pan tu wszystkich zna. Pan nam pomoże. Tu gdzieś musi być radiostacja, a może nawet i sztab. Miejscowi wiedzą o tym z pewnością. To jest nie do ukrycia. Ktoś musi przecież dawać im schronienie ktoś ich tu sprowadził. Samochód gonimetryczny nie tu nie poradzi — kiedy się zbliża, zaraz go sygnalizują tym ludziom i natychmiast przerywają nadawanie. Oni tu muszą mieć sieć łączników. Nie wierzę, aby pan się nie mógł czegoś dowiedzieć. Podkreślam raz jeszcze czegośkolwiek. Jeżeli złapiemy jednego z tej bandy, jeśli natrafimy na najmniejszego ślad, to zobaczy pan wtedy to, co Niemcy nazywają „die ganze Arbeit“. Sam szef gestapo z Warszawy interesuje się tą sprawą, a i Kraków jest o niej powiadomiony. Kreishauptmann meldował w swoim czasie, że mamy tu sieć współpracowników w terenie. Ale to przecież ludzie poza nawiasem. Policjanci, niekiedy niżsi urzędnicy gminni, gajowi — wszystko pijacy i blagierzy, wszystko zdekonspirowane. Palcami ich chłopaki na ulicy pokazują: „O, widzisz, ten z gestapo!“

— Co innego, uważa pan, złapać żyda czy babę ze szmuglem, a co innego radiostację.

— Za dużo panu powiedziałem... Ale przecież ja mam do pana bezwzględne zaufanie. Pan mnie nie zawiedzie. Pan nam pomoże. Wytyczne dla swej pracy dostanie pan od fachowca. Jutro wieczorem zgłosi się do pana, będzie w cywilu i powie, że Werner go przysłał.

— I jeszcze jedno. Koncesję na betoniarnię uzależnia się od pańskiego ustosunkowania się do tej sprawy. A niech pan wierzy, że jeżeli pan nam pomoże, to i poza tym potrafiemy być wdzięczni. Ale niech nas pan nie próbuje wprowadzić w błąd. Ludzie panu ufają, pan dowie się tych rzeczy, o które nam chodzi i da nam sprawozdanie... No, głowa do góry, niech się pan nie zastanawia. Pracuje pan przecież dla siebie, dla swego dobrobytu, dla spokoju swego kraju. To wszystko co chciałem panu powiedzieć.

Na peron wjeżdżała kolejka. Wyszli z poczekalni. W świetle żółtego reflektora widać było jak zawierucha podniosła w górę śmiecie, leżące nieopodal toru i wirowała nimi nad nieskalaną bielą śniegu.

Wracali razem z Warszawy do domu. Spotkali się przypadkiem na mieście i Alfred Voss zdziwił się bardzo, że w dwie godziny po zakończeniu lekcji syn jego jest jeszcze w Warszawie. W wagonie kolejki rozmawiali ze sobą. Voss zauważył od pewnego czasu, że Janek jest dziwnie roztargniony i nawet sprawia wrażenie podenerwowanego. Nie dopytywał się nigdy — zdawało mu się, że chłopak przeżywa jakąś pierwszą, wielką miłość. Uśmiechał się na samą myśl o tym. Za ledwie wczoraj — wydało mu się to tak niedawnym — syn jego laził po drzewach i grał w berka, — dziś, jak to zabawnie pomyśleć — zakochany.

Kolejka, które minęła ich w pedzie jadąc do Warszawy, była zupełnie pusta. W wagonie na sekundę zmarły wszystkie rozmowy, by następnie wzmóc się potokiem domysłów.

— Wygarniają ludzi!

— Łapanka!

Na następnej stacji wiedziiano już wszystko. Kondektorzy mieli wiadomości od zwrotniczego. O paręset metrów dalej podjechały budy. Wyrzucają wszystkie z wagonów i legitymują. Jeżeli wydał im się ktoś podejrzany — rewidowali.

Wielu pasażerów wysiadło.

— Dobre się stało — powiedział do syna Alfred Voss — że jedziemy razem. SS-mani nie żartują z młodymi ludźmi! Ze mną będzie ci zawsze raźniej. Odpowiem za ciebie, gdybyś nie

umiał wysłować się po niemiecku.

Młody Voss był zdenerwowany.

— A może lepiej byśmy poczekali?

— Ech — zdziwił się ojciec — po co to. Wylegitymują nas, może — wet zrewidują i pojedziemy dalej.

Kolejka ruszyła ku filtrowi, przesączającemu praworządnych i wyrotowców, lojalną ludność tubylczą Generalnej Gubernji i „polskich bandytów”. Po chwili zagrzętały hamulce. Na przejeździe stały cztery samochody ciężarowe i jeden osobowy. Grupa szarozielonych SS-manów otaczała zbitą masę wystraszonych ludzi. Na boku, pod lufami automatów stali podejrzeni. Jakaś kobieta głośno płakała.

— Alles raus!

Z wagonu zaczęło gorączkowo wysiadać. Stary Voss spojrzął na syna. Był zupełnie blady. Pewnie — pomyślał — nerwowo nie było to przyjemne nawet jeżeli się jest w porządku. Gdy nagle w ścisisku, jaki powstał przy wyjściu, Janek odwrócił się do niego raptownie. Był rozgorączkowany i dziwnie stanowczy.

— Słuchaj — powiedział, wciskając mu do ręki kartki papieru, — masz to, a jeżeli chcesz mego dobra, to gdyby nas rozdzielono oddaj wymienionemu adresatowi, mieszka u Walczaków, wiesz, w tym drewniaku niedaleko nas.

Było w tym wyrecytowanym szeptem zdaniu tyle pewności siebie i zarazem tyle prośby, że Voss bez zastanowienia schował kartki do kieszeni. Ucisnął tylko syna za ramię.

— Co to?

— Nic ważnego dla ciebie, — dla mnie wszystko.

— W gazetki się bawisz, wszystkich narażasz...

— To nie gazetki.

— Co masz jeszcze przy sobie?

— Nic.

Podszedł do nich SS-man. Pochylony lekko, o twarzy przysłoniętej przechylnym na oczy hełmem, z pistoletem w dłoni. Lewą ręką, szybko i sprawnie wypróbowanymi ruchami rewidował Janka. Z kieszeni wyciągnął mu jakieś papiery i wertował je uważnie. Mały kalendarz, na wpół rozdarty słowniczek niemiecki, jakieś notatki z rysunkami — chyba fizyka — drobne, papierowe pieniądze, kilka amatorkich fotografii.

— Arbeitskarte?

— Nie mam. Chodzę do szkoły, mam legitymację — wyjaśnił

ręczowo po polsku. Alfred Voss pośpieszył z tłumaczeniem.

— Milczec, nikt się pana nie pyta — przerwał mu żandarm. Wziął do ręki legitymację.

— Przeszła — powiedział z triumfem. — Ważna do 30 listopada 1941, a dziś już jest 13 grudnia.

— Zapomniałem przedłużyć — wyjąknął Janek.

— Bez tłumaczeń — wziął go za rękę i popchnął ku grupie zatrzymanych.

Alfred Voss zobaczył, jak SS-man tłumaczy coś oficerowi w skórzanym płaszczu, który wziął do ręki legitymację Janka i kiwał nad nią głową. Z grupy ludzi wysunął się raptem Krzewicki, objaśniając widocznie jakąś sprawę oficerowi. Voss uradowany, przywołał go skinięciem ręki. Ale tym razem Krzewicki był bezradny.

— Nic się nie da zrobić. Musi jechać z nami do Warszawy. Tam zatelefonuje się do szkoły i sprawdzi, czy dalej studiuje. Ja przecież pana rozumiem, ale nadporučnik jest bezwzględny — żadnych wyjątków. Ale już ja tam będę — jeżeli nie będzie powikłań, wieczorem odwieżę go panu do

domu. Co za nierozwaga ze strony pańskiego syna.

Ludzi starszych nie rewidowano. Sprawdzono pobieżnie dokumenty i przeważnie pozwolono jechać dalej.

Alfred Voss wysiadł na swej docelowej stacji i wszedł w świerkową aleję, prowadzącą do domu. Uzmysłowił sobie nagle, bo w pościgu nie mógł jakoś zebrać myśli, jak wielkie wisało nad nim niebezpieczeństwo. O syna się nie niepokoił. Był pewien, że Krzewicki wyciągnie go szybko z tej przygody. Tajemnicze papiery ciążyły mu w kieszeni, jak gdyby dźwigał płytki ołowiane. Rozejrzał się wokoło, ukradkiem wydobyl jedną kartkę i obejrzał, trzymając ją pod przykryciem rozpiętego futra. Zawierała tylko cyfry. W lewym rogu u góry napisał ktoś ołówkiem: „Bazyli! nadal koniecznie dziś!!!”

Voss zrozumiał. Myśli zaczęły kraść po głowie, piętrząc się w sploty koncepcji i domysłów. Rozsądek narzucał wątek działania: ...do sołectwa, telefon, zaraz przyjadą, Janka tam nie będzie, Kreishauptmann, długie pociągi z kregami studziennymi jadą na Ukrainę, ...bogactwo.

„Polska Zachodnia”

jest pismem

które każe myśleć i pracować

dla Ziemi Odzyskanych

Cyfry na trzymanej w dłoni kartce przegrupowały się w jego wyobraźni w pozycje w księgach rachunkowych. Kalkulacja. Wiśnie — Ma, Trwało to chwile.

Tam w tym drewniaku czekają teraz młodzi ludzie, prawie dzieci — pewnie jak Janek — rozumował dalej. — Wyobraził sobie moment wkraczania żandarmów. Zblednął pewnie, jak jego Janek, wtedy w polu. To są pewnie Janka koledzy, może nawet poznał ich kiedy u siebie w domu. Walczą dla swego kraju, Walczą dla mego kraju — pomyślał, Ro-

zejrzał się wokoło, po młodym lasku i nagle pojął rzecz oczywistą, rzecz jasną, która została mu oszczędzona przez długie lata pracy w biurach, fabrykach i magazynach: przed nim i za nim — zmiały polskie sosny, pod nogami skrzypiał polski śnieg.

Objawienie było przemawiające w swej prostocie. Przed oczyma stanął mu Janek, maszerujący przed kilkoma laty w szeregu małych pędraków, na trzeciomażowe nabożeństwo szkolne. Zobaczył go, trzymającego w ręku biało-amarantową papierową chorągiewkę. A potem obraz ten przesłoniło mu świeżo zanofowane wrażenie: SS-mann w brunatnej koszuli kontroluje legitymację Janka. — „Jak to oni wybiegują maszerując ulicą!” — zagadnął sam siebie: „...im braunen Gewand der SA” — Ze też nigdy nie przyszło mi to na myśl, ...barwa brunatna, — to przecież jest po prostu zabrudzony porządnie amarant”.

Ochrona radiostacji była zupełnie zdezorientowana. Jakiś nieznamy, starszy pan, zapukał delikatnie do drzwi wejściowych, prosząc o widzenie z Bazylim — tak jest, nazwał go pseudonimem. Był zupełnie sam, hasła nie znał, ale też nie wyglądał na prowokatora. Bazyli wyszedł mu po krótkim namyśle. Rozmyślnie stanął tyłem do rozwartych na oścież drzwi do jasno oświetlonego pokoju. — by nieznany intruz nie zauważył w mroku sieni rysów jego twarzy. Ale ten oddał mu tylko trzy kartki, zabierając się zaraz, jakby w zakłopotaniu, do odejścia. Zawrócił jednak po chwili i wyciągnął dłoń do Bazylego.

— Jestem Voss — powiedział. — Alfred Voss. Miło mi poznać pana, panie Bazyli. Mój syn nie opowiadał mi nigdy nie o panu, sądzę więc, że jest pan bardzo dzielny człowiekiem. To bardzo trudna rzecz, nauczyć ludzi milczenia...

JÓZEF BARANOWSKI

List wigilijny

Posyłam Ci wigilijny
Listem — słowo z oddali — —
Mróz je pąkowiec śnieżnym
Na oknach rozkrystaliz.

Rozrasta się we mnie życiem
W spóźniony wieczór grudniowy.
Wymalowany witrażem
Zachodu kolorowym.

Nie wiem skąd powróciło —
Z dni dawnych, wędrówką tulaczą — —
Z pożaru kolczastych zasięków
Gdzie wichry zbląkane płaczą.

Może z koszmarnych obozów
Po krwawych wróciło śladach — —
Nie znam wiodących dróg wspomnień,
Śnieg zatart ślady — śnieg pada.

W poszumach kart dziejowych
Odstania mi przeszłość nową
Proste, z najprostszymi myślami
Zrodzone myślą mą — słowo!

Pisząc ten list wigilijny,
Dzielię się z Tobą opłatkiem...
Jak cząstką słowa, które
Słyszałem kiedyś z ust matki.

Słowo — które miłością
Tchnęło jak głębia najczystsza,
Źródłanych, twórczych natchnień:
— w modlitwach rzeźbiony Chrystus!

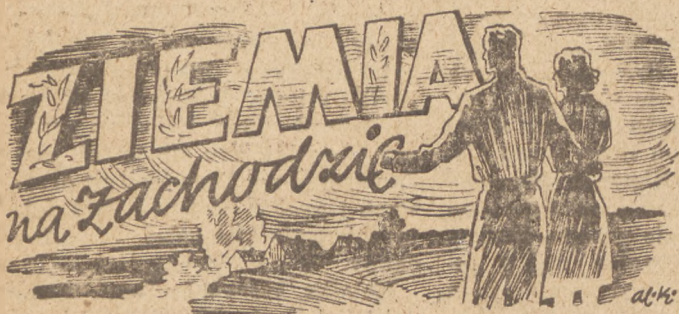
Posyłam Tobie z oddali
Zbląkane, proste słowo,
Żeby tak sama jak we mnie
Odżyło w Tobie na nowo.

Jest przecież tak braterskie,
Owiane blaskiem miłym,
Jak tylko zrodzić się może
W noc świętą — grudniowa miłość...

Nieraz — gdy chropowatą
Cząstką smutku Cię zrani,
To wiedz, że odżyło na krótko
Przed blaskiem zmartwychwstania.

Niech będzie ziarnem rzuconym
Pod przyszłą Ziemię Piastową —
Proste — z najprostszymi myślami
Zrodzone myślą mą — słowo!

Odległym smutkiem, wykrzesanym
Iskrą i krzykiem ludzkiej doli,
— — pokój!
Ludziom dobrej woli!



Rozdział II

Mine!o właśnie pół roku od czasu, gdy Hanka wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec, znalazła się we wsi Ponorów, na zachodnim Pomorzu, w Albersowym gospodarstwie. Dobiła tutaj całkiem otepiała, napół przytomna, nie otrząsnawszy się jeszcze z depresji tragicznych przeżyć powstania warszawskiego.

Nie mogła uświadomić sobie jasno, że po tym wszystkim żyje jeszcze, że rozpoczyna nowy rozdział życia. Jakże mogła żyć pogrzebiona, gdy wszystko, co wiazało ją z życiem, wszystko, do czego była przywiązana, zginęło, przestało istnieć. Dom, ognisko domowe, z takim trudem, a z taką miłością i troską budowane, razem z Marcinem leżało w gruzach. Maleńki Jędrus, któremu oddała całe skarby macierzyńskiego uczucia, nie żyje. Marcin... Nie potrafiła nawet przypomnieć sobie, kiedy i w jaki sposób rozdzieliła się z Marcinem ostatnim węzłem łączącym ją z życiem. Jak przez mgłę tylko przypominała sobie wyjście z ruin płonącego Starego Miasta i wędrówkę do Pruszkowa. Ktoś ją prowadził... Może to był Marcin. I później ten ktoś zęgnął się z nią, bo go odrywali, zabierali do innego transportu.

Przyjmowała to wszystko z drewnianą bezczułością, nie była w stanie reagować na żadne przeżycia, zmęczona fizycznie i psychicznie do ostatnich granic wytrzymałości ludzkiej, palona gorączką, nieprzytomna. Jeden tylko obraz nie opuszczał jej ani na chwilę, wrył się w pamięć z bolesną jasnością.

Widziała siebie, przechodzącą przez podwórce zrujnowanego domu na Starym Mieście z Jędrusem na rękę. Trzeba było pośpiesznie opuszczać płonący schron i przejść w inne, rzekomo bezpieczniejsze miejsce. Nagle... Nie słyszała nawet huku tego pocisku. Może zginął on w nieprzejęwanym huku kanonady, a może wrażenie słuchowe zostało w niej przytłumione przez inne reakcje. Poczula silne szarpnięcie; o mało nie upadła. Może wydało jej się tylko, że Jędrus boleśnie krzyknął. I ujrzała, że trzyma na rękę poszarpane przez odłamki pocisku ciało. Dlaczego jeden z tych odłamków nie trafił jej w serce? A Jędrus nie żyje! Mały Jędrus, który jeszcze przed chwilą uśmiechał się do niej mimo huków i dymów, do których już zdążył się przyzwyczaić, a których znaczenia i grozy nie rozumiał. Uśmiechał się i bełkotał po swojemu: „ma-ma-ma!”

Czy taką chwilę można było zapomnieć, jeśli nie straci się resztek rozsądku, jeśli się człowiekowi rozum nie pomiesza?...

Nie chciała wypuścić z rąk bkrwawionego ciała. Odebrali go jej prawie siłą. Leży w małym grobku, bez trumienki, zasypane twardą ziemią z miejskiego podwórka i gruzami zburzonego domu.

Może to był ostatni dzień, a może było po nim jeszcze wiele dni spędzonych w piekle bombardowanego Starego Miasta. Hance było to już zupełnie obojętne. Nie potrafiła sobie przypomnieć ani chronologii, ani samej treści dalszych wydarzeń.

Wsadzili ją do odkrytego towarowego wagonu. Wieźli na zachód. Ile dni, ile nocy? Czy była pogoda, czy deszcz? Zimno, czy gorąco? Niektóre z jej towarzyszek mdlały z głodu i pragnienia, Klóciły się ze sobą o różne drobiazgi, prosiły o chleb i wodę na stacjach, jęczały i narzekały, opowiadały o swoich nieszczęściach. Hanka siedziała w kacie wagonu, jak drewniana kukła. Nic jej nie obchodziło, na nic nie reagowała.

Gdy Albers przywiózł ją z miasta, otrzymawszy z Arbeitsamtu jako niewolnicę, z prawem życia i śmierci, napięcie nerwowe zaczęło przerażać się w przeraźliwe zmęczenie fizyczne. Nie chciała nic jeść, prosiła tylko, aby pozwolili jej spać. Gdy wskazali jej pokój na strychu, dołokła się z wysiłkiem do łóżka i upadła na nie, zasypiając momentalnie jak kamień. Na drugi dzień żadną siłą nie można było jej dobudzić.

Albersowa, która poszła zobaczyć, co się z nią dzieje, mówiła zaniepokojona do męża.

— Obawiam się, że z tej Polki nie będziemy mieć żadnego pożytku, a tylko kłopot. Jest zupełnie nieprzytomna, ma wysoką gorączkę. Obawiam się, czy to nie tyfus. Gotowa umrzeć.

Albers nic nie odpowiedział, ale był wściekły. Znów go nabrali. Otrzymał niewolnicę za wierność i zasługi dla partii. Ładna nagroda. Trzeba będzie kłopotać się pogrzebem, a może leczyć, sprowadzać lekarza, wydawać pieniądze.

Silny organizm Hanki, choć pozbawiony pomocy, sam zwalczył chorobę. Trzeciego dnia obudziła się i nawet próbowała wstać. Ale siły odmówiły posłuszeństwa. Wstała czwartego dnia. Umyła się, ogarnęła i zeszła na dół do kuchni.

(ciąg dalszy nastąpi)



Ponury zmierzch nadchodzącej nocy październikowej kładł się na mury miasta całunem śmierci. Znów zapada chory dzień, wlokąc za sobą tę noc posępną jak groźne widmo snujące się po ulicach Poznania do wielu dni. Żądło śmierci dotknęło mieszkańców piastowskiego grodu. Czarny wicher śmierci wieje pustymi ulicami, krople dżdżu ślą zami cierpień. W mieście grasuje cholera. Podstępny jej chód sieje po domach strach i grozę. Nie ustrzeżę się od niej ni domy rajców, ni pałace możnych a tym mniej rudery biednych. Tam, pośród pospółstwa, biedoty, największe jej żniwo. Płacz trwa nieustanny w zaułkach na świętym Wojciechu, na Chwaliszewie, Zagórze, Śródce, Zawadach... Co noc snują się posępne pochody — to bractwa śmierci wynoszą albo wozami wywożą ściegłych w żniwie epidemii mieszkańców, rzucając ich w wspólne doły za miastem, na ementarzach. Trwoga rządzi miastem. Życie jakoby w lęku śmiertelnym stanęło. Snują się smutne matki po ulicach szukając ratunku dla konających dzieci, roztrzęsione w trwodze dzieci biegają po doktorów dla matek. Ale gdzie ich znajdziesz? Jedni, jak dr Gąsiorowski i dr Matecki, błądzą po zaułkach polskiej biedoty na przedmieściach, inni pilnują zdrowia pruskich dostojników, jeszcze inni rozbiegli się po wielkopolskich dworach dla ratowania niezagrażonych.

Nędzarze miejscy zeszli się przed ratuszem i póty nie odstępowali od stopni, póki burmistrz, rajcy i magistrat nie przyrzekli, iż spełnią wrzaskliwe prośby tłumu. — Marcinkowskiego! Sprowadźcie Marcinkowskiego. — Marcinek nas uchroni. — Błagajcie króla! — Niech uwolni go z więzienia... Uwolnił wreszcie pruski władca dra Marcinkowskiego, który od sierpnia siedział w twierdzy świnińskiej za udział w powstaniu listopadowym.

U bramy Wrocławskiej zeszli się lekarze, rajcy i magistrat w oczekiwaniu na przyjazd więźnia. Noc już zapadła. W ciemnościach migają jeno krwawe błyski laterek wynurzających się z mroków. Deszcz nieustanny tnie twarze zgromadzonych. Czekaia, postawiwszy kołnierze długich płaszczy i peleryn; strużki deszczu ściekają z szerokich kapeluszy. Błoto przed bramą śliski w mdłym blasku jak krwawe bajorko. Słumione szepty i trwożne mamrotanie skracają czas oczekiwania.

Nareszcie, na drodze od Jezyc, z daleka, doleciało mdłym echem klaskanie kopyt po kałużach. Wraz i trąbka poczytłona ozwała się wesołą melodią, uragając ponurości w murach.

— Jedzie!
— Jest poczta!
— Czy przyjechał?
— Czy rzeczywiście zwolniony? Krzyżują się w trwodze pytania, nadzieja wstępuje w serca czekających, gromada poruszyła się niespokojnie i podeszła aż za bramę ku rogatce.

Z ciemności wynurzyła się masa ruchliwa — bryka pocztowa, zaprzężona w cztery konie. Otoczono pojazd, podniesiono wyżej latarnie, błysnęły krwawo szyby i okucia, drzwi się otworzyły i z ciemności wychyliła się głowa jedynego podróżnego.

— Jest!
— Witaj Marcinku!
Podróżny zeszedł ze stopni w otwarte ramiona przyjaciół i depufacji miejskiej. Sciskano go, podawano sobie. W oczach wielu błysnęły łzy. Przyjechał.
— Nasz Marcinek! Chwała ci Boże!

Przelotny uśmiech zgasł na zmęczonym obliczu Marcinkowskiego, jeno oczy, duże oczy, paliły się blaskiem, którego miesiące twierdzy nie zgasły. Doktor przerwał ceremonie powitalne, reszcie podał rękę.

— Chodźmy — powiedział.
I skierował się ku kościołowi Bernardynów, gdzie stał szpital sióstr miłosierdzia.

— Karolu, dokąd idziesz?
— Do lazaretu...
— Kiedy prosimy na ratusz...

Nie przyjechałem na biesiady, jeno do pełnienia powinności. Ide do lazaretu.

Radzi nie radzi poszli za nim. Ciszę złowieszczą miasta tłumiły kroki idącej gromady. Marcinkowski na przedzie, pochylony, w ogromnym kapeluszu, w długim płaszczu, z oczami wbitymi w ciemność słuchał groźnych relacji.

— Doktorze — mówił burmistrz idący przy nim. — Niebo was tu zsyła. Ludzie giną jak muchy. Pośród bractwa grabarzy co raz liczniejsze padają ofiary. Patrząc tylko, jak już nie będzie komu grzebnąć umarłych.

— Jak leczycie? — spytał Karol Marcinkowski doktora Gąsiorowskiego.

— Próbujem transfuzji krwi, ale nie pomaga.

— Chorzy gasną nam na rękach — dodał doktor Matecki. — I serce peka na tę bezradność naszą.

— Choroba z rak się wymyka. Nie opanujemy jej, ludzi do pomocy brak. Środków żadnych na zapobieżenie — dorzucił dr Nieszczęta.

— Musimy ją zmóc — rzekł Marcinkowski. — Wadziłem się z powietrzem w bojach powstania, w obozie żołnierskim w Prusiech, potem w Klajpedzie. Stawałem zawsze pierwszy do walki ze śmiercią. Epidemii znam dobrze.

— Dlatego uprosiliśmy majestat — rzekł burmistrz — by raczył zwolnić cię, doktorze, przed terminem kary.

Marcinkowski, w otoczeniu przyjaciół-lekarzy, szedł zamysłony, zdecydowany na walkę twardą, nieubłaganą aż do zwycięstwa. Przystanęli. Z mroku, od strony szpitala nadjeżdżał z brzękiem łańcuchów ciężki wóz. Jak złowrogi widmo wytoczył się z ciemności, przesunął się mimo, gromadka zdjęła kapelusze z głów, wóz zatopił się w mroku, brzęk łańcuchów posuwał się ku bramie miejskiej.

Na progu szpitala Marcinkowski pożegnał się z burmistrzem, rajcami i deputacją, a z trzema przyjaciółmi wszedł do szpitalnej sieni.

Zaczęły się teraz dni i noce nieugiętej i zacieklej walki z chorobą. Doktor Karol oddał się całkowicie na służbę chorych i zagrożonych. Przywiodło go do miasta „żądło niespokojności” towarzyszące mu od pierwszych lat lekarskiego życia.

Zapytany przez przyjaciół, dlaczego tak nagle i ochotnie przyjechał w objęcia śmierci, odpowiedział, że myśli o niebezpieczeń-

stwie tysięcy braci „roztrącała cały mój stoicyzm i od razu stopiła lodowatą spokojność, którą ma gorąca dusza jak tarcza zółwia okryła usiłowałem. Wiedzieć, że mógłbym gdzie indziej być użytecznym i w czasie nadchodzącej burzy niszczyć nieczynnością chęć służenia swym rodakom, to jest kara, którą nie tylko piekło wymyślić mogło”.

Przeżył wtedy chwile wielkich niepokojów. Wiedział, że całe miasto rodzinne wypatrywało jego powrotu, miasto wyprosiło go z twierdzy, złamało suchy mur biurokracji pruskiej. I stanął pośród braci, czekających pomo-

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

WIGILIA

*Kogo sprowadzisz do mnie, chwilo niecodzienna?
Kogo powitam dzisiaj na więziennym progu?
Zaskrzypiała bezsenna podłoga sosenna.
Przeszły kroki znajome, lecz nie ma nikogo.*

*Którzy jesteście w głębi pałających kopalń
i miast świętecznych dzwonów macie stuk oskarda,
którzy zwoicie wszystkie żyły swoje w snopach
do stodół obcej ziemi, którzy los swój hardo*

*znosicie, dom oddając na użytek wroga,
i wy, którzyście z kraju na tułaczkę wyszli —
witaćcie najserdeczniej w moich smutnych progach
i bądźcie dzisiaj gośćmi, bodaj tylko w myśli!*

*Kto tam? Ktoś jeszcze jest. Poznają przyjaciela.
Chce mówić z nami, lecz ma usta purpurowe...
I tylko krwią podłoga cisze, aż wystrzela
płomiennym krzykiem...*

Towarzysze, schylmy głowę!

cy, uzdrowienia. Miał powstrzymać ponury nurt choroby, gubiący setki, setki biedaków.

W księżycową noc listopada 1837 roku wracał strudzony doktor Karol do domu na Starym Rynku. Szedł pochylony, resztkę sił oddawszy chorym. Epidemia osiągnęła swój szczyt. Jeśli jej teraz nie opanuje, zawiedzie tysiące wierzących w jego moc cudotwórczą. Zapomniał w te dni o sobie. Jadł i sypiał w przetrwach gigantycznej pracy, kładł się w ubraniu na tapczan, gotów się zrywać na każdy jęk dzwónka w przedpokoju. Dwa konie osiodlane czekały każdej chwili na jazdę z pomocą dla wsi.

Doktor Karol wszedł strudzony po stromych schodach do swego pokoju. Czerwony blask lampy naftowej wrywał z mroku stopy książek, papierów, zeszytów i notat zacięliwych stół. Zaczęta w twierdzy praca czeka na niego. Na próżno.

Siadł zmęczony na krześle, przechylił głowę w tył, wsparł ręce o papiery i oddał się myślom. Jest oto jak sternik rozbił okręt, który trzeba do portu wprowadzić. Czy wygra? Czy wyrwie ze szpon śmierci ginące ofiary? Oto myśli niepewne, dręczące. Usta szepeją:

— „Boże daj tylko, żeby się na własnym postrachu i udrczeniu skończyło, żeby w ogniu piekielnej walki, która mi dzisiaj dokucza, dotkliwą stratą w rozpacz nie wprawiła”.

Dźwięk dzwónka w przedpokoju przerwał modlitwę.

Służący zameldował:
— Umyślny od J. O. Księcia Antoniego Radziwiłła, z końmi prosto z Autoninka przybywa.

— Niech wejdzie.
— Powiedziałem, że doktor odpoczywa.
— Niech wejdzie.
— Tak jest.

W progę stanął zdrożony, obłocony człowiek.

— Czy kto chory?
— Nie, panie doktorze — odrzekł zdyszany przybysz.
— Więc? —

— Książę pan z trwożą myśli o was, doktorze Karolu. Bo trwożliwe wieści o chorobach na dwór nasz dotarły. Księstwo niespokojni o zdrowie doktora, upraszają, żeby pan doktor mórwnaszym

Ach, wszystko co mam w tym domu oddam twoim biednym, tylko daj mi zapewnienie, że wyjdę cało...

— Nie pani nie będzie. Ta choroba omija wasze domy. Zjawie się u pani za parę dni.

Kareta stoi przed domem.

Doktor Karol spiesznie wychodzi z bramy, siada w powozie i każe się wieść na Chwaliszewo. Zdumiony furman nie śmie protestować, bo to i tak nic nie pomoże. Zresztą nikt nie śmie się oprzeć temu dziwnemu człowiekowi.

Konie biegną wokół ratusza, kareta zanurza się w wąską uliczkę koło Czerwonej Apteki, potem kopyta dudnią na moście na Warcie, wreszcie konie wpadają w wąską ulicę Wenecką. Stare, obdrapane domy, schroniska biedy ze zdumieniem patrzą ciemnymi czeluściami okien na bogaty powóz zapuszczający się w siedlisko nędzy. Na koniec, w uliczce prowadzącej do cuchnących podwórzy i drewnianych bud pełnych najnędźniejszych mieszkańców, doktor Karol zatrzymuje powóz i wysiada. Stanął, spojrzął na mroczne podwórko i przeskakując kałuże poszedł w stronę ciemnej bramy. Jakaś baba niosła wodę we wiadrach, gdy poznała doktora, upuściła je i krzyknęła:

— O Jezu, dyć to nasz Marcinek! — i rzuciła się do kolan doktora.

Jak iskra elektryczna przebiegła wieść o przybyciu doktora Marcinkowskiego. Przygotowywano się na jego przyście, a on swoim zwyczajem przebiegał suteryny i poddasza, zaglądał do każdej niemal kłitki. Na sieniach i schodach stali nędzni ludzie, eczy wpatrywali w swojego cudownego doktora. A on szedł pośród nich uśmiechnięty, głaskał dzieci, pytał o chorych, wstępował do izb, siadał na stolku przy łóżku nędzarza, kładł rękę na rozpalone gorączką czoła, uśmiechał się. Patrzyli nań wszyscy jak na zbawcę, bo straszne powietrze odegnął, chorobę zdusił, ludziom zdrowie przywracał, domom szczęście oddawał, choć sam się utrudził i wysechł na kość. Bronił się przed całowaniem rąk, nie chciał słuchać pochwał i podzięk. Spełniał swą powinność. Tam właśnie, pośród nich topniała jego fortuna, talary i dukaty hojnie mu w pałacach dawane tutaj ginęły w rękach nędzarzy.

— Nie na darmo — mówiły mu kobiety biedaczki — u Panny Marii dzień i noc śpiewały my suplikacje

...od powietrza, głodu, ognia i wojny...

bo nam Pan Bóg zesłał swego sługę.

— Cicho, matko, cicho.

— A bo po prawdzie, cudaście czynili doktorze Marcinie, kieście wej miasto od powietrza przy Bożej pomocy uchronili.

— Cicho, matko, cicho...

Ale naród się nie uciszał, wstawiał dobrego doktora po wszystkich bramach, podwórkach, sieniach, ulicach, rynkach, miasteczkach... po całym kraju polskim szło jego imię, dobroczyńcy i przyjaciela nędzarzy.

Gdy obiegał ostatnich już rekonwalescentów po zwycięstwie

nad zarazą, zatrzymała go na progu bramy jakaś biedaczka.

— Ady panie doktorze, dopraszam się łaski...

— No co?

— Wojciechowa zmarła...

— No wiem, byłem przy jej śmierci.

— No, no... ale kłopot pozostał wielki.

— Dałem przecież na pochówek.

— No, ino że sierotka została bez opieki.

— Gdzie jest?

— Ano, leży w kolebce, a my sasiadki dołamy, ale bo to mamy czas? Zmarnieje biedactwo...

Doktor Karol uśmiechnął się i wstąpił do nędznej izby. Rzeczywiście, w koszu, w brudnych szmatkach leżało dziecko po zmarłej zebrawce. Doktor wyjął je ostrożnie, wziął na ramiona a dziecko uśmiechnęło się do niego.

— Zabieram je.

— O święty doktorze...

— Cicho, matko, cicho... Nie wolno...

Następnie otulił maleństwo płaszczem i zniósł je ostrożnie na podwórze. Ku zdumieniu wszystkich patrzących, wciąż się uśmiechając, wsiadł do powozu. Kazał się zawieźć do historyczki-damy. Otworzono mu skwapliwie.

Gdy wszedł do buduaru, powitano go z ogromnym zdumieniem.

— Łaskawa pani — powiedział.

— Niebezpieczeństwo już minęło. Zarazę zdusiłiśmy i nie już spokojności dni pani nie zamąci. Wszakże chcąc ją ustrzec od nowych niepokojów i niepotrzebnych trosk o jej zdrowie, pozostawiam w tym domu tę oto sierotkę.

— Ależ doktorze...

— Będzie ci tu dziewczeczko dobrze, bo to dom zacny...

— Panie Karolu...

— A ta dobra pani z wdzieczności dla Boga za ocalenie będzie ci dobrą matką.

To mówiąc, położył dziecko na kanapce, a sam się skłonił osłupiałej damie.

— Myśle, że dziecko w pani pozostawionej opiece będzie szczęśliwe. Na razie jest bez domu, niech więc tutaj znajdzie dobry opiekunicy swój dom. *Zegnam pięknie...* Aha, myślę, że dziecko to będzie najlepszym lekiem na pani niedomogę.

I pozostawił sierotkę pod opieką nowej matki.

Czas zarazy minął już zupełnie. Ludzie w mieście nie mówili o nim innym jak tylko o Marcinku. Miano w ratuszu wydane wielkie przyjęcie na jego cześć. Nie zgodził się. Chejno obdarować go hojnym upominkiem, nie przyjąłby go. Gdy minął już okres walki z zarazą, doktor Karol zabrał się do zwykłej roboty lekarskiej. Od świtu aż do nocy obiegał miasto, a pod wieczór dośiadał ulubionego kasztana i cwałował do przyjaciół po dworach albo zajeżdżał konie rozstawne ludzi wzywających go w nagłych wypadkach.

W połowie grudnia poczył się zbierać do dalekiej podróży. Gdy go pytano, jaka potrzeba nagli go do jazdy, odpowiadał żartobliwie:

— Oddaje co jest cesarskiego cesarzowi. Pora mi dokończyć kary w twierdzy.

Nie słuchał namów, by słał prośby do króla o zwolnienie. Uparł się. Nigdy o nic dla siebie Niemców nie prosił. Wyrezyła go ludność i władze miejskie, śląc gorące prośby do dworu berlińskiego o łaskę. Magistrat pisał:

.....Cotutaj zdziałal, z jakim bezinteresownym poświęceniem oddawał się leczeniu biednych zwłaszcza, na jakie niebezpieczeństwa narażał swe zdrowie, gdy w najściślejszym tego słowa znaczeniu musiał sobie nawet spoczynku odmawiać, aby zadość uczynić wołaniom o pomoc, które ze wszystkich stron do niego dochodziły, to wszystko mogą poświadczyć

KAZIMIERZ GOLBA

Na opolskich „Godach”

Obrzędy ludowe na Opolszczyźnie mają szczególne znaczenie. Są one bowiem wyrazem prastarej tradycji, która związała z tą ziemią lud osobliwy, zakrzepły w trwaniu niezmiennym, oporny na burze dziejowe, jakie nad nim przewalały się przez wieki, gdy był samotną gałęzią odciętą od polskiego pnia. Obrzędy te i zwyczaje są zarazem wspaniałym dowodem polskości śląskiego ludu. Wpływy niemieckie, wdzierające się tutaj przez wieki, wycisnęły na nich jedynie ślad znikomy. Przeciwnie, śląski obyczaj ludowy odcina się od niemieczyny wyraźnie.

Najwięcej obrzędów i przesądów przetrwało do dziś w okresie świąt Bożego Narodzenia, zwanych tutaj Godami. Interesowali się nimi polscy folklorysty przed ostatnią wojną. Patronowało ich badaniom „Zaranie Śląskie”, a później Instytut Śląski, który przejął również wydawnictwo „Zarania”. Instytut wysłał nawet w teren ekipę ludoznawczą, złożoną z 10 osób, która miała zebrać odpowiednie materiały. Dotyczyły one przeważnie polskiej strony ówczesnego Śląska, ale i te nie doczekały się dotąd opracowania. Obrzędy i zwyczaje Opolszczyzny czekają wciąż jeszcze na badaczy, którzy zainteresują się lokalnymi odmianami z poszczególnych okolic i dadzą pełny obraz świątecznej tradycji ludowej.

Wśród starszego pokolenia śląskiego do dziś utrzymuje się wiara, że od umiejętnego przeżycia okresu świątecznego zależy los człowieka w nadchodzącym roku. Okres ten liczy się zazwyczaj od św. Łucji, 13 grudnia. W niektórych okolicach, np. w bytomskim, dziewczęta leją w tym dniu na łopatkę roztopiony olej, wróżąc o jego zastępych kształtów o wypadkach roku przyszłego. Gdzie indziej robią to w dzień wigilijny. Wróżby o szczeroci uczuć kawalera wysnuwa się z dwóch listków mirtu, puszczonej na wodę. Rolnicy ustalają pogodę na 12 miesięcy według 12 dni poprzedzających Gody.

Dniem brzemennym we wszelkie następstwa staje się dopiero wigilia. Ile razy ktoś w dniu tym kichnie, tyle razy w roku będzie chory. Nie należy również nie z domu wynosić, by się potem nie roztrwonil dobytek. Nie stosuje się to tylko do śmieci, które dziewczęta zamiatają w odwrot-

tysiące, które miały szczęście doznać jego opieki lekarskiej...

Doktor Marcinkowski zdawał się zupełnie nie interesować losami petycji, mawiał do przyjaciół:

— Ha, cóż, przyjdzie mi wilią w twierdzy spożywać. Przyszłocie mi opłatek z rzewnym listem, wspomniecie o poznańskim Farysie, co się ku stępom rwał a ja myślą do was tu przygonię. Zaśpiewam kolendę, może ją wiatr zachodni wam przyniesie.

Jednak nie spełniły się myśli przyjaciela ludzkości, bo przed samą Gwiazdka przyszła amnestia.

Gwiazdka roku 1837 w Poznaniu była rzeczywicie świętem radosnym. Po strasznej nocy zarazy i śmierci nastął znów czas spokojnych dni. Ludzie w zaciszach swych mieszkań śpiewali radośnie: „Chwała na wysokości a pokój na ziemi”.

W dzień wigilii, przerwawszy nareszcie szalony tryb życia i prac, doktor Karol dośiadał kasztana i pognął drogą obornicką w mroźny, śnieżny czas ku Dąbrówce Ludomskiej, gdzie wśród najbliższych przyjaciół miał spędzić wolne, szczęśliwe święta Bożego Narodzenia.

nym kierunku — od drzwi wejściowych do wnętrza domu — potem wynoszą je pod płot, trzęsą nim i nasłuchują, skąd ozwie się szczekanie psa. Stamtąd bowiem nadejdzie przyszły mąż.

W wigilię obowiązuje post ścisły i wcale nie gotuje się obiadu. Za to z całym pietyzmem przygotowuje się wieczerzę. Stół nakrywa się białym obrusem, pod który podkłada się siano i słomę. Pod stołem umieszcza się siekiere, żeby zabezpieczyła dom przed kradzieżą. Kto będzie ją miał pod nogami, nie będzie chorował na nogi. Gdy błysnie pierwsza gwiazdka, zbiera się rodzina u stołu, na którym płoną dwie świece. Drzwi się zwykle zamyka na klucz, by nikt już teraz nie wychodził. Nie wolno nawet wstawać podczas wieczerzy od stołu, bo kto to uczyni, umrzeć ma w ciągu roku. Dlatego też na stole powinny się znajdować wszystkie potrawy, zanim rodzina zasiądzie. Wieczerza zaczyna się od wspólnej modlitwy i łamania się opłatkami, choć gdzieś indziej opłatek i życzenia odkłada się na koniec. Po modlitwie następuje uroczyste „zalenie chroboka”. Bywa ono bardzo skuteczne ze względu na puste żołądki. Potem dopiero zabierają się do potraw, których powinno być jak najwięcej. Na bogatszych stołach jest ich dwanaście. Obfitość ta ma przypominać raj, który człowiek przez grzech utracił.

Do potraw najbardziej tradycyjnych należy po wsiach powiatów raciborskiego, bytomskiego,

kozielskiego i strzeleckiego tzw. „siemienietka”, czyli zupa z tłuczonego konopnego siemienia i kaszy jaglanej lub tatarczanej, zwanej „pogańskimi krupami”. W okręgu przemysłowym podają także zupę rybną, ugotowaną z krajana bulką. Obie te zupy podaje się zwykle z miodem, zatem na słodko. Nie mniej ważną potrawą są „makówki”, czyli krajane bułki, oblane makiem, rozgotowanym w mleku. W powiecie kozielskim pieką tzw. „śliszki”, czyli makówki, nadziewane płynnym makiem, niezwykle miękkie i pulchne. Jako dalsze potrawy spożywa się ryby smażone, ryby ugotowane „na moczka”, wreszcie kołacz świąteczny, którym jest strucla, leżąca na środku stołu. W powiecie opolskim podawano dawniej tyle strucli, ile osób zasiadało do wieczerzy. Ucztę wigilijną zamyka się miodem, orzechami i jabłkami.

Z orzechami wiąza się nadto wigilijne wróżby. Każda jednak okolica wysnuwa je w odmienny sposób. U jednych kładzie się na stół 12 orzechów, oznaczających 12 miesięcy, i rozłupuje się je po kolei. Jeżeli który z nich trafi się zepsuty lub pusty, właściciel ich zachoruje lub umrze w tym miesiącu, jaki ten orzech oznacza. Gdzie indziej rozdają każdemu z uczestników po 4 orzechy, oznaczające 4 pory roku, z których wnioskuje się analogicznie. Jeszcze inni kładą na stół 3 wydrążone orzechy. Do jednego z nich włożono ziemię, do drugiego kruśną chlebą, do trzeciego mirt

lub złotą monetę. Kto wyciągnie łupinę z ziemią — umrze, kto z chlebem — będzie miał jadła do statek, kto z mirem lub złotem — znajdzie męża (żonę), lub majątek.

Wróżą też z leżącej na stole cebuli, którą dzieli się na 12 płatków, oznaczających 12 miesięcy, i nasypuje się do nich soli. W którym sol się zaraz roztopi, ten miesiąc będzie mokry.

Charakterystyczne są wróżby z trzewików, które uczestnicy wieczerzy zdejmują z nóg i rzucają w tył za siebie, ku drzwiom. Jeżeli za trzecim razem trzewik się obróci ku drzwiom, właściciela jego czeka śmierć zamiast wesela.

Łuski z ryb wigilijnych chowa się do portfeli, żeby przyciągały pieniądze.

Dawniej za wielki zaszczyt i błogosławieństwo boże uważano na Opolszczyźnie, jeśli przy wieczerzy znalazł się obcy gość. Gospodarz sam wychodził na szosę i z ścią staropolską gościnnością zapraszał pieszonego wędrowca, czy też podróżującego konno do swojego stołu.

Po wieczerzy zbiera się resztki jadła i wynosi dla bydła. Siano ze stołu daje się krowom, ze słomy zaś kręci się powróśla dla drzewek w sadzie, żeby i one korzystały z błogosławieństwa Dzieciątka.

Dzieci idą do choinki śpiewać koledy. Pod choinką czekają na nich dary. Gdzieś niedługo przyjął się zwyczaj wystawiania na okno czapek, by do nich w nocy złożyło Dzieciątko podarki.

Dla parobków wiejskich wigilia jest okazją do różnych psot. Wynoszą gospodarzom narzędzia i pomieszane porzucają na drodze lub w polu, wyciągają wozy, zamalowywują wapnem okna.

O północy idą wszyscy na pasterkę. Bydło, zostawione samotnie w stajniach, mową ludzką wtedy między sobą gwarzą. W pierwszy dzień świąt siedzą Ślązacy w domu, śpiewają koledy i nie odwiedzają nikogo. Nie sprzątają, ani — nie przeglądają się w lustrze. Niektóre gospodynie odwracają w dniu tym lustra do ścian. Natomiast obowiązują drzewka w sadzie.

W dzień św. Szczepana odbywa się w kościołach święcenie owsa, przynieszonego przez chłopów. Po nabożeństwie — na pamiątkę ukamieniowania świętego Szczepana — obsypują owsem księdza przy ołtarzu, albo wiernych z chóru, najczęściej jednak każdą napotykaną dziewczynę. Ile ziaren zatrzyma się na jej odzieży, tyle będzie miała „zoletników”. — Ponieważ „w święty Szczepan — każdy sobie pan”, gospodarz musi sam wówczas robić koło koni, bo parobcy udają się do swoich krewnych i znajomych, albo chodzą po kolejdzie przebrani za Heroda, Anioła i Diabła. Chodzą z kołędą i dziewczęta, niosąc kolebkę z lalką, wyobrażającą Dzieciątka. — Był dawniej w bytomskim zwyczaj puszczania w dniu tym przez kowala krwi z karku koniom, spędzonym z całej wsi, by nie dostawały zółzów. W kłuzborskim zaś „zabrowano” konie, czyli puszczano im krew z dziaśel.

Zakończenie starego roku obchodzi się przez ponowne zalewanie „chroboka”. Późną nocą wychodzą podchmieleni na drogę, a w miastach na ulicę witać nadejście Nowego Roku. O północy, kiedy odezwą się dzwony kościelne, wszyscy wnoszą radosne okrzyki i życzą każdemu napotkanemu przechodniowi „Dośięgo Roku”. Wśród wrzawy, śpiewów i psot wędrują grupy rozochoczone wokół wielkiej, oświetlonej elektrycznie choinki, ustawionej na rynku lub placu — nieraz do wczesnych godzin rannych.

37 razy aresztowany przez Niemców

Rozmowa z działaczem z Opolszczyzny

Wśród autochtonów na Kongresie warszawskim odszukaliśmy Jana Wawrzyniaka. Jest on z zawodu rolnikiem, obecnie prowadzi spółdzielnię „Rolnik” w Opolu, ale obok tego pracuje w swoim gospodarstwie rolnym w Wójtowej Wsi, a i jeszcze znajduje czas na to, by pełnić funkcje przewodniczącego gminnej rady narodowej. Wawrzyniak jest znany działaczem polskim na Opolszczyźnie i dużo, ma wspomnień ze swego bogatego w sensacje życia.

— Po pierwszej wojnie światowej — mówi nam ob. Wawrzyniak — podział Śląska na dwie części spowodował u ludności polskiej pozostałej po stronie niemieckiej rozpacz, trzeba bowiem wiedzieć, że takie powiaty jak raciborski, strzelecki, opolski, oleski, dobrodzieński, prądnicki i inne głosowały w przeważającej części za Polską. Ja sam jako aktywny powstaniec z bronią w rękę wróciłem dopiero w listopadzie 1921 roku do Raciborza, skąd poszedłem do powstania. Wówczas nie myślało jeszcze o ponownym zorganizowaniu społeczeństwa, o organizacjach polskich, gdyż nie było nikogo, kto by wierzył w sens takich organizacji.

Dopiero w marcu 1923 roku z inicjatywy kilku pozostałych po stronie niemieckiej Polaków, jak Arka Bożek, Kazimierz Malczewski, Antoni Pawleta — przy moim współudziale i pomocy innych założono Związek Polaków w Niemczech. W pierwszych latach istnienia Związku Polaków zebrania odbywały się w lokalach restauracyjnych. Później, gdy restauratorzy pod naciskiem Niemców odmawiali wynajęcia swoich lokali — zebrania odbywały się już w domach prywatnych.

Niemcy w pierwszym okresie odnosili się do naszych poczynań z rezerwą, albowiem nie przypuszczali, że ludność tak gremialnie

zapisywać się będzie na członków. Gdy jednak w roku 1924 w samym tylko powiecie raciborskim Związek osiągnął 4000 członków, wtedy Niemców opuściła początkowa rezerwa i za pomocą słynnego związku Bund Deutscher Osten rozpoczęli oni gwałtowną kontrpropagandę, posiłkowaną wszelkiego rodzaju represjami.

Jako były prezes Związku Polaków na Śląsku, zostałem wraz z innymi dnia 11 września 1939 r. przez Gestapo aresztowany i osadzony w obozie koncentracyjnym w Buchenwalde. Z obozu koncentracyjnego wróciłem dopiero dnia 18 maja 1945 r. na wolność, tym razem już zupełnie prawdziwą. Godzi się jeszcze dodać, że przed wojną do 1939 r. za robotę polską byłem przez Niemców 37 razy aresztowany i kilkakrotnie pobity do krwi!

Dzisiaj mamy inne, daleko mniejsze kłopoty, wynikające ze współżycia z Polakami-repatriantami. Z własnego praktycznego doświadczenia twierdzą, że formalnych podstaw do tych nieporozumień nie ma. Jeżeli się one w jakiegokolwiek formie ujawniają, to tylko z przyczyn osobistych jednej lub drugiej strony. U nas, w gminie Wójtowa Wieś, gdzie jestem przewodniczącym gminnej rady narodowej, problem zgodnego współżycia autochtonów z repatriantami rozwiązałem całkowicie w drodze wspólnych zebrań, wspólnego omówienia bolączek, przez współżycie w organizacjach doprowadziłem do tego, że jeden drugiego szanuje, a w razie potrzeby i wspomaga. Dało się to zrobić tylko dlatego, że swoją aktywnością społeczną udowodniłiśmy repatriantom, iż jesteśmy Polakami przynajmniej tak samo dobrymi, jak oni. Tylko po tej linii należy przedsięwziąć odpowiednie kroki, a wtedy zespolenie się jednych i drugich jest zagwarantowane.

EDWARD KOZIKOWSKI

W sierpniu 1945 r.

Było już dobre południe i sierpniowe słońce stało u zenitu, lejąc z niebios potoki żaru, gdyśmy na dany sygnał załadowali się do ciężarowego auta, gramoląc się ze wszystkich stron i ciężka amerykańska maszyna, która do niedawna jeszcze odbywała raidy na froncie wojennym, ruszyła pelną parą, klucząc zygzakowato ulicami Wrocławia. Trzeba było omijać nieuprzątnięte barykady, rumowiska domów i olbrzymie leje w bruku, podnosząc przy tym tumany drobnutkiego ceglanego pyłu, zalegającego grubą warstwą jezdnia, aby wydostać się z centrum miasta, gdzie przed paroma miesiącami toczyły się jeszcze zażarte walki, zamieniając malownicze i kwitnące miasto w bezładną kupę gruzów. Wydostaliśmy się wreszcie na szeroką ulicę, bodaj Kaiser-Wilhelmstrasse, bo niemieckie tabliczki zginęły bez śladu, a polskich napisów jeszcze nie było, gdy oczom naszym przedstawił się niesamowity widok kamienic-nieboszczyków, wypalonych od piwnic do strychu, spoglądających na nas pustymi oczodołami okien i nędzą odrapanych i poprzestrzelanych murów. Nie pozostało nic z tych pięknych, symetrycznie rozmieszczonych budynków, gdzie jeszcze niedawno tętniło bujne życie, poza nagimi ścianami, krwawiącymi gdzieś niegdzie czerwienią obnażonych cegieł. Zawszą wiało śmiertelną pustką i dyszało taką monotonią zniszczenia, że mimo woli odrywano wzrok od tych ruin i zawieszano go gdzieś w przestrzeni niebieskiej, na bezchmurnym horyzoncie przecinanym zygzakami urządzających jakieś harce jaskółek. Słońce przypekło niemilosiernie i ten żar niebieski stanowił dziwny kontrast z porozbijanymi kamienicami, wśród których królowała śmiertelna cisza. Trudno było pogodzić te dwie przeciwności, trudno było znaleźć uzasadnienie logiczne dla tego rodzaju rozbieżności w samym pojęciu rzeczywistości i tylko trawa wybiegająca zakosami spod zwalisk i ruin i drzewa z pogruchotanymi przez pociski ramionami, osypane gdzieś niegdzie zielenią, zadawały kłam potężne zniszczenia ludzkiego. Cisnęły się na usta niewypowiedziane pytania, które nie takich, jak my paefystów, niepokoiły od wieków i w rezultacie wszystko się rozplywało w milczeniu, tylko jakimś szóstym zmysłem wyczuwaliśmy jednolitość myśli i uczuć, niepokojących nas w tej chwili.

Petykając się o wadoły i wyboje, ciężarówka dość szybko wydostała się z miasta, z którego wczorajszej świetności tak niewiele pozostało i rozwijającą szybkość, mieszczącą się w granicach możliwości ludzkiej, znaleźliśmy się wkrótce na szerokiej autostradzie. Nie bez podziwu oglądaliśmy to swego rodzaju cudo techniki drogowej, po którym się jedzie, jak po gładkiej stońcy, z szybkością zapierającą dech w płuca. Oczywiście jednak łakną rozmaitości. Ta autostrada budowana z takim nakładem pracy, podobna do jakiegoś niekończącego się rozlewiska asfaltowego, działa usypiającą swą monotonią, w którą wciągnięto nawet zabudowania, drzewa i krzaki przydrożne, takie do siebie podobne, jak przysłowiowe dwie krople wody. Odrywamy z miejsca oczy i pograżamy się w rozmowach i pogaduszkach, byle tylko nie nalykać się monotoni, wicjącej z krajobrazu. Jeszcze raz wracamy temat Wrocławia, tym razem naszymy już refleksjami osobistymi, których sobie nie żalowaliśmy, oglądając w milczeniu nieznaczne miasto. Wymiana zdań jest o tyle potrzebna w podróży, że działa pobudliwie na sam pro-

ces myślenia, poddając go równocześnie kontroli, jak w sprawie działającym aparacie administracyjnym. W krótkim czasie już wiemy wszystko, już mamy uzgodniony pogląd na całą sprawę, który mimo początkowej różnicy w zdaniach, zatriumfował jakoś niepodzielnie. Okazało się, że Wrocław bronił się zażarcie przez szereg tygodni, że z miasta uczyniono fortecę, która miała za zadanie powstrzymać za wszelką cenę parcie polskiej armii — czerwonej i polskiej, i nie dziwnego, że w takich warunkach nie oszczędzono miasta, zasypując go lawinami pocisków artyleryjskich. Wrocław stanowił dla Niemców niezwykle ważny pod względem strategicznym punkt, którego strata decydowała o losie całego frontu środkowego. Aczkolwiek wojna była przegrana, co nie było tajemnicą nawet dla laików, podtrzymywano ducha walczących wojsk wiadomościami o jakichś tajemniczych wynalazkach, które lada dzień miały zostać ujawnione i z miejsca zmienić sytuację na froncie. Tymczasem Nike niemiecka leżała powalona pod Stalingradem i nikt już nie wierzył w możliwość odwrócenia karty dziejowej. Generał Paulus dobrze przysłużył się ludzkości, zapoczątkowując łańcuch niemieckich klęsk. O tym jakoś się nie mówi, a przecież i ten, który się poddaje z całym sztabem i olbrzymią armią, daje dowód taktycznego współdziałania ze zwycięzcą: zachowuje życie swoich żołnierzy, bo nie wierzy w zwycięstwo i słusność sprawy.

I tak od Wrocławia przeszło się na Paulusa i nim się spostrzeżliśmy, samochód wjechał do Świdnicy i od razu świat wydał nam się jakiś inny. Już zaczęły się rysować sylwetki gór niebieszcących się w dali barwą świeżo zerwanych siewek, pokrytych błękitną otoczką. W mieście rzuciły się w oczy niezliczone ilości białych płacht, powieszonych w oknach, szczelnie zresztą zamkniętych. Niemców, jak na lekarstwo. Gdzieś niegdzie pod murem przemykali w pojedynkę, udekorowani białymi opaskami. Przyczyna tej nani ki wkrótce się wyjaśniła. W mieście stał liczący garnizon Czerwonej Armii i wczorajszym „bohaterom“, wy-

szonym pod niebiosa w każdym przemówieniu Hitlera, jakoś nie w smak było spotykać się z krasnoarmiejcami. Zresztą strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc siedziało bractwo w domach, wywiszając powłoczki i prześcieradła na znak kapitulacji i poddańczej lojalności. Trudno było obojętnie patrzeć na to wszystko, na ten brak elementarnej godności, posuwający się do schodzenia z drogi każdemu przechodniowi, który nie nosił białej opaski, do jakiejś ślepej uległości, przejawiającej się na każdym kroku w stosunku do wojskowych polskich czy rosyjskich.

Opuściliśmy co prędzej miasto obce i mało przytulne i dalej w drogę, wijącą się serpentynami po malowniczych zboczach górskich. W szybkim tempie, pokonując wzniesienia, mineliśmy dźwigający się do nowego życia Wałbrzych, rozrzucony szeroko w podgórskim terenie i znów wsiąknęliśmy w malowniczość krajozobrazu o niesłychanie intensywnym nasileniu barw, zbieranych chyba ze wszystkich palet impresjonistów francuskich. Szybko zapomnieliśmy o Wrocławiu, który tylko kiedyś niekiedy wdzierał się do naszej świadomości z całym kompleksem zniszczenia i radovaliśmy się jak dzieci, że oglądaliśmy świat inny, skapany w zieleni i w kwiatach, którego nie dotknęła pożoga wojenna. Nareszcie, po tych koszmarnych wrażeniach, z których niewiele więcej pozostało, niż ów symboliczny kamień na kamieniu, ujrzeliśmy ziemię, dyszącą szczęściem i pełnią życia. Zdobywaliśmy ją kilometr po kilometrze z jakąś zachłanną radością, upajając się po prostu jej bogactwem terenowym i wyjątkową różnorodnością pejzażu. Piękny jest Beskid podkrakowski, który czarem swoim uwiodł i mnie w swoim czasie, w latach przyjaźni z Emilem Zagadłowiczem, ale piękniejszą po stokroć jest ziemia dolnośląska, zwłaszcza na tym odcinku jeleniogórskim, u podnóża Karkonoszy. To trzeba zobaczyć na własne oczy, bezpośrednio nasycić się tym pięknem, aby dojść do tych samych wniosków, do jakich doszedłem w czasie tej niezapomnianej wycieczki.

Spotykałem później ludzi, którzy słuchali z pewnym niedowie-

rzaniem moich niekończących się opowieści o tych stronach, wrzucali rapionami na dytiramby, wygłaszane na cześć tej ziemi, a którzy, gdy zobaczyli piękno Dolnego Śląska, nie tylko że zgodzili się ze mną całkowicie, ale jeszcze uważali, że nazbyt powściągliwie mówiłem o tym wszystkim. Ale na bok dygresje!

Mijamy wiraz za wirazem. Maszyna śpieszy się, jakby ją coś popędzało, a to po prostu spadamy z pochylnej serpentyny w dół, wjeżdżamy w przestronną kotlinę, otoczoną ze wszystkich stron łańcuchami gór, już wyraźnie obwiezionych ciemnym konturem. W kotlinie tej rozsiadło się szeroko, jak dama w kryolinie, miasto o tajemniczej nazwie Jelenia Góra, o którym wiedziałem niewiele, pobudzany raczej wyobraźnią, niż ustalonym zdaniem. Nie jest to żaden cud świata, o którym można by rozwodzić się długo i szeroko, ot, miasteczko podgórskie, zagrzebane w dolinie, technice przedziwnym czarem i uwodzące specyficzną urodą. Przypomina ono piękności kobiece ze starych miedziorytów francuskich, piękności o misternie utrefionych włosach, w bufiastych sukniach i z melancholią w niebieskich oczach. Niewątpliwie jest coś w wyglądzie tego miasteczka z dawnych, mówiące po polsku, „kupfersztichów“, co nawet znalazło swój wyraz w niemieckich nazwach niektórych uliczek, brzmiałych dość staromodnie. Uroczy jest rynek Jeleniej Góry, zabudowany małymi kamieniczkami, przypominającymi budownictwo dla dzieci. Arkady z głębokimi podcieniami stanowią w swoim rodzaju unikat architektoniczny, szlachetny w pomyśle i rozwiązany z dużym smakiem. Jelenia Góra swym wyglądem zewnętrznym oczarowała nas dość szybko i uwiodła nasze serca.

W czasie kilkudniowego postoj u żarła nas ciekawość, ile śladów polskości odkrył jeszcze zdołamy na tej ziemi, germanizowanej systematycznie od wielu wieków, a od czasów Fryderyka Wielkiego w sposób wyjątkowo brutalny i bezwzględny. Z pierwszych lepszych niemieckich przewodników dowiedzieliśmy się bez trudu, że Jelenia Góra założył Bolesław III Krzywousty i otoczył ją murami obronnymi. Znalazła

się nawet pieśń wojenna niemiecka, wynosząca pod niebiosa waleczność i dzielność Bolesława III: „Fürst Boleslav, Held Boleslav, kennst du denn weder Ruh noch Schlaf? Durch dich wird Dämmerung Tag und Nacht rastlos und schreckenvoll gemacht.“) Takie to były zwyczaje w odległych i zamierzchłych czasach, przed osmiuset z górą laty, w których uznawano bohaterstwo i męstwo przeciwników; a jeśli dochodziło już do walki, to odbywała się ona na ubitej ziemi, uczciwie i po rycersku.

Jak widać, z historii przygodnie przewertowanej, przebiegała polskosć Dolnego Śląska w sposób tak oczywisty, że nie było żadnych wątpliwości, że ziemia ta jest naprawdę z pochodzenia polską. Zaciekało mnie tylko na ówczas, czy żyją na niej autochtonowie polscy i w jakim stopniu zachowali język polski i pamięć o Polsce.

Nie prowadzono żadnych spisów, a wszyscy obywatele niemieccy obowiązani byli nosić białe opaski. Spotykało się ich zresztą niewiele: siedzieli zaszyci w domostwach, unikając spotkania z nowymi gospodarzami, wysyłali tylko „na żebry“ dzieci, które przystawały pod oknami cukierni i paładyły się po przystankach tramwajowych, wyciągając ręce do przechodniów.

Przypadek zdarzył, że w ówczesnym Giersdorfie, do którego przyjechaliśmy tramwajem i rozmawiając, zastanawialiśmy się, dokąd skierować kroki, odezwał się do nas jakiś starszy Niemiec w opasec: „To pomyśl Poloki! Bo jo jest Polok i mój ojciec był Polok!“ Z dalszej rozmowy okazało się, że nazywa się Peter Drzymoła, prowadzi warsztat ślusarski, ma „fajne papiory“ polskie i „tero bandzie Polokiem“. Dowiedzieliśmy się też, że żonę ma Niemkę, że ona ani słowa nie umie po polsku. Na pytanie, dlaczego w domu nie rozmawiał w ojczystym języku, odpowiedział: „Jo był jeden Polok na całon wieś, musiok być cicho. Gdybyk mówił po naszymu, to by zawarł do szopy“. „Ale tero — ciagnał dalej swe zwierzenia — to jo okropny Polok! Babo do mnie genuby nie rozdzawio, bo jo inocy jenzky obetne“. Próbuje z innej beczki: a jeśli Niemiec wróci? „O, nie wróci jus nigdy na tom ziemiocke, wybajcowali mu pierunowi, że i za sto lat nie stanie na swoik nogach. Wszyćkim wołał kaput, a nimek sie obezrał, jus i po nim bylo, kaput!“ „Tyli czas tenskniłek za Polskom! 60 roków polski jo nie zapominał, bo tu — i wskazał na serce — z Polskom żył i nikaj jeji zapomną nie mógł! Tero to my jus w kupie i tyj ziemi nie domy. Tu cierpiełiśmy za Polskę i tu chcemy docekać ostatni godziny“.

Takie było spotkanie, moje przed rokiem z autochtonem dolnośląskim, polskiego pochodzenia, żywym dowodem polskości tej ziemi, z którym rozmowa utwierdziła mnie tylko w przekonaniu, że mimo przesładowań i niszczenia planowego wszystkiego co polskie, ziemia dolnośląska pozostała w swym rdzeniu polska i nikt tej polskości nie może zaprzeczyć. Cała ziemia śląska zachowała polskosć w całej pełni i tu należy powtórzyć za jednym z pisarzy: „Znam tylko jeden Śląsk — dla mnie nie ma granicy: Opole, Katowice, Wrocław i pole Legnicy“.

*) „Książę Bolesławie, bohaterze Bolesławie, czy nie znany ci jest spocznik ni sen? Ciągła trwoga nas napęnia i w dzień i w nocy i spokoju nam nie dajesz ni wytchnienia“.

„Cała Polska — Ziemiom Odzyskanym“ ...

Taki napis nad puszką i symboliczną złotówką powitał przybyłych na Ogólnokrajowy Kongres Delegatów Komisji Obywatelskiej Daniny Narodowej, który odbył się w dniu 2 grudnia w sali Domu Kultury Robotniczej we Wrocławiu.

W obradach dotyczących najważniejszych spraw narodu polskiego, bo zagospodarowania Ziemi Odzyskanych, wzięli udział przedstawiciele najwyższych władz państwowych z prezydentem B. Bierutem, wiceprezydentem St. Grabskim, wicepremierem Gomułą, prezesem C. U. P. min. Bobrowskim, min. Dębrowskim, min. Widy-Wirskim, pełnomocnikiem rządu do spraw Daniny — Wiktoorem Kościńskim oraz przedstawicielami władz wojewódzkich — woj. wrocławskim Piaskowskim, wicewojewodą Arką Bożkiem na czele.

Przewodniczący Głównej Komisji Obywatelskiej Daniny Narodowej, prof. St. Grabski podkreślił w swym wstępnym przemówieniu solidarność wszystkich obywateli w wielkim wysiłku narodowym, jakim jest gospodarze utrwalenie naszych zdobyczy na

zachodzie. Nie jest rzeczą obojętną, w jaki sposób zdobędzie się potrzebne fundusze. Chodzi właśnie o to, by ofiary były dobrowolne i wynikały z głębokiego przeświadczenia o obowiązkach obywatelskich każdego Polaka. — Sprawa Ziemi Odzyskanych jednocy wszystkich Polaków — mówił z kolei prezydent Bierut. Zdobyliśmy je zbiorowym czynem orężnym wojska polskiego i zbiorowym wysiłkiem obywateli musimy wykorzystać potencjał przemysłowy tym Ziemi. Mamy szansę wydzwignięcia gospodarczego kraju przez rozbudowę przemysłu i szansy tej nie wolno nam zmarnować.

Wysiłki 5 milionów osiedlonych na Ziemiach Odzyskanych Polaków nie wystarczają. Normalne wpływy skarbu też nie są w stanie pokryć ogromnych wydatków, koniecznych dla odpowiedniego wykorzystania tego potencjału. To zadanie ma spełnić Danina Narodowa.

Wicepremier Gomuła przedstawił zebrany Trzyletni Plan Gospodarczy, w wyniku którego Ziemi Odzyskane wyprodukują

85 proc. wagonów, 48 proc. materiałów budowlanych, 50 proc. tkanin bawełnianych, wytwarzanych w Polsce a wydobycie węgla na Ziemiach Odzyskanych osiągnie 34 proc. ogólnego wydobycia węgla w Polsce. Wysiłek więc rentuje się szybko i to nie tylko materialnie, ale też jako najskuteczniejsza i najdobitniejsza odpowiedź zagranicy, zaprzeczającej nam naszych praw do Ziemi Odzyskanych i podającej w wątpliwosć naszą umiejętność wykorzystania potencjału gospodarczego tych ziem.

Prezes Centralnego Urzędu Planowania, Bobrowski, omówił szczegółły inwestycji, planowanych przez rząd na Ziemiach Odzyskanych, które wyniosą w roku 1947 łącznie zawrotną sumę 353 miliardów zł. Z tego na komunikacje przeznaczają się 6 miliardów zł, na łącznie 500 milionów zł, na odbudowę portu gdańskiego 600 milionów zł, na odbudowę portu szczecińskiego 500 milionów zł. — Planuje się m. in. odbudowę hut w Gliwicach, Łabędach, Zabrze i innych wielkich obiektów przemysłowych.

KSAWERY ANDRZEJ STOKŁOSA

Ziemie Zachodnie w słowiańskiej poezji obozowej¹⁾

Leży przede mną plik dokumentów słowiańskiej siły i ducha, materiały, które gromadzę drogą korespondencyjną. Autorami są b. arbeits- i durchgangslagów — oraz jeńcy wojenni, zakładnicy, ofiary najniebezpieczniejsi: b. więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych.

„Literatura” obozowa, to raczej pisemne wyladowanie nienawiści, z braku satysfakcji innej; to wizje odwetu, bezwzględne, napuszone — częstokroć tylko osobiste. Począwszy egocentryzm: panflety o sytych wczoraj, gdzie słowo „ja” częstokroć podszywa się pod słowo „my”. Mało jest rzutów programowych w „literaturze” obozowej. Z Polaków tylko cztery pozycje: Tadeusz Hołuj („Wiersze z obozu”), Grzegorz Timofiejew („Kamieniołom”), K. A. Jaworski („Serce za drutem”) i Aleksander Kulisiewicz („Psalterz Nienawiści”). Drukiem ukazały się „Wiersze z obozu” Hołuja („Książka”, 1946) — reszta czeka na zapowiadaną antologię. Głuchko o niej, jak zresztą o każdej inicjatywie.

Wybrałem kilka dostępnych mi fragmentów, które — po za drutami — tworzone — rzucają w latach 1939—44 słowo: *Zachód*. We wszystkich słowiańskich językach.

W obozie koncentracyjnym Sachsenhausen propagatorem słowiańskiej ekspansji w kierunku na Szczecin, Lignicę i Głogów, był popularny piosenkarz, poeta i kompozytor „Alex” (Aleksander Kulisiewicz²⁾), aktywista Konspiracyjnej Federacji Zbliżenia Międzysłowiańskiego K. L. S. Stworzył on i wyniósł w pamięci — bez użycia skrawka papieru na koncept — 715-stronnicowy (!) „Psalterz Nienawiści” (określając go skromnie: próbami poetyckimi) oraz ponad 60 obozowych pieśni.

Oto fragment lirycznej wizji pt. „Gdy wrócę” (1941):

— Jestem.
Ale na mojej stacji
nie wolno mi wysiąść.
Mam nakaz.
Zylem nim.
Dla wszystkich on jeden:
Na Zachód! —
Na Północ! —

Nad Bałtyk zsiniały mój!! — —
Słyszcie mnie:
jam pan wasz stary,
jam pan i gospodarz.

Uiszczę dług.

W improwizacji na wieść o powstaniu warszawskim pt. „Warszawo!” (15. 8. 1944) zwraca się do Leszka Białego:
„Leszku! Książę Panie! Jakież to dziwny orszak u Twych stóp; kwilą dzieci spod Głogowa, wlecze się Drzymały wóz:

Warszawo — na pomoc! Na pomoc!...”

W piosence o Matce Boskiej (Kujawiak, 1940) zapewnia:

„Olza polska z polską Odrą się spłynie („Pieśń o Olzie, 1941) i stały będą polskie orły: „od Opola aż po Lublin”.

W oflagu IIc (Woldenberg-Brandenburgia) powstała przepiękna „Dumka o Psiem Polu”, której autorem był por. Andrzej Woroszyński³⁾ rodem z Poznania. Za-

chowwały się wyjątki, w których po raz pierwszy pada credo: Nissa (w niemieckiej transkrypcji przez dwa „S”).

Patrz:

Psie Pole...

Wszędy krew i wszędy cisza;

wieść radosna wam sokoly:

nas nie wstrzyma płytka Nissa!

My przebrniemy.

Czech Jírka M a l e c k, student farmacji z Brna, tworzy w moraw-

ska-ostrowskim więzieniu balladę „O czerwonym węglu” („Ballada o červonym uhlí”, 1939—43), którą uzupełnia w Gross-Rosen, a potem w Buchenwaldzie. Znac w niej wpływy Bezruča i Hory. Węgiel, zdobyty krwią słowiańskiego „hawierza” (havír = górnik) płynie Odrą i czerwieni się w zachodzącym słońcu.

...słunce Tvé kouká a kouká —

Odra Vam zpívá: dočkám!..

(...słonce Tve patrzy i patrzy —

Odra Wam śpiewa: czekam!..)

Sentencja ballady są słowiańskopolskie prawa do Ziemi Zachodnich.

Młody sławista Aleksiej M e n s z i k o w z Moskwy pisze w K. L. Sachsenhausen poemat dydaktyczny pt. „Wtoroj Tannenberg” („Drugiej Tannenberg” — 1944) oraz nie zachowane sonety o Gdańsku i Kostrzynie (luty 1945: pod wrażeniem słyszanych strzałów armatnich); Serb Marin Stamatovic (również K. L. Sachsenhausen) cykl liiryk o Bałtyku (pt. „Duga” = „Te-cza”); Kroat Vladimir P a v l e k (student romanistyki, więzień Bergen-Belsen) eklog pt. „Mutni dan” („Ponury dzień” — opis pracy więźniów w zamglonym porcie szczecińskim, gdzie SS pasjonuje się krzykami: „Ihr Slawen-Hunde!”) oraz „Epistolae ex Rugia” („Listy z Rugii”, 1944).

Było szereg poematów słowackich, łużyckich o Bolesławie Chrobrym, o królowej Wandzie⁴⁾ (w K. L. Sachsenhausen przebywała od roku 1938 akcja studentów sławistyki uniw. praskiego — Łużycczan), o Ziżce i Witoldzie — szkoda, że nikt nie zainteresuje się gruntowniej tymi bezprzecnie wartościowymi przyczynkami⁵⁾.

¹⁾ jest to rozdział 7-my broszury w przygotowaniu pt. „Reinkarnacja zachodnich praw słowiańskich”;

²⁾ por. Jan Wiktor: „Polska i Czechosłowacja” („Dziennik Polski”, 13. 11. 1946);

³⁾ nie żyje;

⁴⁾ pod wpływem kompozycji Kulisiewicza „Pieśń o Wandzie z Ravensbrücku” (1944);

⁵⁾ dotychczasowy index obejmuje 14 obozów i 29 „autorów” różnych narodowości słowiańskich, mniej czy więcej wartościowych — ale z ważnością dokumentarną (przyj. autora).

JAN BARANOWICZ

Jak góra Świętej Anny otrzymała swą nazwę

Z wierzeń ludu opolskiego

Jak nie policzysz sosen w dużym lesie, tak nie policzysz lat, kiedy to było. Pewnie dziesięć stuleci nad ziemią przesuwała. Dziesięć równe albo i z okładem.

Wzgórze, gdzie dzisiaj kościół Świętej Anny wieża w obłoki się wplata, puszcza porastała gęsta. W rozpadlinach skalnych pośród ostróżyn jarzyły się ślepia dzikich zwierząt. W pieczarze wylegiwał się smok ogromny. Żywił się ludzkim ciałem, więc wiele pochłonił ofiar. Panoszył się i triumfował. Dzielnicy, co się nań łukiem lub oszczepem porwali, marli w męce.

Naówczas jeszcze świętoannienie wzniesienie zwało się Górą Chełmińska.

Gdy jaszczur zjadliwy padł wreszcie trupem — na skutek, nie wiem, zabójstwa czy starości — wdzięczni mieszkańcy okoliczni zbudowali na szczycie wzgórza małą drewnianą kapliczkę pod wezwaniem świętego Jerzego smokobójcy.

Żółkły i opadały lata jak liście z drzew. Zmieniały się posiadacze chełmskich włości. Jedno nlebo błękitniała jednaka barwą i tęcza jak podkowa wyginała się tymi samymi siedmiu barwami nad kopą wzgórza.

Mniej więcej cztery wieki temu gospodarzem świętoannich dzierżaw był rycerz Zaremba.

Namiętny to był myśliwy. Polowanie stanowiło dla niego uroczny żywioł, w którym nurzał się każda godziną dnia a nierzadko i nocy.

Raz zapaścił się z wiernym psem w bór głęboki. W pewnej chwili ni stąd ni zowąd, roztropny zazwyczaj i ostrożny — pies pognał na oslep w gąszcz dziki. Na nic się zdały nawoływania i gwizdy. Wyżeł przepadł bez śladu. J rycerz pojął, że go już nie odzyska.

Gdy zwracał do domu strapiiony, usłyszał dalekie skomlenie. Skowyt niósł się z wysoko, ze sklepistego zboża gęstwiny.

Powstrzymał konia. Wsłuchał się w głosy pilnie. Tak, to skomlał jego wierny pies.

Za głosem piał się rażno w górę. Nie zważał na zmęczenie wspinaczki. Bał się, że wiernemu towarzyszywi myśliwskich włócząg przydarzyło się nieszczęście. Trzeba go było ratować.

Gdy po znużonym szczeblowaniu dosięgnął szczytu pagóra, ujrzał osobliwy obraz.

W słonkowej równiance światła unosiła się nad szczytem ziawa świętej Anny. Na rękach kołysała Boże Dziecię, dziecię córki swej Marii. Zdało się rycerzowi, kiedy w blask patrzył, że to słońce zstąpiło spoza chmur i na wzgórze, niby owoc złocisty opadło.

Zgiął kolana i pokłonił głowę w pacierzu. Trwał długi kwadrans w nabożności głębokiej.

Gdy się ocknął z modlitwy i znowu spojrzął przed siebie, zjaw rozplynęła się między gałęziami drzew. Jenó obręcz blasku i woń dziwna dawały świadectwo,

że nie śnił, że to co przeżył, miało miejsce istotnie.

A w czasie, gdy to się działo, pies zamarł w bezruchu i tylko cichy skowyt wydobywał się z jego pyska. Gdy wizja rozplynęła się w ciepłym zachodzie, porwał się żywo i wachlując ogonem, pobiegł do swego pana radosny.

W głębokiej zadumie powracał rycerz Zaremba do domu. Nie mógł się otrząść z przeżycia. Zdało mu się, prostemu myśliwcowi, że to niebo uchyliło zasłony na moment i chlusnęło weń snopem jasności.

W domu zwierzył się zakonnikowi z tajemnicy leśnej wizji.

Lecz zakonnik nie sięgał do ksiąg. Prosto odpowiedział i z głowy. — Znak to oczywisty — rzekł — iż w miejscu owym kościół świętej Anny poświęcony, sumptem waszym powstać powinien.

Rycerz przytaknął chętnie. I oto maleńką zmurszałą kaplicę rozebrały robocze ręce. Na jej fundamentach wzniosły nowy, żywicią pachnący kościół pod wezwaniem świętej Anny, co objawić się tam raczyła. Wyśmigał wieżę ponad dęby i sosny i o chmury w dni dżdżyste krzyżem zachaczał. A w dni pogody polyskiwał blaszanym czubem, jakby oderwanym promieniem słońca.

Od kościoła świętej Anny góra otrzymała imię patronki. I wspięła się ponad równiny jako wyniosły symbol i świetliste serce Górnego śląska.

Prace solidne, duża naogół dbałość o estetykę. Ale inicjatywa prywatna wyżywa się wciąż jeszcze w sklepach i lokalach, wznoszonych a la minute, byle interes szedł. Budujący tandetnie kupcy i niebudujący, a nawet nie remontujący właściciele domów mają wprawdzie to i owo na swoje usprawiedliwienie, lecz faktem jest że nie wydobyl się z psychozy tymczasowości.

Dorobić się możliwie szybko — myślą kupcy, którzy nie wezmą towaru do ręki, o ile im nie zapewni przynajmniej 100% zysku — après nous le déluge.

Ci ludzie są też najintensywniejszymi, często mimowolnymi propagatorami dojrutkostwa.

ZABAWA W CHOWANEGO

Wieczór na Marszałkowskiej jest wieczorem uludy. Pała się latarnie, jezdnią suną piękne samochody. Dwa rzędy jasno oświetlonych sklepów sugerują obecność domów, których nie ma. Jest w tym przewaga teatralnego pozoru nad rzeczywistością zwalonych i wypalonych murów, gładzonych w mroku. Na tle tych kulis ludzie przesuwają się gorączkowo w obydwie strony. Pośpiech świadczący nie tyle o pracowitości, ile o witalnej żywotności, wyzywającej się w chęci ukazania się bliżnim na „zmyślonym balkonie” (jakby powiedział Brzechwa).

Warszawiacy, szczególnie pewien określony odłam, wciąż

jeszcze nie rozwiązali odpowiednio swego stosunku do rzeczywistości — z jakiegokolwiek strony by na to nie patrzeć. Siedząc w Szwajcarskiej czy u Gajewskiego, słuchając sentymentalnego tanga w „Paradyzie” czy gdzie indziej, bawią się w chowanego z czasem. Wyświeżeni mężczyźni i ach, jakże eleganckie kobiety odgrywiają 1938, 1939 rok, po przedwojennemu beztroscy i nieodpowiedzialni. Dysproporcje i kontrasty nigdy ich nie raziły. Stoją „ponad tym”.

PROPAGANDA I WYSPIAŃSKI

Któregoś niedzielnego przedpołudnia wybrałem się do Muzeum Narodowego. Ściągnęła mnie tam przede wszystkim wystawa „Czechosłowacja 1939 — 1945”. Składa się z dużych fotografii obrazujących chronologicznie walkę Czechosłowacji z Niemcami i nazizmem na froncie wewnętrznym i na frontach świata. Liczne piękne wydane książki i broszury, zbiór gazet, które się ukazywały w tych latach w Czechach (konspiracyjnie), w Anglii, w Rosji, afisze niemieckie, podkreślają wymowę zdjęć. Cały materiał jest ułożony padzwyczaj przejrzysto i stanowi szkolną wprost lekcję wymienionej propagandy. Wszystkie nasze urzędy propagandy — od najwyższych do najniższych — powinny stawić się in corpore na czechkiej wystawie. Zdolność nauczenia się czegoś

EGON NAGANOWSKI

List ze Stolicy

NASTĘPSTWA OKUPACJI

W chłodny, listopadowy ranek wysiadłem na tymczasowym Dworcu Głównym. Lekka różowość nie zdążyła jeszcze rozprószyć płatów mroku, przywiezionych przez nasze pulmany z głębi nocy. Jakies niewyraźne dymy snuły się nisko, tuż za dworcowym budynkiem. Wciągnąłem głęboko rześkie powietrze. Warszawa po dwóch latach — wydawała mi się, że to było znaczenie dawniej. Dopiero gdy targowałem się z dorożkarzem, przybliżyło się znów do mnie owe miasto, różniące się od wszystkich innych miast na świecie. Względem Warszawy nie można pozostać obojętnym. Posiada zbyt dużo niewątpliwego uroku i zbyt wiele oczywistych wad. Tak było dawniej, tak jest chyba i dziś — zresztą zobaczymy.

Aleje były prawie puste. Tylko przy przystankach spore grupki ludzi. Rozglądałem się pilnie za tym, co już zrobiono. Nie przyjechałem tu, by rozpamiętywać ruiny. Wprawdzie podczas dni następnych natrafiłem na takie miejsca, gdzie przed okupacją rysowały mi się nagle barykady, gdzie wydawało mi się, że widzę

znów ludzi biegnących chyłkiem wzdłuż ścian — ale to były chwile i zaraz teraźniejszość wylaniała się władczo spoza ruin i żyłem tym, co jest.

Wszystkie domy i mury na wysokości parteru pozalepiane afiszami. Wiszą kolorowe strzepy — jarmarczny widok. Nigdzie w Europie czegoś podobnego nie ma. Zjazdy, kongresy, odezwy, programy — kiedy wyratujemy się z powodzi papieru?

Gdy przyjechalibyśmy na miejsce przeznaczenia, — targi z dorożkarzem zaczęły się od nowa. Upięrał się przy swoim „góralu” (!), mimo że na dworcu zgodził się już na mniej. Machnąłem ręką. Zaplaściłem. Napewno pomyślał, że złapał „fajera”. Niech tam. Warszawiaczy kantuja nieraz z prawdziwym wdziękiem, z łobuzerską fantazją — niemniej kantuja. Mają ku temu zadawnione zamiłowania. Okupacja wylobuzzyła je do niebywałych rozmiarów. To gorsze od ruin. Prędkiej wybuduje się miasto, niż odbuduje dusze. Trzeba pokolenia, jak pójdzie dobrze, by skończyć z amoralnością społeczną, okupującą w dalszym ciągu psychikę wielu Warszawianków. Coś, co było uświęcone i należało czę-

sto do obowiązków patriotycznych niesłychanie trudno wytrzebić. Widać z tego, że czyn zły zostaje zawsze czynem złym, nawet gdy się mogło zdawać, że niezaskodzi wykonawcy, jako że obiektem był wróg.

Na chodniku wpadłem jedną nogą w głęboką dziurę. Miałem szczęście, nie się nie stało. W nocy mogło być gorzej. Zataszczywszy walizy do bramy, spojrzalem raz jeszcze wgląd zabarwiającej się na różowo ulicy. Przejechało kilka samochodów i kilka tramwajów oblepionych ludźmi naokoło. Wewnątrz nie było specjalnego tłoku. Większość trzyma się blisko wyjścia, albo nie wchodzi wcale. Nie ma już łapanek, ale pozostała chęć przejechania się za darmo. Głupi by tam płać. A Warszawiaczy są przeciw cwaniami.

APRÈS NOUS LE DÉLUGE

Nie jest prawdą, jakoby w Warszawie nie się nie robiło. Praca wre przy tunelu w Alei Trzeciego Maja, odbudowuje się Nowy Świat, odbudowuje sporo gmachów w różnych częściach (między innymi Pałac w Łazienkach), na Żoliborzu oddaje się do użytku coraz to nowe bloki mieszkalne

MICHAŁ DUDZIK

Z krainy tysiąca lasów i jezior

Ks. proboszcz Barczewski w Brunśwałdzie

Piękna jest jesień na ziemi warmińskiej. Rano, gdy słońce pierwsze nieśmiało blaski kładzie na pokrytych perlistą rosą lub szronem pagórkach, nad jeziorami ukrytymi wśród lasów, w dolinach kłębią się zwały mleczno-białej mgły. Słońce już wysoko. Mienia się wszystkimi kolorami liście drzew na brunśwałdzkim cmentarzu, mieni w słońcu pokaleczona pociskami armatnimi wieża kościoła. Rozplynęły się mgły w dolinach i w tej chwili słońce przegląda się w gładkiej tafli jeziora, cicho szumią trzciny i las przy brzegach.

Idziemy wolno do wsi, ku kościołowi. Mijamy liczne Boże Męki i kapliczki przydrożne. Na polu garstka kobiet pochylona nad zagonomi pracownicy kopie ziemniaki.

— Panię Boże wspomaga! — witamy je z daleka.

— Panie Boże zapłać! — odpowiedzą zgodnym chórem i prostują przygarbione plecy, by po chwili pochylić się znowu nad radlonkami. Trzeba kopać, a prędko. Zboża mało kto nosił, a jeśli nosił, to myszy zjadły. Cała nadzieja w tych ziemniakach, a więc trzeba się spieszyć, aby je mróz nie złapał.

Mijamy dzieci idące do szkoły. Niektóre wesoło szczebiocą po polsku, inne jeszcze po niemiecku.

Stary Warmiak każdy jeden rozumie po polsku, ci najstarsi, bywało do śmierci po niemiecku nie potrafili. Z dziećmi, z tymi najmłodszymi stało się gorzej. Hitlerowski terror zrobił swoje. Poza pałacem, mało które umiało po polsku. Za 20 lat, język polski zostałby z tych stron usunięty raz na zawsze. Bóg zrzadził inaczej, w brunśwałdzkiej szkółce, która do niedawna germanizowała, uczą się znowu dzieci po polsku, a z otwartych ust leci słowa polskiej pieśni. Przed kilkoma dniami wpadła mi do rąk ciekawa książka „Schüler-Verzeichniss der Schule zu Braunsvalde im Kreise Allenstein”.

Oto co mówią cyfry.

Książkę powyższą rozpoczęto w roku 1867. Do szkoły zapisało się wówczas 17 dzieci, w tym 13 mówiło po polsku, 4 po polsku i po niemiecku, dzieci z samym języ-

kiem niemieckim, jako ojczystym, nie było wcale.

Wyciągnąłem dla orientacji niektóre dane liczbowe i sporządziłem małą tabelkę, która pozwoli nam zorientować się dokładnie w przebiegu germanizacji i jednej z polskich wiosek warmińskich.

rok	zapisano dzieci z jęz. polskim	z polskim i niemieckim	z niemieckim
1867	17	13	4
1869	9	7	2
1875	14	8	2
1881	21	11	—
1892	16	14	—
1898	24	13	—
1914	17	9	—
1919	20	13	—
1920	18	7	1
1930	24	5	8

Czasy hitlerowskie nie wykazują ani jednego Polaka, gdyż po prostu nauczyciel, zapisując dzieci do szkoły, bez pytania jako język ojczysty wpisywał niemiecki.

Nie znaczy to jednak, by wszyscy zapisani pod rubryką „język ojczysty niemiecki” byli rdzennymi Niemcami.

Weźmy przykład: Gerhard Polakowski przyjęty do szkoły w dniu 24. IV. 1929 zapisany jako Niemiec. Ojciec jego w tej samej książce figuruje jako Polak, rodzina znajduje się zresztą dzisiaj na miejscu, wszyscy mówią po polsku i uważają się za Polaków.

Trzeba niestety przyznać, że jeżeli kilkanaście lat temu podawali się za Niemców, to kierowali nimi przede wszystkim względy materialne.

Na terenie Brunśwałdu i na całej ziemi warmińskiej, olbrzymie zasługi w walce o utrzymanie polskości położył Walenty Barczewski, proboszcz brunśwałdzki.

Ks. Walenty Barczewski urodził się 10. II. 1856 r. w Jonkowie pod Olsztynem z polskich rodziców Jakuba i Barbary z Burlińskich. Ojcowizna znajdowała się już od setek lat w rodzinie Barczewskich. Ks. Barczewski uczęszczał do gimnazjum w Brunsberdze, Reszlu i Chełmie. W r. 1889 zostaje proboszczem w Wielbarku na Mazurach, a od 30 czerwca 1894 proboszczem w Brunśwałdzie.

Szeroko znane są na Warmii jego prace na polu kościelnym, społecznym i literackim. Wskutek walki kulturalnej nastąpił na Warmii wielki brak księży, stąd też na pracy młodemu i pełnemu zapału księdzu nie zbywało. W Biskupcu zakładał czytelnie ludowe w mieście

dniej bliżej ołtarza położonej części prawej nawy i podnieść głowę do góry. Z niemałym zdumieniem zobaczy przybysz polskiego ołtarza z koroną na głowie, a bardziej do tyłu, ołtarz pruski, smażącego się w piekle. Polskiego ołtarza otaczają obrazy, przedstawiające męczeństwo św. Stanisława i św. Wojciecha.

Przy bocznych ołtarzach, na sklepieniu, przy stacjach Drogi Krzyżowej, z niemałym zdumieniem przeczytać można polskie napisy, o których jakoś zapominał zdziczały, hitlerowski barbarzyńca.

Taki kościół na polskiej Warmii postawił swym parafianom ks. Barczewski. Przy tym wszystkim znalazł jeszcze czas na udzielanie wyższych nauk. Za radą swego biskupa założył jeszcze w r. 1884 prywatną szkołę wyższą w Butrynach, i mimo zajęcia z parafią brunśwałdzką, prowadził ją dalej. Dwa razy przeskadzano mu w prowadzeniu szkoły, cofnięto zezwolenie, ale nieugięty bojownik dopiął mimo wszystko swego.

W tej szkółce przygotował ks. B. przeszło 150 uczniów i uczennic do wyższych zakładów naukowych. Wielu z nich zostało kapłanami, lekarzami, prawnikami, profesorami, nauczycielami i stanowili najlepsze kadry szermierzy polskości na Warmii.

Na polu literackim pisuje ks. Barczewski od r. 1878 różne artykuły do gazet polskich i niemieckich, treści religijnej, politycznej, społecznej, historycznej i językowej.

Profesor Nitsch z Krakowa nazwał go doskonałym i praktycznym znawcą narzeczy warmińskich. O tych dialektach, które także poniekąd zachodzą na Śląsku i Pomorzu pisane są „Kiernasy na Warmii” studia językowe i „Gwarę ludu na Warmii i Mazurach”. W r. 1917 wydał ks. Barczewski „Geografię polskiej Warmii” zawierającą wiele folkloru, oraz w 1894 rozprawkę „Źródła naszej Liny”, z historii lokalnej i krajowej „Księgi kościelne w Brunśwałdzie”, „Nowy kościół w Brunśwałdzie”, „Misy na Mazurach”, „Kościoły katolickie na Mazurach”, a po niemiecku w Adalbertusblatt w r. 1911 szkie-

to. Jemu przeciw, Morstinowi, zawdzięczałem głębokie wzruszenie, jakie doznałem będąc po latach po raz pierwszy w teatrze, na „Obrobie Ksantypy” w reżyserii Leona Kruczowskiego. Było to w październiku 1944 roku w obozie w Gross Born, gdy oczy zachodziły mi jeszcze łzami od warszawskich pożarów. Ksantypa była doskonała i prawdziwie grecka, bo... grał ją oczywiście mężczyźni.

Do „Penelopy” zabrał się Morstin w lecie 1943 r. obserwując — jak sam pisze — nieszczęsne słoniane wdowy, które czekając na mężów, wczujących po świecie, rozpaczały, tęskniły i potem nierzadko sobie żyć, zachowując i pomnażając dobytek, szukając rozrywek i pocieszając się z przyjaciółmi. Narzucała mu się wówczas myśl, co będzie, gdy wróca mąż. Dlatego nie nowego lecz aktualnie, jakże współczesnego tematu sięgnął po oprawę a częściowo i klimat do Homerowej Odysei. Słońcem Itaki złagodził ostrość dylematu i napisał komedię, skrzącą się dowcipem i pikantnią, wypowiadającą i uplastyczniającą finezyjne psychologiczne prawdy.

W wiernej, w zasadzie, lecz obleganej przez zalotników i władcianej Melantę, łączącej w sobie wdzięk dziewczęcy z pozbawionym zakłamania rozwyrzeniem,

oddał Morstin dwa typy współczesnych kobiet z wielkiej masy wciąż jeszcze czekających. Odys, pierwszorzędnie zagrabny przez Jana Kreczmarę, pełen chępliwości z przebytych przygód wojennych i innych, a zarazem odznaczający się szperającą nieufnością względem osamotnionej tyle lat żony, jest z drugiej strony uosobieniem tych wszystkich mężów, którzy już powrócili albo kiedyś powrócą, nie mogąc się jeszcze wyrwać z objęć zagranicznej Cyree. Tropi prawdę o wierności żony a ta powiada z aurytatywną logiką miłości: „Prawda znają tylko bogowie, nie ludzie. Prawdą nie jest to, co było, a więc minęło, tylko to, co jest teraz. Miłość moja do ciebie. „A przed tym jeszcze do Antinoja, niedoszłego kochanka: „Co ty wiesz, co to jest wierność! Czy rozumiesz, co znaczy to słowo i jakie uczucie może łączyć ludzi, którzy ze sobą niejedno przeżyli i mają wzajemną wyrozumiałość dla swoich błędów i upadków!”

Gdy po subtelnych zdarzeniach rozgrywających się raczej w duszach ludzkich, niż w powikłaniach akcji, gdy od klasycznie klarownych a zarazem południowo barwnych (pastelowa całość) dekoracji i kostiumów — odszedłszy, znalazłem się znów wśród ruin, łagodnie spojrzawszy na Warszawę i pewną kategorię jej mieszkańców. „Prawdę znają tylko bogowie” — zaiste.

Wierne, w zasadzie, lecz obleganej przez zalotników i władcianej Melantę, łączącej w sobie wdzięk dziewczęcy z pozbawionym zakłamania rozwyrzeniem,

oddał Morstin dwa typy współczesnych kobiet z wielkiej masy wciąż jeszcze czekających. Odys, pierwszorzędnie zagrabny przez Jana Kreczmarę, pełen chępliwości z przebytych przygód wojennych i innych, a zarazem odznaczający się szperającą nieufnością względem osamotnionej tyle lat żony, jest z drugiej strony uosobieniem tych wszystkich mężów, którzy już powrócili albo kiedyś powrócą, nie mogąc się jeszcze wyrwać z objęć zagranicznej Cyree. Tropi prawdę o wierności żony a ta powiada z aurytatywną logiką miłości: „Prawda znają tylko bogowie, nie ludzie. Prawdą nie jest to, co było, a więc minęło, tylko to, co jest teraz. Miłość moja do ciebie. „A przed tym jeszcze do Antinoja, niedoszłego kochanka: „Co ty wiesz, co to jest wierność! Czy rozumiesz, co znaczy to słowo i jakie uczucie może łączyć ludzi, którzy ze sobą niejedno przeżyli i mają wzajemną wyrozumiałość dla swoich błędów i upadków!”

Gdy po subtelnych zdarzeniach rozgrywających się raczej w duszach ludzkich, niż w powikłaniach akcji, gdy od klasycznie klarownych a zarazem południowo barwnych (pastelowa całość) dekoracji i kostiumów — odszedłszy, znalazłem się znów wśród ruin, łagodnie spojrzawszy na Warszawę i pewną kategorię jej mieszkańców. „Prawdę znają tylko bogowie” — zaiste.

Wierne, w zasadzie, lecz obleganej przez zalotników i władcianej Melantę, łączącej w sobie wdzięk dziewczęcy z pozbawionym zakłamania rozwyrzeniem,

oddał Morstin dwa typy współczesnych kobiet z wielkiej masy wciąż jeszcze czekających. Odys, pierwszorzędnie zagrabny przez Jana Kreczmarę, pełen chępliwości z przebytych przygód wojennych i innych, a zarazem odznaczający się szperającą nieufnością względem osamotnionej tyle lat żony, jest z drugiej strony uosobieniem tych wszystkich mężów, którzy już powrócili albo kiedyś powrócą, nie mogąc się jeszcze wyrwać z objęć zagranicznej Cyree. Tropi prawdę o wierności żony a ta powiada z aurytatywną logiką miłości: „Prawda znają tylko bogowie, nie ludzie. Prawdą nie jest to, co było, a więc minęło, tylko to, co jest teraz. Miłość moja do ciebie. „A przed tym jeszcze do Antinoja, niedoszłego kochanka: „Co ty wiesz, co to jest wierność! Czy rozumiesz, co znaczy to słowo i jakie uczucie może łączyć ludzi, którzy ze sobą niejedno przeżyli i mają wzajemną wyrozumiałość dla swoich błędów i upadków!”

Gdy po subtelnych zdarzeniach rozgrywających się raczej w duszach ludzkich, niż w powikłaniach akcji, gdy od klasycznie klarownych a zarazem południowo barwnych (pastelowa całość) dekoracji i kostiumów — odszedłszy, znalazłem się znów wśród ruin, łagodnie spojrzawszy na Warszawę i pewną kategorię jej mieszkańców. „Prawdę znają tylko bogowie” — zaiste.

o Mariawitach, z czego wywiązała się w gdańskich gazetach polemika, w której brał udział i „biskup” Kowalski. Wydał wiele książek o treści religijnej, poza tym czynnym był przy zakładaniu trzech polskich gazet dla Warmii: „Gazety Olsztyńskiej” (1886), „Nowin Warmińskich” (1890) i „Warmiaka” (1893). Wspomagał je finansowo, moralnie, sam redagował, i w ten sposób dużo przyczynił się do utrzymania i rozszerzenia poprawnego języka i ducha polskiego na Warmii i Mazurach. W tym celu zbierał i wydawał w felietonie „Gazety Olsztyńskiej” (1924) utwory z poezji i prozy głównie rodzaków swych, pod tytułem „Z piśmiennictwa polskiego na Warmii w XIX stuleciu”.

Według zdania prof. Nitscha pisma te tworzyły małą encyklopedię polskiej Warmii, tego może najbardziej zapomnianego zakątka Polski. Należałoby dzisiaj prace te wygrażać z półek księgarskich i prywatnych bibliotek, a napewno badacz znajdzie w nich dużo nieocenionego materiału do studiów regionalnych.

Ks. Barczewski na każdym kroku starał się być pożytecznym ludowi, z którego pochodził. Polacy na Warmii dlatego od dawna żyli sobie między sobą. W r. 1911, 1912 i 1921 wysunęli go na kandydata, tak że dzięki temu uzyskał poważną liczbę głosów (rok 1921 — 12.000) i poraz pierwszy wszedł Polak do sejmu prowincjonalnego w Królewcu.

Dzisiaj prócz jego dawnych parafian mało kto o nim pamięta. Zapomniano o nim, jak i o grobie na brunśwałdzkim cmentarzu, gdzie pod pomnikiem Dobrego Pasterza widnieje w pół zatarty napis:

Tu spoczywa śp. Ks. Walenty Barczewski, proboszcz brunśwałdzki, a na boku jeszcze mniej wyraźny napis: Ks. Barczewskiemu, Polacy z Warmii.

Obok niego, z twarzą pomnika zwróconą ku kościołowi, który syn budował, spoczywa jego matka.

I tak leżą pogrążeni w wiecznym śnie w tej ziemi tysiąca jezior i lasów, która tak gorąco ukochali i której poświęcili całe życie.

jest oznaką młodości. Bądźmy młodzi.

Odczuwam zawsze potrzebę odczynienia w sobie polityki — choćby najslusniejszej i najbardziej sercu bliskiej — gdy mam z nią przez parę godzin czy kilkadziesiąt minut bezpośrednio do czynienia. Tym razem wydało mi się najlepiej przejść wprost od odezwu, mundurów i trupów do malarstwa. Sztuka posiada niezrównaną właściwość krzepienia nawet wówczas, gdy przedstawia nikiżemność i zbrodnię. Długo stałem przed uosobieniem chciwości — „Rachmistrzem Akcyzy” Marinusa van Roymerswaele (w XVI) i przed ostro wyciętymi bezwzględnyymi rysami Lorenza Guistiniani pendzla Gentile Bellini. Ale malarstwo obecne nie jest najsilniejszą stroną obecnego Muzeum Narodowego.

Bogato reprezentowane jest malarstwo w Polsce i polskie — od Canalleta i Bacciarelliego do Waliszewskiego i Makowskiego. Jak to dobrze po latach poobcować znowu z obrazami, z którymi żyło się ongiś na intymnej stopie! „Kazanie Skargi” (przechowywane przez całą okupację w lubelskiej piwnicy) w trakcie oczyszczania z pleśni i regenerowania farby, „Konie” Orłowskiego i Michałowskiego, „Wieś” Chełmońskiego, „Noc” Gierzyńskiego (Maks.), „Pejzaż Zimowy” Fałata, „Jezioro w parku” Podkowińskiego (prawdziwa symfonia in

green), jurna cielesność Malezewskiego i wreszcie niezastąpiony Wyspiański. Tego niedzielnego przedpołudnia zrozumiałem, że moja tęsknota za polskim płótnem odczuwana podczas wojny, była w dużej mierze tęsknotą za Wyspiańskim. Niespokojne pejzaże, skapane w żółtofioletowym świetle, śpiące dzieci, rzucające ciemno niebieskie, syte cienie i „Autoportret” (1894), gdzie wiośnianie jeszcze, prawie żółte włosy, sterczą na tle głębokiej, włoskiej akwamaryny.

Warto było przyjechać do Warszawy choćby dla tych kilku muzealnych godzin. Przed obrazami stało i dyskutowało dużo studentów i studentek. Mieli szczerze przejęte twarze. Przyleciałem na nich z przyjemnością. Dodali mi otuchy — oni i ludzie budujący tunel. To jest przyszłość. Kto stoi, ten się cofa — ci idą naprzód.

Wyszędlszy z Muzeum spojrzawszy w dal pięknie odbudowanego mostu Poniatowskiego. Samochoody nikną na którymś tam prześle. Wielkomięjska perspektywa. Jednak jestem w stolicy. Od Wisły dał zimny wiatr Zaplałem ścisłej płaszczy i powoli wracałem do domu, dziwnie przejęty.

**„PRAWDA NIE JEST TO,
CO BYŁO..”**

Na premierze „Penelopy” Ludwika Morstina w Teatrze Polskim wybierałem się jak na świę-

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Radio na Ziemiach Odzyskanych

(Artykuł dyskusyjny)

Znaczenie radiofonii w życiu kulturalnych społeczeństw rośnie z roku na rok. Wtedy, gdy ten niezmiernie doniosły czynnik społeczny oddziaływał, gdy ten instrument szybkiej informacji, rozpowszechniania i podnoszenia oświaty, krzewienia kultury, mobilizowania narodu do czekających go zadań czynił ogromne postępy i w piorunującym tempie zwiększał zasięg swoich wpływów — w okresie wojny — w Polsce był on z życia społecznego niemal zupełnie wyeliminowany. Radiofonii polska poniosła olbrzymie po prostu straty w stacjach nadawczych, sprzęcie odbiorczym, w przemysle radiotechnicznym i znalazła się po wojnie od razu na jednym z ostatnich pod względem radiofonizacji miejsc w Europie.

Te straty odczuwa silnie cały kraj. Ale szczególnie poważne następstwa miały one i mają na terenach Ziemi Odzyskanych. Radio w procesie zespalandia tych ziem z resztą kraju, w procesie wiązania nowych ludzi z ziemią, na której osiedli, w oddziaływaniu na element autochtoniczny miało poważne zadania do spełnienia i mogło odegrać rolę o wielkim znaczeniu. Wiemy, że ludzie idący na zachód w pierwszych miesiącach wisieli jakby w próżni. Znaleźli się na ziemi im obcej, w nowym otoczeniu, tam gdzie nie było Polaków miejscowych poczuli się wysepkami w masie niemieckiej, tam gdzie Polacy miejscowi byli, nie umieli z nimi się porozumieć i współżyć. Nie docierało do nich słowo polskie ani żywe ani drukowane, nie mieli gazety, książki, nie mieli koncertu ani odpowiedniej rozrywki, oderwani byli od bieżących spraw kraju. Wiele się do dziś pod tym względem zmieniło na lepsze, ale żadna poprawa nie umniejsza tej straty, jaką ponieśli Polacy na ziemiach zachodnich przez brak tego wszystkiego, co człowiekowi dać może radio, najlepszy, najwierniejszy łącznik pomiędzy jednostką a życiem kraju i społeczeństwem, łącznik najbardziej żywy i najbardziej bezpośredni. W tych warunkach, w jakich się oni znaleźli, radio nie jest namiastką ale formą niemal równorzędną dla dziennika, kina, teatru, sali odczytowej, sali koncertowej a niezastąpioną formą utrzymania stałego kontaktu z nurtem życia toczącego się w kraju.

Tego czynnika Polacy na Ziemiach Odzyskanych byli i można śmiało powiedzieć w dużej mierze są dotychczas jeszcze niemal całkowicie pozbawieni.

Z polskich stacji nadawczych na zachodzie kraju zastaliśmy w grzech: Katowice, Poznań, Toruń i wchodząca tu jeszcze w rachubę Łódź. Z niemieckich stacji, które mieliśmy objąć, w takim samym stanie znaleźliśmy Gdańsk, Szczecin, Wrocław. Zachowały się w dobrym stanie Gliwice. Jeśli więc na skutek przejścia ponemieckiego sprzętu odbiorczego stan radiofonizacji tych terenów przedstawiał się w porównaniu z resztą kraju jako taki, nie mieliśmy niemal zupełnie nadajników i robotę trzeba tu było zaczynać od samego początku przy wielkich brakach technicznych.

Jak Polskie Radio robotę tę wykonało? W pierwszym rzucie wybudowało stacje nadawcze w Katowicach, Poznaniu, Bydgoszczy, Gdańsku, po kilku miesiącach uruchomiło stację w Gliwicach jako Katowice I, następnie uruchomiło stację w Szczecinie i Wrocławiu. Pozornie dorobek wielki. Ale w istocie bardzo niepozorny. Jedyne Gliwice pracują dziś z mocą około 6 KW w antenie przy zasięgu do 110 km w kraju, docierając falą odbitą do krajów zachodniej Europy,

jak Francja i Anglia. Wszystkie pozostałe stacje to liliputy o mocy pół do półtora kilowata, o niezmiernie małym zasięgu, słabym odbiorze i mocno niedoskonałej sprawności technicznej w zakresie modulacji i czystości emisji.

Poznania podobno nie można czasem uchwycić wieczorem w samym Poznaniu. Katowice I (Gliwice) naprzód kłóciły się na jednej fali z jakąś stacją jugosłowiańską i angielską, teraz są systematycznie zakłócone przez znacznie silniejszy Poczdam. Wrocław ma też podobne sąsiedztwo, co do reszty zmniejsza zasięg i znaczenie tej słabiutkiej stacji. Bydgoszcz, Gdańsk, Szczecin przy swojej mocy to stacje niemal prywatne, przeznaczone dla grona najbliższych. W ten sposób Ziemia Zachodnie mają do swej dyspozycji aż 7 stacji nadawczych i minimalny z nich pożytek, skoro nawet najlepsze dziś i najsilniejsze Gliwice są wobec wspomnianych przeskód niemal bez znaczenia.

Przeciwko tym siedmiu liliputom polskim pracują w eterze zespoły silnych, kilkudziesięciu i więcej kilowatowych, świetnie modulowanych, stojących na wysokim poziomie technicznym stacji czeskich i niemieckich.

W budowę tych liliputów włożyli masę pieniędzy. Drugie tyle pochłonęło ich zorganizowanie, postawienie ich jako czynnych placówek pracy radiowej, wykonujących własny program i mających rozległe zadania techniczne, poszerzone o

tw. radiofonizację przewodową, budowę radiowęzłów, zakładanie głośników domowych itp. Te liliputy ciążyą jeszcze dziś i nadal będą ciążyły na budżecie Polskiego Radia, będą długo jeszcze kulą u nogi, nie dorastając przy tym do zadań, które przed nimi stoja.

Stwierdzić zatem trzeba, że polityka inwestycyjna Polskiego Radia w zakresie budowy nadajników poszła w tym wypadku w zupełnie fałszywym kierunku po linii prowizorycznego zaspakajania lokalnych potrzeb i ambicji. Każde większe miasto chciało mieć swoją stację, więc dawano mu liliputa, ambicja była zaspokojona a sumienie uciszono. Jedynym racjonalnym wyjściem z tej trudnej sytuacji było skoncentrowanie radiofonii na Ziemiach Zachodnich najwyżej, w trzech ośrodkach gdzie powinny być stanać przy wykorzystaniu wszelkich możliwości technicznych i skłonieniu odpowiednich czynników do zakupów zagranicznych trzy możliwe silne stacje nadawcze, pokrywające swym zasięgiem możliwie największy obszar odzyskanych terenów. Na takie postawienie sprawy podnieśli się burza protestów. Znamy te protesty: nie mamy dewiz na takie zakupy, nie ma sprzętu radiowego za granicą, nie stać nas na takie wydatki. Dobrze. Ale przecież wiemy, że znalazły się sposoby regulowania rachunków zagranicznych za sprowadzane do kraju filmy francuskie i angielskie i to sposoby bardzo skomplikowa-

ne, że porobiono w Szwecji zakupy, wysokowartościowych odbiorników, że wiele jeszcze podobnych przykładów 'możnaby wymienić. Widocznie naczelna dyrekcja Polskiego Radia nie umiała przekonać odpowiednich ministerstw, że budowa nadajników i zakupy zagraniczne na ten cel są jedną z spraw państwowych najpilniejszych i pierwszorzędnej wagi. A mówi się z dumą, że technicy nasi „z niczego" wybudowali Łódź i Wrocław. Czy nie można im było pomóc, by „z niczego" postawili chociaż jedną lub dwie stacje z prawdziwego zdarzenia dla Ziemi Odzyskanych? Liczne podróże radiowców za granicę, jakie miały miejsce po wojnie, nie dały żadnych rezultatów. Z każdej wracano, wzruszając ramionami i stwierdzając, że trzeba się wybrać do Ameryki. Wysłano tam nawet jakiegoś stypendystę, ale nie zainteresowano się możliwościami zakupu nadajników.

To jedna dziedzina zaniedbań. A teraz dziedzina nieporozumień. Do tego systemu lilipucich stacji zaczęto w ostatnich miesiącach gwałtownie doczepiać gęstą sieć tzw. radiowęzłów, rozprowadzając od nich sieć głośników domowych. Zamiast pomyśleć poważnie o zorganizowaniu produkcji odbiorników, postanowiono dać społeczeństwu ich namiastki w postaci domowych skrzynek głośnikowych, fatalnie wykonanych, połączonych z radiowęzłem i przekazujących słuchaczowi program najbliższej

stacji. Ponieważ te głośniki bardzo często są diabła warte, ponieważ radiowęzły z powodu wspomnianych zakłóceń w odbiorze, małego zasięgu stacji i ich niedomagań technicznych odbierają program mocno zniekształcony, praktyczna wartość głośników domowych jest minimalna. Ponieważ jest to dosyć prosty i tani sposób radiofonizacji nie można mu odmówić pewnej celowości w okresie przejściowym. Może nawet specjalnie celowy jest on w pierwszym etapie radiofonizacji ziem odzyskanych. Ale warunkiem jest tutaj sieć silniejszych i dobrze technicznie postawionych nadajników, by wiszący w rogu izby garnuszek odbierał w radiowęzła program w dostatecznym nasileniu i bez zniekształceń, by kierownik radiowęzła nie był zmuszony nadawać godzinami „własny program", złożony ze zdartych płyt lub produkcji miejscowych artystów, co ma obecnie najczęściej miejsce.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze druga sprawa zasadnicza — sprawa programów. Wojna przyniła wśród pracowników programowych Polskiego Radia takie same spustoszenia jak wśród pracowników technicznych. Ponieważ namnożyło się sporo lilipucich stacji nadawczych, niepodobieństwem okazało się obsadzenie ich jako tako wykwalifikowanym personelem programowym a radio nie uczyniło dotychczas nic, by personel taki wykształcić. Stąd ogólny bardzo niski poziom programu radiowego. Jeśli chodzi natomiast o Ziemię Zachodnią, to w obsadzie programowej pracujących dla tych ziem rozgłośni, znalazło się sporo ludzi na poważnych stanowiskach bez najmniejszego tytułu do tych stanowisk, nie znających zupełnie problematyki, przeszłości i potrzeb tych terenów. W składzie personalnym dyrekcji programowej jednej z dwóch ze stacji śląskich w dziale audycji słownych nie ma nie tylko ani jednego Ślązaka, ale nawet ani jednego człowieka, który byłby ze Śląskiem od lat żyty i mógł się wykaazać jakimś głębszym stosunkiem do tej ziemi i jej mieszkańców.

Te uwagi krytyczne, może ostre i gorzkie, stanowią tylko fragment tej krytyki, jakiej powinna być podana powojenna działalność Polskiego Radia, instytucji jednej z najsłabiej pracujących i na wielu odcinkach nieudolnie kierowanej. Ale ten fragment jest dla nas najprzykrejszy, bo widzimy wyraźnie, że w okresie, gdy cały naród podejmuje olbrzymi wysiłek zagospodarowania Ziemi Zachodnich i zespolenia ich z krajem — Polskie Radio w tej dziedzinie ma do zanotowania m. i. długi szereg niedociągnięć i zaniedbań. Czas by się nad tym niewybliwym bilansem radia na Ziemiach Odzyskanych zastanowić — i pomyśleć o gruntownej zmianie na lepsze.

List Kornela Makuszyńskiego do „Polski Zachodniej"

Zakopane „Opolanka",
10. 12. 1946.

Najszanowniejszy

Panie Redaktorze!

Przed dwiema godzinami powróciłem po dłuższej nieobecności z Warszawy, więc teraz dopiero mogłem odpowiedzieć na przemiły dla mnie list Pański, czym przedzej wydobyty ze straszliwej sterty korespondencji i nawału korekt. Niestety, Drogi Panie Re-

datkorze! Na gwiazdkę ukażą się cztery moje książki, które trzeba przerabiać i zmieniać w nich pisownie. Nie znalazłbym przeto ani chwili na napisanie. Byle czego do pisma Pańskiego, o tak świetnym poziomie, dałbym nie mógł i nie chciał. A na uczciwą robotę, godną Pana, nie znajduję czasu. Gdybym był wiedział miesiąc jakiś temu, posłałbym coś z ochotą. Gorąco proszę o przebaczenie za zawód, ale kiedyś, przy jakiejś uroczystej okazji, rzecz bę-

dzie odrobiona. Nie ma Pan Red. pojęcia o tym, ile mam zamówień. Dziesiątej części wykonać nie mogę. Niechże Pan raczy zrozumieć moją sytuację. Na wiosnę będę do dyspozycji.

Czytam „Polskę Zach." zachłannie, a jubileuszowe numery wywołały w starym jako ja koniu dziennikarskim, zachwyt i szacunek za treść i formę.

Proszę przyjąć serdeczny uścisk dłoni

K. Makuszyński.

27 grudnia 1918

Po wiekowej niewoli, po latach ciężkich i krwawych zmaganiach z germańskim najeźdźcą, które chwilami wydawały się wprost beznadziejnymi — przyszedł Wielki Dzień — 27 grudnia 1918 r., w którym stolica Wielkopolski czynem orężnym zadokumentowała swe odwieczne prawa do prastarej Ziemi Piastów.

Do powstania Wielkopolska przygotowywała się od dawna, szczególnie jednak od chwili, gdy załamała się siła militarna państw centralnych i gdy dotarła wieść, iż pozostałe ziemie nasze są wolne od wroga. Wybuch powstania przyspieszył przyjazd Paderewskiego wraz z wojskową misją koalicyjną do grodu Przemysława. Niemcom nie podobały się potężne i żywiołowe manifestacje Polaków na cześć Paderewskiego i towarzyszących jemu oficerów alianckich — sprowokowali więc zajęcia — zrywając sztandary koalicyjne i polskie.

Do broni ruszył spontanicznie cały Poznań a wkrótce powsta-

nie objęło całą Wielkopolskę — zamieniając się po pewnym czasie w wojnę polsko-niemiecką.

ALEKSANDER WIDERA

Otworzymy okno celi...

Otworzymy okno celi na choinkę nieba, więzień z więźniem się podzieli kawaleczkiem chleba.

Na choince wniebowziętej zawiesimy oczy, zacakamy na kolendy i na nowy roczek.

W nowym roku nowe dzieje, nowych świtów zorze, noworoczne są nadzieje, nowe sny, a może

czas gwiazdami zapalony na choince nieba ukaże nam koniec wojny i to, co potrzeba.

Mysłowice 1942—43.

którą wygrał lud Wielkopolski o własnych siłach — toteż dumny jest z pamiętnej nocy Grudniowej, zakończonej zwycięstwem.

Tym, którzy pierwsi podnieśli oręż przeciwko odwiecznemu wrogowi słowiańszczyzny, tym, którym przyświecała myśl — Wolność Najjaśniejszej Rzeczypospolitej — Powstańcom Wielkopolskim — Cześć!

Patrząc dzisiaj z perspektywy pamiętnych dni Powstania Wielkopolskiego — na po raz drugi powalone Niemcy, którzy już znowu podnoszą pretensje do naszych Ziemi Odzyskanych — niechaj pierwszy zryw narodu w 1918 r. będzie dla nas w rocznicę Powstania Wielkopolskiego wskazaniem i przykazaniem jednocześnie, aby nieugięcie stać na straży naszych granic zachodnich i przez jak najszybsze zagospodarowanie umocnić na zawsze siłę i potęgę Rzeczypospolitej nad Odrą, Nisą Łużycką i Bałtykiem.

T. P.

Porcelana — Szkło
Naczynia

aluminiowe
i emalowane

Saneczki sportowe
Kuchnie — Piece

poleca

Jan Deierling i Ska

Poznań

ul. Szkołna 3 Tel. 41-51

LEON MOCYDLARZ

Problem kultury polskiej na polskim Zachodzie

Pojęcie kultury polskiej na Ziemiach Odzyskanych wydawać nam się może fikcją, którą sztucznie chcemy rozdać poto, aby zyskać alibi naszej własności, mającej podstawy prawne w prawie przyrodzonym to znaczy niezaczepialnym. Kultura nasza nie jest tylko przeszłością i nią nie potrzebuje się legitymować, zwłaszcza wtedy, gdy wszelkie możliwe siły działały na jej niekorzyść. Nie było nawet potrzeba świadomego jej niszczenia — wystarczał sam fakt politycznego opanowania ziem, które odzyskaliśmy dzisiaj, aby poszczególne punkty i ogniska polskiej kultury napozór zniknęły w szarej poliwie codziennego życia, upstrzonej jaskrawymi nakropieniami ludzi wiedzy i sztuki niemieckiej. Naukowe naciąganie problemów i tworzenie kultury niemieckiej na ziemiach obecnie odzyskanych przejawiało się przede wszystkim w ulewie druków. Prawie każda najmniejsza miejscowość ma swoje miejsce w słowie drukowanym. Dowodzi to, że interesy niemieckie szły w kierunku stworzenia podłoża żywotnego niemieckiej kultury. Nie zaczepiając istotnych jej wartości, przekonamy się przy zupełnie pobieżnym przeglądzie, że w większości wypadków nie problemy, a zupełnie drugorzędne przejawy życia były tematem wysuwanych na czoło, byle by można było podkreślić: „urdeutschi“.

W umysłowości niemieckiej dogmatyka życia była obojętną — katechizm mógł stworzyć każdy. To tworzenie katechizmów zaściankowych, to okadzanie każdej małości musiało stworzyć płycizną rzeczywistości kulturalnej. Jeśli małość stawia się na gminie na ołtarz — to wreszcie każdy brudnym buciarą będzie chciał na niego wejść! W rezultacie stworzono typ człowieka, który musiał chodzić w dymach, wydawało mu się, kadzidłanych, i zachłystywał się byle czym. Stąd brak u Niemców dogłębnej ekstazy uczuciowej, która winna cechować każdą kulturę a pozostaje tylko niekiedy popękana polityka którą ze złością gładzą — ponieważ była gładka i błyszcząca!

Dymy uleciały! Pytamy o naszą kulturę na zachodzie Polski. Istnieje bezwątpienia ta prawiekowa i dzisiejsza. Rzeczą badaczy jest wydobycie pamiętki przeszłości na światło. A dzisiejsza? Jest dokoła nas, w stanie fluktuacji jeszcze, ale jest! Kto jednak powołany jest do jej krystalizacji? Czy szary człowiek zarabiający na kromkę chleba będzie tworzył kulturę? Czy pseudointeligent trącający niekiedy analfabetyzmem a pozujący na kulturaloroba z racji urojonych ambicji ma stwarzać kulturę na polskim Zachodzie?

Najgorętszym zwolennikiem demokracji kultury może być tylko człowiek prawdziwie kulturalny, rozumiejący zbawienny wpływ tych dóbr niematerialnych na człowieka pracy, na kształtowanie jego psychiki i władz umysłowych. Upożyczanie kultury nie może się jednak odbyć drogą rewolucji społecznej, gdzie czynnik konsumpcyjny znacznie ni stąd ni zowąd tworzy dobrą kulturalną, których wielkość nie wyrasta poza ramy elementarza a jest działalnością ewolucyjną, w której twórca wyrastający ponad przeciętność podaje swoje tworzywo masie konsumującej we formie najłatwiej przyswajalnej. Nakłada to oczywiście na twórcę obowiązek i pewien hamulec formy, jeśli wolno mi tak powiedzieć, gdyż trudno jest narzucić twórcy temat lub sam materiał jeśli z tym tematem czy tworzywem nie będzie związany uczuciowo i jeśli w tej intencji nie będzie tworzył. Celowo nie mówię tu o ten-

dencji gdyż każdy twór tendencyjny z reguły jest tworem sztucznym. Samo tworzenie nie znosi więzów i musi być wolne. Ograniczanie twórcy jest samo w sobie niszczeniem kultury jak gloryfikowanie płycizny umysłowych jest dewastacją lub całkowitym jej wytrzebieczeniem.

Na zachodnie rubieże Rzeczypospolitej powinni więc iść ludzie prawdziwej kultury, a nie ci, których los rzucił przypadkiem i stawił nagle przed zjawiskiem zwanym kulturą o którym nic przed tym nie wiedzieli lub którego treści ani zasięgu nie rozumieją. Mówi się o kulturalnej rozrywce, o „kulturalnym człowieku” tj. takim, który „zna się na książce”, lubi muzykę lub teatr, więc dalejże stwarzać „kulturę”. Takie stwarzanie było zjawiskiem powszechnym w okresie administracyjnego obejmowania Ziemi Odzyskanych. Do dzisiaj stosunki zmieniły się na lepsze, ale niech nikt nie sądzi, że prowizo-

rium kulturalnych rozrywek, które ad hoc zostało zapoczątkowane, jest objawem kultury.

Frazeologia w której celują wypchnięci przypadkiem na „dyrygentów kultury” na naszym Zachodzie, niech nie przysłania oczu czynnikom kompetentnym na straszliwe braki lub w ogóle brak ognisk kultury poza uniwersytetami, które należy traktować jako odrębnego, szczególnego twórcę. Pamiętać jednak należy, że szkolnictwo jest także dopiero w stanie początkowej organizacji i co najważniejsze, nie jest materialnie zaopatrzone tak jakby się należało spodziewać, zważywszy, że stoi ono na straży polskiego stanu posiadania!

Gdyby nam rzeczywiście chodziło o kulturę nie w znaczeniu oklepianym, potoczny, już dzisiaj często bez treści, to nie kładlibyśmy zbytniego nacisku na domy kultury a na ośrodki kultury twórczej w których twórcy dóbr kulturalnych

wszelkiego autoramentu znaleźliby podatne milieu, atmosferę zrozumienia, poparcia i niezależność materialną. Pamiętać nam należy, że każda twórczość to nie jest „robotą którą można odstawić”. Jest to dziedzina wysiłku, którego cena lub płaca nie mieści się w roboczo godzinach lub stawkach. Twórczość zamyka się w indywidualnym przebiegu całego życia, innym dla każdej jednostki tworzącej i zależnej całkowicie od natężenia twórczego, którego jest przymiotem wrodzonym. Sztuczne kulturowanie lub wmawianie procesowi twórczemu np. cukiernikowi który na torcie wypisał własny wiersz do ukochanej Adelki w rodzaju „serce moje, kocha twoje” były szczytem ignorancji i zacofania. Nie wolno nam ignoratów kusić złudą wątpliwej sławy przez wciągnięcie ich w obręb środowiska twórczego. Trzeba żądać od wszystkich, którzy mogą mieć wpływ na przebieg procesów twórczych w tych środowi-

skach, minimum wykształcenia, które da możliwość rozwinięcia własnych horyzontów myślowych.

Twórczość na Ziemiach Odzyskanych lub w związku z nimi powinna przybrać formy spontaniczne u mistrzów, a nie tylko u ludzi, którzy „chcieliby a nie mogą!” Dać twórcom możliwości podróży, pobytu i przeżycia Zachodu. W związku z tym byłoby wreszcie słusznym aby odpowiednie czynniki zaaranżowały np. przez jeden rok, generalny najazd uczonych i artystów na Ziemię Zachodnią. W wypadku okazania chęci, zainteresowania lub zajęcia się w swoim zakresie jakimś konkretnym problemem, ideą czy motywem, który może być wkładem do naszej kultury nie należy liczyć się z groszem. Ten musi się znaleźć tam, gdzie on „jest Polski tworzeniem”. Bo na Polski Zachód patrzy cały świat i to świat, który ma wymagania w stosunku do tych, którzy mówią o kulturze!

MIECZYSLAW MARKOWSKI

Kłopoty literatury

Garstka ocalałych od zagłady literatów polskich nie ma lekkiego żywota. Do skromnego pokoiku jednego z pisarzy, przychodzi jakiś bardzo poważny, niemal urzędowy pan i powiada mniej więcej tak:

— Mój drogi mistrzu. Potrzebna nam jest wielka powieść o reformie rolnej, albo o upaństwowieniu przemysłu, albo o tym, że Ziemia Odzyskana... mistrz rozumie: już nigdy więcej itd...

Mistrz patrzy zdziwionymi oczyma, a poważny pan w łot podchwytuje zdziwienie i spieszy je usunąć:

— Bo widzi mistrz, to jest, że tak powiem, nakaz chwili, konieczność dziejowa, potrzeba dzisiejszej rzeczywistości, zamówienie. Zamówienie społeczne. Literatura musi iść z życiem, a nie plątać się za nim. Zdobycze postępu trzeba gruntować w psychice społecznej. Do tej odpowiedzialnej pracy, pan, mistrzu, powołany jest w pierwszym rzędzie.

Pisarz myśli, myśli i wreszcie powiada:

— A cóż ja mam zrobić z nurtującymi mnie przeżyciami wojennymi?

— Och, na to jeszcze będzie czas. I tak dziś jeszcze nie może powstać żadna dobra powieść, umiająca okres ledwie miniony. Brak tu perspektywy. Przecież wie pan chyba o tym, że najlepsze książki o pierwszej wojnie światowej powstały w wiele, wiele dopiero lat po jej zakończeniu. Służę przykładem: „Na zachodzie bez zmian” Remarque’a. Na taki temat jak wojna nie można patrzeć z bliska: obraz wychodzi zamazany. Trzeba się oddalić, odejść nieco w czasie.

— No dobrze, ale widzi Pan... w tym wszystkim jest racja. I z tą perspektywą, i z tym oddaleniem, i z tym zamówieniem społecznym na powieść o reformie rolnej. Ja to wszystko doskonale rozumiem i doceniam. Tylko... cóż ja mam zrobić z tym całym balastem przeżyć, przemyśleń, które nagromadziły się we mnie przez pięć lat milczenia. Upaństwowienie przemysłu to istotnie sprawa niesłychanie ważna, ale jak ja się mam pozbyć cech pamiętnej Wielkanocy warszawskiego getta, jak oderwać się od myśli o łapankach, o ulicznych egzekucjach, o powstaniu. Perspektywa — tak, perspektywa jest potrzebna, ale co

poradzić z natłokiem natchnień, które każą na gorąco uwiecznić postacie polskiego podziemia.

— Sentymenty, sentymenty mistrzu!

— To nie są sentymenty. To jakiś wewnętrzny nakaz, który dyktuje konieczność przetrwania na papierze czasu „Nocy” okupacyjnej. Czyż można sobie narzucić kierunek myślenia, wówczas, gdy głowa już pęka od natłoku myśli innym w swym charakterze niż te, które chcielibyśmy tam wcisnąć?



ZBYSZKO BEDNORZ

Pochwała repatriantki

W otwartym wagonie towarowym

Wiatr przewiał patos: Twoje lzy...

Ucieczką słupów przy torze

Gnały Twe miasta, czarne role, krzywo rosnące wsi.

W gorących gwizdach lokomotywy

Twe starty historyczne od Stryja po Bug

I pośród myśli zadymionych myśl:

Nad Odrą? — Nad Odrą mój syn gdzieś legł.

I choć Ci w oczach ból tańczyły dziewanny

Przed oknami opuszczonych chat

Ucałowałaś progi nowych domów

By nowym wiekiem życie, jak swe serce dać.

A dziecka Twego zdrowy płacz,

Co szedł wśród nocy wilgotnej po polach jak śpiew,

Zwycięzył smutek mogiły słowiańskiej

I klęskę Piastów i ich grzech.

Kiedyś widziałem, jak dzielnie

Przy elektrycznej młockarni

Nabrzmiała Ci praca w żyłach

Pozdrowienie Tobie, kobieto od Stryja!



Rozmowa kończy się niczym. Poważny pan swoje: o zamówieniu społecznym, a pisarz swoje: o „kraju milczenia”, bo (tak się to w myśli tłumaczy) wykonaniem zamówienia społecznego jest również dawanie świadectwa prawdziwe, wydobywanie jej na światło, by nie zginęła w zapomnieniu.

Poważny pa... czeka na powieść o Ziemiach Odzyskanych, a pisarz tworzy „Dymy nad Birkenau”, „Kamienie na szaniec”, „W rozwalonym domu”.

I na to nie ma chyba rady. Musi tu naprzód nastąpić rozładowanie umysłów twórczych z nagro-

madzonego materiału o czasach okupacji, o czasach Majdanka i Oświęcimia, o czasach Wawra, o czasach, w których piece krematoryjne były narzędziem wojny w rękach potwornych szaleńców.

Zapełniają się witryny księgarń publikacjami tego typu, opowiadaniem o tym co było, wspomnieniami, opisami przeżyć własnych i cudzych.

Przed taką wystawą, trzęsąc się wieczorem oświetloną, staje sobie odbiorca literatury, czytelnik i

książek wojennych. Nie pozwalają mu zasnąć. A jednak... ciekawym jak też oni o tym piszą? Prawdziwie?... Nazajutrz rozterki ciąg dalszy. Za trzy dni pożyczona książka o okupacji (pożyczona, bo rzadko kto może sobie na kupno pozwolić) leży na biurku. Jeszcze nieufność. Jeszcze dąsy. Jeszcze niechęć przed odtwarzaniem w pamięci hitlerowskich zbrodni, jeszcze obawa przed bólem wywołanym rozdrapywaniem ran zbliznionych, a później: stało się. Przez całą noc niegaszone światło było jedynym świadkiem pasji z jaką czytelnik pożerał łapczywie treść książki. Na twarz występowała błądź i rumieńce. Serce przyspieszało swój rytm i mdlało w bezruchu.

Ranek po nieprzespanej nocy przynosi bunt: już ani jednej książki o wojnie nie weźmę do ręki.

— Za kilka dni czytelnik staje przed oknem księgarń — historia powtarza się z precyzyjną dokładnością.

Chorzy jesteście jeszcze wszyscy na kompleks wojny. Prawda to smutna, ale niezaprzeczalna. Wpadliśmy w sieć wspomnień i mimo szarpaniny nie potrafimy się z niej wydostać. Nie można się temu dziwić. Wojna to przeżycia zbyt mocne, by nie wypaliły na duszy piętna, którego nie jest się w stanie usunąć. I to samo dzieje się zarówno w duszy pisarza, jak i czytelnika. Chcielibyśmy się z tego stanu wyzwolić, ale to ponad nasze siły.

W czasie, gdy w nas trwa ta wewnętrzna szarpanina narastają nowe problemy, życie płynie dalej, płynnie dziwnie szybko, rwie w przyszłość siedmiomilowymi krokami przełomów, ewolucji, rewolucji. Przywiązani siłą wstrząsu do lat okupacji wpadamy na fale współczesności i ledwie dostrzegamy, że co sekundę mignie nam w oczach nowy zakręt, który mijamy. Trzeba się jakoś odciąć od słupa narodowej tragedii.

Gdybyż to się udało zrobić... Nie jest to wcale takie proste.

Rzeka współczesnej literatury polskiej, rzeka powstała z trzech strumieni: krajowego, emigracji wschodniej i emigracji zachodniej, wpłynęła w swe koryto i nagle zatrzymała się. Musi przełamać tamę zbudowaną ze wspomnień kateklizmu, tamę, której ani rusz wyminąć się nie da i wtedy dopiero pełną siłą, runie naprzód. W jakim kierunku?...

Czytelnik odszedł. Odszedł zły, zachmurzony. Wraca do domu. Po drodze przesładują go tytuły

CZESŁAW PISKORSKI

Wszyscy staniamiy do odbudowy Polski

Polacy z Berlina osiedlają się w Szczecinie, by pracować na Ziemiach Odzyskanych

Trzy długie pociągi pełne mienia wszelkiego rodzaju: wagony towarowe przepełnione nie tylko meblami, ale narzędziami, maszynami. Nawet konie i samochody przybyły do Szczecina z zagranicy.

Oto właśnie pociągi, które przywiozły ze sobą polskich reemigrantów z Berlina. Nie brak wśród nich starych działaczy, którzy przez szereg lat pracowali tam w polskich organizacjach. Oto Michał Haberliński, długoletni prezes polskiego towarzystwa szkolnego „Oświata” w Berlinie. Przybył do kraju, by tu

dalej pracować dla Polski nad repolonizacją Ziemi Odzyskanych. A dalej członkowie b. Związku Polaków.

Chodzą od wagonu do wagonu razem z p. Michałem Kmiecikiem, starym działaczem polskim z Berlina, a obecnie kierownikiem Polskiego Związku Zachodniego w Szczecinie. On to opowiada mi prawie że o każdej rodzinie. Wszystkich ich zna. Kilkadziesiąt lat wśród nich spędził i wie, że to element doskonały: pracowity, kochający Polskę.

Przybyli z Berlina rodacy opowiadają, że to dopiero pierwszy

transport „tych najodważniejszych”. Przyjechać chcą tysiące, ale każdy się zastanawia, bowiem i w Berlinie nie brak plotek o sytuacji panującej w Polsce. Mówi się, że w Polsce nie ma własności prywatnej, że jak się zabierze samochód to zostanie upaństwowiony, że nie wolno otworzyć własnego warsztatu itp. brednie.

— Miałem w Berlinie — mówi jeden z przybyłych — wielką kawiarnię i cukiernię. Zatrudniałem przeszło 20 ludzi. Odradzano mi, bym do Polski nie jechał, bo przecież mam w Berlinie dobrze. Ale postawiłem wszystko na jed-

ną kartę. Postanowiłem dokończyć życia w kraju. Załadowałem całe urządzenie na wagon i przyjechałem. I dobrze zrobiłem. Już Izba Rzemieślnicza obiecała mi, że otrzymam odpowiedni lokal i że będę mógł w dalszym ciągu prowadzić cukiernię w Szczecinie. Nie żałuję decyzji. A będzie pan widział, ilu Polaków przybędzie z Berlina, gdy tylko otrzymają od nas listy, w których napiszemy, jak nas tu przyjęto i jakie tu są w rzeczywistości warunki życia.

I stary cukiernik prowadzi nas do swego wagonu, a właściwie

do swych wagonów. W jednym bowiem ma meble i urządzenie mieszkania (4 pokoje i kuchnię) a w drugim urządzenie cukierni. Wszystko jest na miejscu. Brak tylko lokalu. Poczawszy od maszyn, a skończywszy na stolikach i porcelanie. I co za maszyny: najnowsze przedwojenne modele z elektrycznymi motorami. Samych motorów jest sześć — chwali się cukiernik.

W innym wagonie znajdujemy właściciela sklepu, który również przywiozł całe urządzenie. W dalszym znajdujemy komplet narzędzi do kopania studni, a jeszcze dalej zespół elementów i maszyn do prac kanalizacyjnych. Nie brak również warsztatów ciesielskich, stolarskich, przedsiębiorstw przewozowych (razem z 3 samochodami i kilku kołami) laboratorium drogerijno-fotograficznego itp.

Polacy z Berlina przywieźli z sobą ogromny majątek. Na 34 rodziny (łącznie około 100 osób) załadowali na wagony 27 maszyn do szycia, 22 radioaparaty, 22 rowery, 3 wozy, 3 łódki z motorkami. Ale nie koniec na tym: również i żywego inwentarza nie brak. Jest kilka krów i cielę, są kury, kaczki i gęsi, a nawet gołębie pocztowe.

— A można było zabrać znacznie więcej — mówi z zalem jeden z „berliniaków”. — Ale człowiek zbyt dużo się namyślał. Ci co po nas przyjadą przywiozą więcej. Oni już będą zorientowani. My im napiszemy.

I opowiada, że jeden z Polaków z Berlina zabiera się z 20 samochodami, tyny chce zabrać ze sobą fabrykę obuwia, która zatrudnia około 100 ludzi. A na zakonczenie dodaje z wyrzutem w głosie:

— Boć też przecież nasi starzy kierownicy z polskich organizacji powinni byli do nas przyjechać i nas zaznajomić z rzeczywistym stanem w Polsce. Swojemu starym znajomemu człowiek by z zaufaniem zawierzył.

Nietylko majątek przywieźli ze sobą Polacy z Berlina. I nie tylko serca gorące — polskie, ale co najważniejsze, również ręce do pracy. Ręce, które znają pracę, które żadnej pracy się nie wstydzą, które chcą pracować i umieją pracować. A tacy ludzie są nam najbardziej potrzebni.

I dlatego witamy ich gorącym sercem i z otwartymi rękami!

Wywiad z ob. Wicewojewodą Wrocławskim, Barchaczem

Faktami zmusimy do milczenia wrogów

Zagospodarowanie rolne Dolnego Śląska

Zapoznanie społeczeństwa polskiego z wynikami prac polskiego rolnika na Dolnym Śląsku, skłoniło nas do przedstawienia sprawozdania bilansowego z dotychczasowej, półrocznej gospodarki rolnej na tym terenie. Z tą myślą zwróciliśmy się do ob. Wicewojewody w celu uzyskania obrazu naszych wysiłków w tej dziedzinie gospodarki narodowej.

„Wobec tego — oświadcza ob. Wicewojewoda — zaczniemy najlepiej od początku, od tego, co zastaliśmy na Dolnym Śląsku”.

„Teren Dolnego Śląska był terenem intensywnych przemarszów wojsk, gdzie toczyły się tygodniami trwające boje np. o Wrocław, Głogów i inne miasta. Dolny Śląsk stanowił ostatnią zapórę niemieckiego maszywu wojsk, osłaniających przemysłowy teren Saksonii i zabezpieczających od południowego skrzydła Berlin. Toteż koncentracja sił niemieckich i sił demokratycznych (armia radziecka i polska) była szczególnie znaczna, a to pociągnęło za sobą szczególnie znaczną dewastację”.

„Przed wszystkim zaznaczyć tu należy celową dewastację, przeprowadzaną przez Niemców. Przyczyny tej celowej dewastacji szukać należy w braku u Niemców uczuciowego związku z ziemią śląską i Niemcy uważali stale tę ziemię za teren kolonizacyjny. Przemysł śląski znikomą odgrywał rolę wobec olbrzymiego przemysłu w Niemczech zachodnich. Także Odra nie była wykorzystana w tych rozmiarach, w jakich je narzuca jej położenie geograficzno-gospodarcze. Dopiero w czasie wojny Niemcy przystąpili do tworzenia z Dolnego Śląska bazy dla przemysłu wojennego, spodziewając się go zabezpieczyć na tym, zdawałoby się, neutralnym pasie. Dolny Śląsk stał się w ostatnich dwóch latach wojny kuźnicą przemysłu, służącego wojnie. Toteż było powodem systematycznego niszczenia ziemi dolnośląskiej, gdy napór wojsk radzieckich i polskich zmusił Niemców do opuszczenia tej ziemi. Niemcy sami mówili, że w razie ich klęski, cały Śląsk, a więc także Dolny, przypadnie Polsce. Tym się też jedynie tłumaczy potworne niszczenie i spalanie obiektów, które absolutnie nie przeszkadzały działaniom wojennym — spalanie na złość osad wiejskich, leżących zdaleka od głównych dróg i linii komunikacyjnych, bezlitosne obrabianie w kupę gruzów miast, jak np. Wrocławia i Głogowa. Dolny Śląsk stał się szlakiem bezprzykładnej dewastacji rolnej. W

r. 1945 znalazły się liczne odłogi jako obszary minowe, obliczane jedynie na celowe sparaliżowanie akcji rolnej, a nie wojskowej. Styl zakładania min — na polach, leżących zdaleka od szlaków i bardzo głęboko umiejscowionych, obliczany był na zadawanie ran gospodarczym prawowitym gospodarzom. Takie postępowanie można tylko określić mianem bandytyzmu, obliczonego na dłuższą metę. Do dziś jeszcze zdarzają się wypadki rozrywania ludzi na minach, mimo bardzo dokładnej akcji oczyszczania. Dotąd usunięto wprost kolosalną ilość min i akcja nadal trwa. Nie tylko tego rodzaju niszycielską akcją prowadzili Niemcy. W panicznym strachu przed nacierającą armią radziecką i polską, ustępujący Niemcy zarzynali bydło i nierogaciznę, pozostawioną w zagrodach. Obok gospodarczego zniszczenia wywołali w ten sposób zarazę przez plagę much, roznoszących trupi jad. Poglowie bydła spadło w sposób zastraszający. Na teren, liczący 1576 tysięcy ha użytków rolnych było bydła rogatego około 100 tysięcy, licząc w tym buhaje, krowy, woły i cielęta. Resztę bydła wprowadzono, względnie zarżnięto. Trzeba przy tym zaznaczyć, że Dolny Śląsk był w pewnym stopniu rezerwatem bydła. Jeśli chodzi o trzodę chlewną, to unikatem była świnia, która nie dostała się pod nóż Niemców. Drobiu prawie w ogóle nie było. Siła pociągowa koni spadła do ca 30 000. Niedobory bydła, trzody chlewniej i koni były więc zastraszające, a pozostawione traktory i maszyny rolnicze w stanie przeważnie nienadającym się do użytku. Tylko powiaty południowe, dokąd działania wojenne nie dotarły, a polski osadnik wcześniej się zjawiał, zachowały jaką taką ilość narzędzi rolniczych, bydła i koni”.

„Wytworzył się stan, że nie wiadomo było od czego zacząć, poza powiatami południowymi, gdzie stan był znośny. Powstały kolosalne trudności w osiedlaniu ludzi na terenach zniszczonych dlatego, że Polak-rolnik nie widział możliwości osiedlania się w gospodarstwach bez zabudowań, bydła, koni i narzędzi. Tylko bardzo patriotyczna i obywatelska świadomość i po prostu potrzeba zagospodarowania spuścizny państwowej oraz instynkt narodowy sprawiły, że poszedł polski osadnik na niespotkany dotąd w historii wysiłek, na głód, chłód i nędzę, aby tylko te ziemie zagospodarować. W tej trudnej chwili demokratyczne państwo polskie potrafiło przyjąć z dużą

pomocą osadników. Często i gęsto przyjeżdżający repatrianci i reemigranci ze wschodu lub zachodu, a także przesiedleńcy z części zniszczonych przez wojnę centralnej Polski nie tylko nie posiadali inwentarza żywego i ziarna, ale byli bez dostatecznego odzienia i wymagali natychmiastowej opieki społecznej i lekarskiej. Stale przybywają transporty bydła, koni, ziarna i traktorów i są dzielone na zagospodarowanie własnie tych nieposiadających nic osadników na zasadach kredytowych. Oby więcej tych transportów przychodziło do nas z zewnątrz kraju. Ta pomoc jest niedostateczna, jest maksymalnym wysiłkiem aparatu państwowego, ale tym nie mniej niedostateczna. Chłop polski nie może zrozumieć, dlaczego naród polski, który w stosunku do innych narodów poniósł największe ofiary krwi, największe zniszczenie fizyczne, nie korzysta z należytej pomocy wszystkich narodów, mających mu jej udzielić. Tymczasem Niemcy, którzy spowodowali te straszne zniszczenia i martyrologię całych narodów, korzystają z pomocy państw zachodnich w coraz większej mierze”.

„A jaki jest obecny stan rolnictwa i co dały nasze wysiłki” — pada pytanie z naszej strony.

„Jeżeli porównać stan dzisiejszy — odpowiada ob. Wicewojewoda — ze stanem początkowym, możemy powiedzieć, że tu na tych ziemiach polska racja narodowa i państwowa zdała egzamin, o czym wiedzą nasi przyjaciele i wrogowie. To czego dokonano w krótkim okresie czasu, jest nie tylko bez precedensu, ale nie daje ująć się w karby rozsądnego planowania i wkracza w dziedzinę fantazji. Jeżeli poza granicami kraju są ludzie, którzy nie mają tak rozwiniętej wyobraźni, jak my, to niech skorzystają z pierwszej okazji, niech przyjadą i stwierdzą naocznie, że entuzjazm narodu mógł dokonać cudu”.

„Obecna akcja siewu jesiennego w r. 1946 i wiosenna akcja siewu w r. 1947 idą pod hasłem likwidacji ugorów. Co tu mówić: jeżeli wykonując codzienną konkretną pracę, doszliśmy do tego, że chcemy w ciągu jesieni 1946 i wiosny 1947 zlikwidować ugory na Dolnym Śląsku, to znaczy, że jesteśmy tak zagospodarowani, iż możemy „szarpnąć się” na realizację tego hasła. Słowa „szarpnąć się” użyłem celowo, bo to jest bodaj jedyne określenie tego hasła przy istniejących realnych możliwościach. Realizacja likwidacji ugorów jest akcją ogromnie inteu-

sywną, wymagającą dalszych maksymalnych wysiłków od polskiego chłopca i agronoma oraz przedsiębiorstw i instytucji, biorących bezpośredni udział w tej akcji. Nie trzeba być rolnikiem, żeby zrozumieć, że likwidacja około 250 tysięcy ha ugorów dwuletnich jest przedsięwzięciem wynagajającym natężenia i zgrania wszystkich żywych sił. Wystarczy powiedzieć, że para koni wprężnięta do pluga nie potrafi ugryźć tych dwuletnich ugorów”.

„Na siew jesienny w bieżącym roku wyznaczył Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów 400 tysięcy ha. Plan został przez mnie podniesiony do 600 tysięcy ha. Plan nałożony przez Komitet Ekonomiczny już przekroczyliśmy. Prace na roli trwają. Nie stać nas teraz na tym szczeblu możliwości zagospodarowania na wprowadzenie zasiewów według wszelkich praw i zasad rolnictwa. Mamy ziemi ornej milion dwieście kilkadziesiąt tysięcy ha. Według tego arealu powinniśmy obsiać oziminą trzydzieści kilka procent. Chcemy obsiać więcej, żeby — pomimo braku może realnych przesłanek — uporać się z resztą arealu na wiosnę, bo wówczas będzie mniej czasu, a więcej pracy i doprowadzić do takiego stanu rzeczy, by żniwa zebrać z pełnego arealu ziemi ornej na Dolnym Śląsku”.

„Na terenach niezupełnie zurynowanych — objaśnia dalej ob. Wicewojewoda — gdzie były możliwości wyreparowania domostw i zabudowań gospodarczych wyrosły tu i ówdzie i wyrastają stale całe osiedla już zagospodarowane i uporządkowane. Wiele terenów, które w chwili objęcia tych ziem świeciły martwymi oczodołami, już dziś ożyły i tętno życia wraza. Polski chłop, widząc jak trudne warunki przeżywa nasz kraj, potrafi nie tylko odmówić sobie mięsa i tłuszczu, a hodować przychówek, potrafi nie tylko odmówić sobie i dzieciom chleba, a więcej ziarna wysypać do ziemi, ale potrafi również wprząść się z rodziną do pluga i w ten sposób założyć podwaliny do dobrobytu swojego i ogólnego. To są fakty, które mówią same za siebie”.

„Są poważne dane — kończy ob. Wicewojewoda — przemawiające za tym, że Polacy, którzy przybyli na Dolny Śląsk już napewno w niedługim czasie potrafią tak zagospodarować te ziemie, że nie jeden wróg polskości i nie jeden wróg demokracji będzie zmuszony oczywistymi faktami do milczenia”.



Redakcja „Polski Zachodniej” dzieląc się opłatkami wigilijnymi z wielotysięczną rodziną swych Czytelników i Przyjaciół składa na tym miejscu życzenia, aby najpiękniejsze nasze święto rodzinne wniosło do serc wszystkich Polaków pokój i świadomość wielkiego szczęścia, jakie stało się udziałem naszego pokolenia, że danem nam jest budować Nową Polskę w trwałym i wiecznym oparciu o Odrę, Nisę, Łużycką i Bałtyk.

To, o czym marzyły pokolenia, o co walczyli najlepsi synowie naszej Ojczyzny, składając w krwawej ofierze swoje życie, to, co było także programem Polskiego Związku Zachodniego — ziszcilo się po trudach i mękach milionowych rzesz zawsze wiernego ludu polskiego.

Strzec będziemy naszych Ziemi Odzyskanych, aby już nigdy nie stały się łupem zachłannego i drażniącego zaborcy.

Osadnictwo i repolonizacja Dolnego Śląska

Na podstawie wywiadu z Nacze'nikiem Wydziału Osadniczego Urzędu Wojewódzkiego

Prawie równocześnie z ustaniem działań wojennych na Dolnym Śląsku rozpoczął się masowy napływ polskiej ludności. Władze polskie nie miały w r. 1945 przygotowanego planu osadniczego, bo plany opracowane w czasie okupacji i zebrane głównie w Warszawie uległy w czasie powstania w przeważnej mierze zniszczeniu. Z chwilą rozpoczęcia się ofensywy rosyjskiej w styczniu 1945 r. bieg wypadków następował tak szybko, że było za mało czasu dla rekonstrukcji zniszczonych planów, a należało natychmiast rozwiązywać nasuwające się konieczności. Okres dzikiego osadnictwa przyniósł w tych warunkach dużo korzyści i wielu osadników-pionierów objęło gospodarstwa porzucone przez Niemców, doprowadziło je do porządku i obecnie należą one do wzorowych. Obok tych przykładów przytoczyć można ujemne zjawiska, gdzie szabrowniczy element, szukający tylko doraźnej korzyści, więcej przyniósł szkody, często niepowetowanej, niż pożytku. W pierwszym etapie osadniczym, napływająca polska ludność kierowała się do południowej części Dolnego Śląska najmniej zniszczonej, a więc okolic Kłodzka, Wałbrzycha, Rychbachu i Jeleniej Góry.

Powstanie Ministerstwa Ziemi Odzyskanych wpłynęło także korzystnie na dalszy rozwój osadnictwa. Dzikie osadnictwo ustąpiło miejsca osadnictwu planowemu. Wstrzymano osiedlanie się indywidualnie, a osiedlano ludność polską grupami w miejsca z góry upatrzone. Z tą fazą wiąże się przybycie repatriantów z Bugu, a od połowy 1946 r. repatriantów z głębi Rosji. Początkowo mała zaradnia i nieprzygotowany do miejscowych warunków uprawy i gospodarki element repatriacyjny coraz lepiej sobie radził i jego aktywność wzrosła znacznie. Obecnie zanika już różnica między aktywnością przesiedleńców i repatriantów. W najtrudniejszym położeniu znajdują się repatrianci z głębi Rosji. Element ten otrzymał na miejscu gospodarstwa gorsze, wymagające remontów i wkładów. Toteż do dziś dnia ludzie ci borykają się z trudnościami. Państwo udziela pomocy finansowej i tak w październiku br. — otrzymali oni 200 000 zł zapomogi, a w listopadzie 600 tys. zł. Repatrianci stanowią ca 10 proc. ogółu osadników.

Poniższe dwa zestawienia obrazują rozwój osadnictwa i repolonizacji na Dolnym Śląsku:

Stan ludności na dzień 1 stycznia 46 r. wynosił	1904 071
w tym było polskiej ludności	611 894
niemieckiej ludności	1292 177
Polaków była zatem 32,1 proc. 1 listopada br. ogół ludności	1592 018
Polaków	1290 699
= 81,0 proc.	
Niemców	301 319

W r. 1939 było na Dolnym Śląsku 2700 tysięcy ludności, wśród których Polacy stanowili bardzo znikomą ilość. W styczniu 1946 r. pozostało 1292 177 Niemców, reszta została ewakuowana przez niemieckie władze, a mała tylko część opuściła Dolny Śląsk wkrótce po ukończeniu działań wojennych dobrowolnie. Zniszczenia wojenne, spowodowane w przeważającej części przez samych Niemców w osadach i miastach, wynoszą przeciętnie 20 proc. Są oczywiście miejscowości znacznie bardziej zniszczone, choćby np. Wro-

claw, gdzie ubyto 400 tys. ludzi, a w budynkach przeciętnie 60—70 proc. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że obecne dane statystyczne wobec ciągłej jeszcze fluktuacji w stosunkach ludnościowych mogą różnić się od rzeczywistego stanu o 10—15 proc., możemy przyjąć, że 1500 000 Polaków osiedliło się na Dolnym Śląsku. Brak zatem pół miliona ludzi do stanu z r. 1939, po uwzględnieniu zniszczeń, uzupełni się dość łatwo z wiosną 1947 r. wobec znacznie lepszych warunków transportowych i komunikacyjnych — przypuszczalnie w ciągu 3—4 miesięcy. Po uporządkowaniu w obecnej chwili akcji osiedleńczej przewiduje się otwarcie z wiosną osadnictwa indywidualnego obok akcji repatriacyjnej.

Stan ludnościowy na Dolnym Śląsku na dzień 15 listopada 1946 roku przedstawia się następująco:

Na ogółem 1577 857 ludności wypada 1303 736 Polaków i 274 121 Niemców. Z tej ilości wypada na wieś — 685 114 Polaków i 147 693 Niemców, a na miasto — 618 622 Polaków i 126 428 Niemców.

Z tych cyfr widać, że w czasie wojny ucierpiał znacznie przede wszystkim miasto, których chłonność ludnościowa wydatnie spadła. W akcji osiedleńczej na wsi obsadzono według stanu z 1 listopada 1946 r. ogółem 105 925 gospodarstw, w tym do 2 ha — 22 178, od 2—10 ha — 57 166 i od 10—20 ha — 20 030. Pozostaje do obsadzenia ogółem 26 418 gospodarstw, w tym 10 295 zniszczonych w sto-

pnieniu ponad 25 proc. W działalności osadniczej zawiodły — jak dotąd — spółdzielnie parcelacyjno-osadnicze. Dotąd utworzono 50 spółdzielni tego rodzaju, a powinno być 300. Z wczesną wiosną 1947 w tej dziedzinie nastąpi wzmocnienie akcji. Od października br. rozpoczęła się akcja nadania ziemi polskim rolnikom na Dolnym Śląsku. Dnia 15. XI br. wpłynęło 17 tysięcy wniosków do Wydziału Osadniczego z prośbą o nadanie prawa własności. Załatwiono dotąd pozytywnie 4 tysiące wniosków. Znikomy procent odrzuca się z powodu braku warunków, jakimi są fachowość i osobisty wkład pracy.

Jeśli chodzi o osadnictwo miejskie, to znaczne ułatwienie w planowej akcji osadniczej wprowa-

dził dekret o gospodarce mieszkaniami, obowiązujący na całym Dolnym Śląsku. Umożliwia on zapewnienie mieszkań ludności pracującej, najbardziej tu potrzebnej.

Jeżeli zważymy, w jak trudnych warunkach osiągnęliśmy wspomniane powyżej rezultaty, gdzie brak taboru kolejowego, uszkodzenie linii kolejowych, brak ludzi wyrobionych w administracji, a nierzadko złośliwość i nieuczciwość ludzka stwarzały przeszkody zdawałoby się nie do pokonania, to możemy powiedzieć, że dokonaliśmy i dokonujemy nadal czynu bezprzykładnego w historii. Pokolenie nasze, pracujące przy obudowie kraju, zdaje trudny, ale zaszczytny egzamin.

Przebieg i rezultaty akcji usuwania Niemców z Opolszczyzny

Rok 1946 — obok innych ważnych wydarzeń — zapisał się w historii Śląska Opolskiego faktem niezmiernie doniosłości: masową repatriacją do Niemiec elementu niemieckiego. Akcja ta dobiega końca — w chwili, gdy piszemy te słowa, do wywiezienia pozostało już zaledwie kilkanaście tysięcy Niemców. Można więc i warto obejrzeć się wstecz i podsumować wyniki oraz przypomnieć bodaj w najogólniejszych zarysach przebieg tej operacji, będącej bezspornym aktem sprawiedliwości dziejowej.

Ogólne podstawy prawne i warunki akcji repatriacyjnej są znane, nie będziemy się więc tu nimi dłużej zatrzymywali. Chodzi nam bowiem specjalnie o teren Opolszczyzny. Teren szczególnie ważny i delikatny z uwagi na obecność tu setek tysięcy rodzimej ludności polskiej, która przez wieki zdołała obronić swą polską mowę i obyczaj. Przy naturalnym przemieszaniu ludności oddzielić ziarno od plew, Polaków od Niemców — nie było rzeczą łatwą. Nieraz człowiek o niemieckim nawet nazwisku okazuje się najczystszy, aktywnym Polakiem i odwrotnie: jednostka o nazwisku polskim zdradza się jako osobnik całkowicie zgermanizowany, tehuący nienawiścią do wszystkiego, co polskie. Nie brak też było typów niejako pośrednich, na których jad germanizacji pozostawił już swe ślady, choć nie zatraciły się jeszcze odziedziczone po przodkach cechy polskie, obyczaje, mowa. Kogo więc wysiedlić, a kogo pozostawić? Czy zatrzymywać tylko stu procentowych Polaków, usuwając do Niemiec wszystkich pozostałych? Czy też stanąć na stanowisku, że po sześciowiekowym z górą oderwaniu od macierzy, przy braku polskich szkół (boć i te, które mimo ucisku niemieckiego na Opolszczyźnie wegetowały, były w stanie zaspokoić tylko niewielką część potrzeb) istnienie polskiej grupy narodowej jest pewnego rodzaju fenomenem i że nie wolno nam stracić nawet tej części naszych braci, które uległa częściowo naciskowi germanizacyjnemu, lecz może być jeszcze dla narodu uratowana, z pewnością zaś uratowane być muszą ich dzieci?

Kwestia była niewątpliwie ciężka i skomplikowana. I trudno się nawet dziwić, że w pierwszym zwłaszcza okresie poczyniono tu szereg błędów i bolesnych pomyłek. Pomyłek nie zawsze jednak bezinteresownych. Nie jest już tajemnicą, że o tym, kto „jest” Polakiem, a kto Niemcem, decydował nierzadko stopień zamożności danego mieszkańca Opolszczyzny. I że wskutek takiego

podejścia do sprawy wysiedlono do Niemiec niejedną czysto-polską rodzinę, krzywdząc i zrażając do polskości nader wielu Opolan, którzy tak dzielnie stawiali czoła niemieckim zakusom i z taką tęsknotą oczekiwali chwili, kiedy znajdą się w Polsce. Działo się to przede wszystkim w roku ubiegłym, gdy na Śląsk przyszło wielu ludzi, nie orientujących się zupełnie w miejscowej skomplikowanej problematyce i skłonnych — czy to z chęci zysku, czy ze zwykłej ignorancji — do traktowania jako Niemców całej miejscowej ludności.

Sytuacja uległa zmianie z chwilą podjęcia na dużą skalę akcji weryfikacji rodzimego żywiołu polskiego. Naturalnie, akcja ta, obejmująca setki tysięcy ludzi, nie mogła się obyć bez mniejszych czy większych usterek. O ile w pierwszym okresie przeważała tendencja do zbyt może rygorystycznego podchodzenia do sprawy, skutkiem czego — z tych czy innych względów — wysiedlono również pewną ilość rodzin polskich, o tyle w drugiej fazie akcji w wielu wypadkach traktowano sprawę bardzo liberalnie, co spowodowało znów przemknięcie się przez oka sieci weryfikacyjnej pewnego procentu Niemców, weryfikujących się w imię ocalenia zarobku czy przedsiębiorstwa — jeśli już nie z bardziej szczególnych pobudek. Znawcy problemu stwierdzają, że najszybciej zweryfikował się element oportunistyczny, natomiast wartościowy trzon polski — znacznie trudniej. Wielu aktywnych, ofiarnych działaczy polskich uważało wręcz za ujmę weryfikowanie się.

— Jakto, ja mam się weryfikować? — mówiono. Przecież ja mam „paszport” polskości, wypisany przez Niemców na plecach! Wymordowali mi całą rodzinę za to, że w plebiscycie głosowałem i agitowałem za Polską! I jeszcze mam „potwierdzać” swoją polskości? Na równi z tymi Szwabami, którzy nie tak dawno odnosili się do mnie z pogardą, a dziś nierzadko usiłują się zweryfikować dla interesu?..

Trzeba było niemało perswazji, by wytłumaczyć, że weryfikacja nie jest podawaniem w wątpliwość uczuć polskich i zasług weryfikowanych, lecz w perspektywie ogólnej jest jednak koniecznością dla wyjaśnienia sytuacji i stworzenia podstaw do usunięcia z Opolszczyzny elementu niemieckiego. Co nie zmienia zresztą faktu, że lepiej byłoby, gdyby zastosowano w szerszym zakresie automatyczne nadawanie obywatelstwa zasłużonym członkom byłego Związku Polaków w

Niemczech w dowód uznania ich bojowej postawy narodowej w czasie zaboru.

W miarę postępów weryfikacji można było dopiero przystąpić do systematycznie opracowanej akcji wysiedlania żywiołu niemieckiego. Rozpoczęto ją od zachodnich, najbardziej zniemczonych powiatów. Pierwszy punkt zbiorczy dla repatriowanych z terenu Opolszczyzny Niemców zorganizowano w Grodkowie. W dn. 15 maja 1946 roku odjechał do angielskiej strefy okupacyjnej Niemiec pierwszy transport Niemców z Opolszczyzny. Dalej akcja ta rozwinęła się szybko i sprawnie, przyjmując coraz szerszy zasięg. Do 25 maja wysłano z Grodkowa 6 transportów Niemców, po czym przeniesiono punkt zbiorczy do Odmuchowa (również w powiecie grodkowskim), skąd do 29 maja odjechało dalsze 4 transporty. W sumie więc w 10 transportach wyjechało 15 906 Niemców, głównie z terenu powiatu grodkowskiego.

Następnie przyszła kolej na drugi, poważnie zniemczony powiat Śląska Opolskiego: Nisę. W dniach 30—31 maja wyprawiono 2 transporty z Paczkowa, a od 1—25 czerwca 25 transportów z samej Nisy. Łącznie 27 transportów — 44 503 Niemców.

Od 26 czerwca punkt zbiorczy znalazł się w Głabczycach, skąd odjeżdżali już Niemcy nie tylko z terenu powiatu głabczyckiego, ale i z innych. Od 26 czerwca do 7 listopada opuściło Głabczyce w kierunku granicy 51 pociągów repatriacyjnych z 91 234 Niemcami. Razem więc przez wszystkie punkty zbiorcze wyjechało ze Śląska Opolskiego, a częściowo i z przedwojennego Śląska Górnego (przez pomocniczy punkt zbiorczy w Bielsku, skąd wysłano Niemców do Głabczyce) 151 643 Niemców, z czego 20 413 mężczyzn, 75 591 kobiet i 55 639 dzieci. Stosunkowo niewielką ilość mężczyzn wśród repatriowanych Niemców tłumaczy się nie jakąś specjalną polityką przeprowadzających repatriację władz, lecz po prostu faktem, że wszyscy zdolni do noszenia broni i do pracy mężczyźni byli zmobilizowani przez władze hitlerowskie, w ostatnim jeszcze etapie wojny brano każdego nie-kalekę do „Volkssturmu”, a wielu uciekało na własną rękę w obliczu zbliżającego się frontu, bądź już po jego przejściu z obawy przed odpowiedzialnością za swe poprzednie postępowanie.

Trudno ustalić dokładną liczbę Niemców, którzy opuścili Opolszczyznę. Do wysiedlenia zakwalifikowano około 180 000 Niemców. Jeśli do 150 000 wysiedlonych do-

damy kilkanaście do dwudziestu tysięcy, jakie pozostało do repatriowania — otrzymamy mniej więcej zbliżoną liczbę. Ale pamiętać trzeba, że wielu Niemców uciekło, bądź indywidualnie wyjechało poza transportami repatriacyjnymi, trochę też wysiedlono „dziko” w roku ubiegłym, w pierwszym „zapale” po przejściu frontu. Zbyteczne byłoby przypominać, że humanitarnie prowadzona przez czynniki polskie repatriacja diametralnie różni się od brutalnego, a często bestialskiego wysiedlania ludności polskiej przez Niemców — są to fakty dostatecznie dobrze znane. — Choć mielibyśmy prawo do „odwetu” — pojęcie tak bliskie niemieckiej psychice! — nie korzystamy z niego, bo nasze uczucia ludzkie i nasza kultura na to nie pozwala. Zadawałamy się samym faktem oczyszczenia naszych ziem z niemieckiego chwastu, nie zniżając się do barbarzyństwa.

Musimy się naturalnie liczyć z faktem, że wśród przeszło 800 tysięcy zweryfikowanych zdołała się przemycić pewna ilość Niemców, którzy będą usiłowali się zamęt, wpływać destrukcyjnie na niecałkiem jeszcze dojrzały narodowy element, względnie nawet dopuszczać się aktów dywersji i sabotażu. Jest rzeczą organów porządkowych eliminowanie i unieszkodliwianie takich elementów, które nie mogą już jednak poważniegrozić polskości Śląska.

Usunięcie ok. 200 tysięcy najbardziej bojowego żywiołu niemieckiego i zastąpienie go przez polskich osadników — czy to zza Bugu czy z Polski centralnej — jest faktem przełomowym, którego znaczenia nie podobna dostatecznie silnie podkreślić. Prawda, że między Polakami miejscowymi i napływowymi stosunki nie układają się jeszcze sielankowo, wiele było nieporozumień, zgrzytów i wzajemnych żalów. Ale to musi się zmienić i już się zmienia na lepsze. Szkoła i kościół dokonają tu reszty, a z młodzieży obu odłamów Polaków wyróśnie już nowe, zwarte polskie pokolenie, zapominające o urazach ojców, a odczuwające silnie łączące pierwiastki psychiki i kultury polskiej. W tym pokoleniu dopełnić się musi proces odrodzenia narodowego i oczyszczenia z niemieckich naleciałości ogółu miejscowej ludności polskiej na Opolszczyźnie. I to pokolenie będzie najlepszym gwarantem stu procentowej polskości prastarej, piastowskiej Ziemi Opolskiej, z której po tylu wiekach odejść musieli z niezłym niemieccym na-jeżdźcy.

Ant. Cz.

Dr WANDA BRZESKA

Słowiański „Konik” na Zachodnim Wybrzeżu

Zdarzyło mi się w jakiś dzień słoty, w jednej z miejscowości nadbrzeżnych na zachodzie, gdy Bałtyk, jak zawsze tutaj pienił się groźnie, a mgły rozwiły się po łąkach i torfowiskach zasłaniając siwą gęstwą lasy na horyzoncie, że siegnęłam po książkę. Niestety! Mało jest polskich książek na Zachodzie. Ludzie tęsknią tutaj więcej niż gdzie indziej za drukowanym słowem — gazety obczytuje się z anonsami włącznie, szczególnie w chwilach zastoju niedzielnego, gdy gorączkowo pulsująca maszyna pracy codziennej, na krótko ustaje.

W znajdującej się w kącie szafki ponemieckiej znalazłam trochę porzuconej lektury — prze-ważnie śmieci propagandowe, które tę jedynie przynoszą jeszcze korzyść, że się je kolejno zużywa na podpałkę do kuchni. Szukając dalej natrafiłam jednakże na rzecz, która mnie zaciękała. Było to jedno z niemieckich wydawnictw muzealnych, mianowicie Kaysera zbiór wykresów językowo etnograficznych obejmujących Zachodnie Pomorze.

Na podstawie szczegółowo rozplanowanego kwestionariusza przeprowadzono ankietę terenową w północnych i południowych powiatach prowincji pomorskiej, a dane te posłużyły do zarysowania mapy, ilustrującej poszczególne zagadnienia.

Precyzyjna robota niemiecka przyniosła w rezultacie nieoczekiwane wyniki. Otóż w przeciwieństwie do tendencji samego wydawnictwa, niezależnie od stronniczych komentarzy tej i wielu innych książek reprezentujących tezę, że Pomorze Zachodnie z dawna już i kompletnie jest zgermanizowane, że nie ma w terenie śladów kultury słowiańskiej — okazało się, po dokładnym przestudiowaniu map, że zachowały się tu, mimo wszystko zabytki językowo-etnograficzne i o wyraźnym charakterze słowiańskim, budzące analogie z podobnymi przejawami na obszarze całej Polski.

Zachęcona tą zdobyczą, szukałam dalej jeszcze po różnych zakamarkach mieszkania i natrafi-

łam na szczytki ilustrowanych katalogów muzealnych. I tu znów oglądane zdjęcia fotograficzne eksponatów ucieszyły mnie tak samo jak wykresy Kaysera.

Jaki stąd wniosek? Że wszędzie i wszelkie wydawnictwa noszące tytuł w rodzaju „Deutsche Volkskunde” zasługują na dokładne przestudiowanie, podobnie jak i „Ahnekunde”. Spotykamy się tu bowiem z paradoksem znanym, że Niemcy doszukując się pierwowin własnego pochodze-

nia, śledząc najstarsze zaczątki własnej kultury, natrafili musieli zawsze na trop słowiański, że słowiańskość ta tworzy niezni-szczalne podglebie wszędzie tam, gdzie niemiecka przestrzeń życiowa rozpościera się na rumowisku dawnego obszaru słowiańskiego.

W wspomnianym tu wyżej wydawnictwie Kaysera znalazły się m. innymi wykresy dotyczące ludowych obrzędów bożonarodzeniowych i noworocznych na Pomorzu. Okazało się, że przetrwał

u ludu jeden z najstarszych słowiańskich i polskich terminów na określenie wypieków świątecznych, mianowicie i przetwór sam i jego nazwa „kolacz” zachował się nawet na oddalonej od słowiańskiego pnia macierzystego Rugii, gdzie słowo to lud miejscowy wymawia „kolacz”.

Jest jasne, że rodzime kolacze, sporządzone z plonów rodzimej gleby, to serdeczna pamiątka z tych czasów, gdy obcy przybysz nie zdołał jeszcze odebrać chleba

prawowitym posiadaczom tej ziemi. Dziś smak tego chleba zatri-ciał na zawsze gorzyc wielowiekowego upośledzenia.

Nie zawsze zresztą język nasz stanowi dowód zupełnej niwelacji kulturowej pewnej grupy ludowej, szczególnie wówczas gdy zachowały się sporadycznie dawne zwroty gwarowe, czy zniekształcone wymową stare terminy, gdy w terenie znajdzie się obfitość nazw miejscowych o brzmieniu rodzinnym.

Taką wyspę słowiańską przedstawia Ziemia Pyrzycka. Nazwę swoją wzięła od słowiańskiego wyrazu „pyro” oznaczającego pszenicę, co Niemcy przetłumaczyli na „Weizacker”. Otóż wy-starczyło przejrzeć stary katalog muzealny ze Szczecina, aby znaleźć w nim reprodukcje eksponatów pyrzyckich, co do których już na pierwszy rzut oka można by sądzić, że pochodzą po prostu z Polski. Co więcej: niemieckie opisy kultury ludowej Ziemi Pyrzyckiej, zawarte w różnych „Deutsche Volkskunde” przynoszą ze sobą dalsze niezmiernie ciekawe rewelacje. Więc np. przed laty kilkudziesięciu a być może, że nawet tuż przed wojną, istniały jeszcze w żywej formie niektóre fragmenty obrzędowe, analogiczne do tych, które doskonale są nam znane z obrębu całej Słowiańszczyzny, a w szczególności z obszaru Polski etnicznej. Mam tu przede wszystkim na myśli pojawiające się cyklicznie w ciągu roku obrzędowe maskary zwierzęce, jak turoń, kozioł, konik-siwak, przebiegające w pochodach gwarliwych i pohukliwych wioski pyrzyckie. Owi chłopięcy jeźdźcy na sztucznie z miodły i przesieradła skonstruowanych koniach wpadali także w czasie uroczystości weselnych do domu panny młodej, rozgrywając na progu szczętkową scenę dawnego może widowiska. Charakterystyczny też fragment z towarzyszącym mu uderzaniem szabłą drewnianą w belkę poziomą sufitu, zwraca m. innymi uwagę na tak ważne znaczenie magiczne dla Słowian rozrębu izby i uświęconego tradycją ludową progu domowego. Podobnym przejawem słowiańskiej obrzędowości są świeczniki drewniane umieszczone zwyczajowo na stole weselnym przed młodą parą, gdy świec gasić nie wolno na dobry omen płonącego szczęśliwego znicza domowego. Również i w czasie dokonywania prac rolnych na Pyrzykach spotykamy się ze znanym nam dobrze obrzędem żniwnym strojenia kukły słomianej z ostatnich kłosów, z towarzyszącą temu obrzędowi magią wody.

Przetrwanie u potomków dawnych słowiańskich Pyrzyčan całego szeregu zjawisk o wyraźnym charakterze etnicznie niemieckim jest tym bardziej znamienne, że mamy tu do czynienia z ludnością wyznania protestanckiego. Niwelacje kulturowe postępują bowiem szybciej zawsze tam, gdzie liturgia katolicka nie stanowi już więzi utrzymującej dawną ludową tradycję kulturową.

Reasumując więc przytoczone tutaj spostrzeżenia dochodzimy do wniosku, że Pomorze Zachodnie mniej jest wyjąłkowane z zabytków o charakterze rodzimym, niż się to naogół sądzi — chodzi tylko o to, aby je rozpoznać.

Wszędzie, gdzie przetrwała ludność autochtoniczna, gdzie zaznacza się możliwości jej polonizacji drogą poprzez realizację terenową, trzeba podejmować to zadanie na podstawie znajomości zabytków kulturowych słowiańskich, które w istotnym swym ujęciu są i zaktualizować się mogą jako przejawy najstarszej polskiej kultury ludowej.

PROBLEM REEMIGRACJI GÓRNIKÓW POLSKICH Z FRANCJI

Problem reemigracji górników polskich z Francji wiąże się ściśle z potrzebami przemysłu węglowego. Rozwój przemysłu węglowego, który mierzymy ilością wydobytego węgla, wiąże się ściśle ze stanem zatrudnienia. Pozostawiając w tej chwili na boku wyposażenie techniczne kopalń, wydobycie wtedy będzie wzrastało należycie im będziemy mieli więcej wykwalifikowanych górników. W stosunku do okresu przedwojennego potencjał ilościowy kopalń węgla znacznie się zwiększył, a więc musimy odpowiednio powiększyć potencjał robotniczy w kopalniach. Okres okupacji niemieckiej nietylko spowodował poważny uszczerbek w wyposażeniu technicznym kopalń, ale zdziścił także nasze szeregi górnicze. Na Ziemiach Odzyskanych, w dążeniu do spolszczenia tych ziem, a tym samym spolszczenia przemysłu węglowego, który daje na tych ziemiach 23,6 pro-

cent ogólnopolskiej produkcji węgla, nie zastaliśmy prawie zupełnie elementu polskiego. Należało go za wszelką cenę sprowadzić z innych ziem polskich i przemysł węglowy zasilić fachowcami polskimi.

Na tle sytuacji, którą pokrótce naświetliliśmy wyżej, kierownicy przemysłu węglowego sięgnęli po uaszých rodaków poza granicami kraju, a więc w pierwszym rzędzie z Francji, gdzie oddawna przebywały masy wykwalifikowanych górników polskich.

Myśl sprowadzenia górników z zagranicy nie ograniczyła się tylko do zasilenia przemysłu węglowego i uczynienia z nich produktywnej siły roboczej. Chodziło również o wielką akcję spolszczenia terenów odzyskanych, a które bardziej nadawałby się do tego, jak nie górnik polski z Francji, Belgii czy innych ośrodków, pragnący wrócić do Ojczyzny i przechowujący tak skrzętnie tradycje

ojców swoich i nigdy nie podlegający wpływom obcym?

Wstępną akcję wywiadowczą przeprowadzono w październiku 1945 r. we Francji. Przedstawiciele górników polskich odnieśli się do problemu reemigracji nie tylko pozytywnie, ale w wielu wypadkach entuzjastycznie. Uznali oni, że kiedy Polska jest w potrzebie, kiedy trzeba ją odbudować z ruin i zgliszcz, nie mogą pracować dla obcych. Po przeprowadzeniu szeregu prac technicznych, związanych z podróżą polskich górników z Francji, pierwszy transport w liczbie 155 górników — z rodzinami 566 osób przybył do kraju dnia 21 maja 1946 r.

Wróciło blisko 5 000 górników oraz przeszło 18 000 osób. Wszystkie kopalnie, które zostały zasilone przez naszych rodaków z Francji, zgotowały im niezwykle uroczyste przyjęcie. Przybyli górnicy otrzymali przygotowane mieszkania, niejednokrotnie całe wille (Wałbrzych).

W roku 1947 plan reemigracyjny przewiduje sprowadzenie z Francji 10 000 górników z rodzinami, co da Polsce około 50 000 obywateli i obywaterek.

Dażeniem kierownictwa przemysłu węglowego jest usunięcie całkowite Niemców i zastąpienie ich Polakami. Intensywne szkolenie młodego narybku górniczego i dalsza reemigracja górników polskich z Francji, Belgii i Westfalii, da w konsekwencji cześć wykwalifikowanych sił górniczych.

Chcąc jednak aby 3-letni plan został wykonany, aby Polska mogła należycie nie tylko postawić przemysł węglowy na odpowiedniej stopie, ale aby przemysł węglowy mógł w pełni spełnić swą wielką rolę w ogólnopolskiej gospodarce państwowej, należy uświadomić społeczeństwo polskie, że w zależności od zasilenia nowych kadr górniczych uzależniona jest realizacja 3-letniego planu w przemyśle węglowym. I tu społeczeństwo polskie ma piękne pole do popisu. Drogą uświadczenia można zasilić szeregi górnicze młodzieżą polską. Wysiłki przemysłu węglowego są istotne. W Dolnośląskim Zjednoczeniu P. W. nie zastaliśmy w roku 1945 ani jednego Polaka — dziś mamy przeszło 50 proc. polskiej załogi. Przemysł węglowy robi wszystko co do niego należy, sądząc, że społeczeństwo polskie należycie to oceni i ze swej strony pomoże tym wysiłkom.

Rok 1947 — to okres dalszych wysiłków kierownictwa przemysłu węglowego, idących w kierunku zasilenia górnictwa Polakami, których jeszcze tysiące tuła się zagranicą. Zniszczona Polska potrzebuje swych synów więcej niż kiedykolwiek — zrozumieli to nasi górnicy, którzy masowo deklarują powrót do kraju.

Polska ocenia ich patriotyczne stanowisko i wita serdecznie wszystkich powracających swych synów.

Danina Narodowa na Ziemiach Odzyskanych

W związku z dekretem z dnia 13 listopada r. o Daninie Narodowej na zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, Ministerstwo Z. O. zarządziło, aby zarządy miejskie i gminne sporządziły wykazy podlegających Daninie Narodowej podatników podatku gruntowego i podatku od nieruchomości.

W osobnych wykazach zarządy miejskie i gminne wpiszą wszystkie osoby, czerpiące zyski z nieokreślonych źródeł dochodu (nielegalny handel, potajemne gorzelnictwo, szaber itp.).

Na podstawie tych wykazów komisje obywatelskie Daniny Narodowej dokonają wymiaru Daniny, poczym zarządy miejskie i gminne sporządzą i doręczą zawiadomienie o wymiarze Daniny.

Po dniu 15 stycznia 1947 r., jako ostatecznym terminie płatności Daniny, należność z tytułu Daniny staje się zaległością i podlega egzekucji administracyjnej.

Ze względu na szczególną wagę państwowej dekretu o Daninie Narodowej, Ministerstwo zleciło wojewodom i starostom osobisty nadzór nad całokształtem akcji Daniny Narodowej w ramach zadań, nałożonych na władze administracji ogólnej i organa samorządu terytorialnego. Zadaniem tych władz i organów jest również uświadczenie całego społeczeństwa o doniosłym znaczeniu Daniny.

Równocześnie Ministerstwo Z. O. zarządziło dokonanie potrącenia Daniny w przepisanej wysokości z wynagrodzeń za miesiące grudzień r. b. oraz styczeń i luty 1947 r., pobieranych przez pracowników wszystkich urzędów, instytucji oraz przedsiębiorstw państwowych i samorządowych.

Przemysł Węglowy potrzebuje zatem na przestrzeni 3 najbliższych lat około 120 000 ludzi. W mobilizowaniu tych sił roboczych musi pomóc Przemysłowi Węglowemu całe społeczeństwo.

Wyniki pracy górnika polskiego w roku 1946

Produkcja węgla kamiennego

Rok 1945:

W okresie od 1. 4. 45 r. do 31. 12. 45 r. wydobyto łącznie 20.168.642 ton. Wydobycie to nastąpiło w ciągu 275 dni roboczych.

Rok 1946:

Plan państwowy na rok 1946 nakazuje wydobycie 13.009.000 ton.

Do dnia 1. 11 1946 wydobyto kolejno:

w styczniu	3.600.391 ton
lutym	3.284.778 "
marcu	3.770.536 "
kwietniu	3.742.091 "
maju	3.709.402 "
czerwcem	3.530.408 "
lipcu	4.082.267 "
sierpniu	4.196.608 "
wrześniu	4.154.875 "
październiku	4.554.700 "

Razem 38.626.056 ton

Do pełnego zrealizowania planu państwowego trzeba, by wydobycie za miesiąc listopad i grudzień wynosiło

7.373.946 ton.

Wykonanie tego nie napotka na większe trudności.

Realizacja planu państwowego w przemyśle węglowym stała się możliwa dzięki wysoce obywatelskiej postawie górnika.

Dowodem słusznosci tej tezy są cyfry ilustrujące stały wzrost przeciętnej dziennej wydajności

przypadającej na jednego robotnika.

Wydajność ta z końcem ubiegłego roku wynosiła (grudzień 1945)

0 897 ton.

W ciągu roku notowaliśmy stały wzrost tej pozycji, co świadczy o ofiarnej pracy naszego górnika.

Wzrosła w roku 1946-tym

rodzina górnicza

Na progu tego roku Przemysł Węglowy zatrudniał (stan na 31. 1. 46) łącznie osób 216 589, w tym pracowników fizycznych 197 061. W sierpniu już 242 668, w tym pracowników fizycznych 218 393.

Widzimy stały postęp w zwiększaniu się załogi.

Postęp ten jednak nie jest wystarczający. Aby 3-letni plan państwowy w Przemysle Węglowym mógł być zrealizowany trzeba, by stan załóg wzrósł

o 28 000 osób w roku 1947
o dalsze 8 000 " " 1948
i o dalsze 11 000 " " 1949

Prócz tego dla usprawnienia produkcji, dla zwiększenia wydajności trzeba wymienić około 80 000 osób (jeńców niemieckich, kobiet, inwalidów itp.).

Członek

Polskiego Związku Zachodniego
to Polak, który rozumie
znaczenie Ziemi Odzyskanych

Sprawy słowiańskie

Minimum wiedzy o Łużycach

Już z góry sto lat uprawia się w świecie słowiańskim propagandę łużycką. Zainicjowali ją na większą skalę studenci łużyccy, późniejsi przywódcy narodu łużyckiego Handrij Zejler, Jan Ernest Smoler i ks. Michał Hörnik. Nie chodziło im li tylko o szerzenie wiadomości o życiu na Łużycach, o języku, literaturze i kulturze, sta-

Druża wojna światowa dowodziła do tego, że pod szubienicami i pistoletami niemieckich eksterminatorów znaleźli się w jednym i tym samym obozie koncentracyjnym, nawet w tym samym baraku Polacy i Łużycanie. W wspólnej niedoli związek serc jeszcze bardziej się zacieśnił, — i rokował nadzieje, że po uzyskaniu nowej wolności przyniesie obfite plony. Tak kalkulowały serca i uczucia. Ale jakby na złość: wydaje się, jakoby możliwości owocnej współpracy były mniejsze niż przed wojną. Dlaczego tak jest, nie wchodzimy na razie w to. Faktem jest, że mogłoby być o wiele lepiej. Trzeba się pogodzić z tym, co jest i wyciągać z tego jak największą korzyść.

Zrobiono dużo w tych 19 miesiącach powojennych. Na oko o wiele więcej niż przed wojną. Propaganda łużycka dzwignęła się na niezdołane przed wojną wyżyny —

tylko że rezultaty tej działalności nie dotrą do Łużyc samych, mogą tylko być wykorzystane w Polsce i przez tych nielicznych Łużyczan, którzy mają możliwość przebywać w Polsce. Akcja „Prołuż” Akademickiego Związku Przyjaciół Łużyc, jest nader potrzebna, bo niesie myśl łużycką w warstwy tych, którzy kiedyś staną na czele społeczeństwa polskiego. Prasa codzienna i periodyki przynoszą wiadomości, kilka razy i radio odezwało się; odczyty i wykłady, wieczorki, schadzowanki odzwierciedlają historię, kulturę, życie teraźniejsze na Łużycach. W Polskim Związku Zachodnim powstał już przed rokiem referat łużycki, celem skierowania działalności łużyckiej na tory, rokujące najlepsze doświadczenia Rady Naukowej Łużycoznawczą, mającą dać podwaliny naukowe wszelkiej pracy na rzecz Łużyc. Ruszyła z kopyta sprawa jeńców

wojennych łużyckich, którzy za winy niepopelnione znajdują się w obozach polskich. Więc co można, to się robi — ale nie w takim stopniu jakby to było pożądane. Mam m. i. mianowicie na myśli to: ponieważ ze względów nie zawisłych ani od Polski ani od Łużyc, lecz światowopolitycznych na razie nie wskazane jest wysuwać zbyt daleko idących postulatów (przygotować i rozpatrywać takowe i rozpatrywać takowe to sprawa inna i nie można nikomu zabronić snucia takich czy innych wniosków, lecz taktyka postępowania winna iść po ścieżkach, które doprowadzić mogą do celu, a tym na być: pomagać Łużycom), chciałbym, aby wiedza o Łużycach tak się rozpowszechniła w Polsce, aby się nie napotkało na ani jednego Polaka, który by nie znał dokładnie położenia geograficznego Łużyc. To jest minimum! Na tym można dalej bu-

dować. Jest jeszcze dużo inteligentów, którzy absolutnie nie wiedzą, czy umieścić Łużyczan gdzieś nad Grecją, czy Włochami, czy wprost w Czechosłowacji. A pożądanym byłoby aby nie tylko sfery inteligencji, lecz również — a o to mi specjalnie chodzi — klasa robotnicza i urzędnicza, mieszczańska i wieśniacy wiedzieli, gdzie są Łużycy!

Ucieszyło mnie bardzo, gdy przy zameldowaniu odpowiedział mi przyjmujący wypełniony formularz urzędnik: „Aha, Łużycy, to sprzymierzeńcy!” To było w Poznaniu, czy tak samo stałoby się np. w Lublinie, nie mówiąc już o miasteczkach, śmiem wątpić. — Podczas wojny zapoznałem się z pewnym robotnikiem Słowianinem z Jugosławii, i ten dokładnie wiedział, gdzie i co to są Łużycanie. W tym kierunku powinna iść główna praca, aby nigdy i nigdzie już nie odważono się powiedzieć, że Łużycanie — to Niemcy. To jest obraza wielka! A jak wyświecił się horyzont polityczny, wtedy i inne otwierać będzie można podwoje — podwoje, którymi wejda Łużycy w wolność słoneczną.

Antoni Nawka

Propaganda po czesku

Łużyczanka w stroju odświętnym. Jest to podobizna córki prezesa Komitetu Słowiańskiego na Łużycach dyr. Michała Nawki, Ludmiły.

rali się o poparcie o wiele liczniejszych od siebie braci Słowian. Była to już poniekąd akcja polityczna, która miała przynieść konkretną pomoc. Nie pozostało to wołanie głosem wołającego na pustyni, bo — pomijam tu zareagowanie ze strony czeskiej — znaleźli się w Polsce ludzie, którzy w mig zorientowali się, o co właściwie chodzi, i przeszli ze wzruszenia, czy naukowego zainteresowania do akcji pomocniczej. Poza J. I. Kraszewskim, który hojną ręką dał dowody swego zrozumienia, fundując stypendium dla studentów łużyckich, był to przede wszystkim późniejszy rektor uniwersytetu wileńskiego prof. Alfons Parczewski ze swoją siostrą Melanią, od których nie tylko słowa i rady dobre usłyszeli Łużycanie, lecz też pomoc doraźną otrzymali. Propaganda łużycka miała już podłoże materialne, na którym mogła się rozwijać, podmurowana pracą naukową prof. A. Ernesta Muki (jedyne łużyckie dziecko — członka Polskiej Akademii Umiejętności) i polskich uczonych (prof. H. Ułaszyn, i inn.) Współdziałanie rozwijało się z czasem b. pomysłnie.

Pierwsza wojna światowa rozbiła budujący się gmach przyjaźni polsko-łużyckiej, na gruzach jego jednak zaczęto stawiać nowe mury. Zaczynają się odwiedziny Łużyczan w Polsce Niepodległej, ze wspomnę tylko Złot Sokołów w Poznaniu. Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu, Uniwersytet Ludowy w Dalkach pod Gnieznem, koncerty mistrza Bjarnata Krawca, i studium akademików łużyckich na Uniwersytetach polskich. Równocześnie nawiązano w Rzeszy ścisłe kontakty obu mniejszości narodowych, polskiej i łużyckiej. Współpraca Związku Polaków w Niemczech i „Domowiny”, związku Łużyczan, miała piękne sukcesy, zwłaszcza pod względem propagandy o Łużycach, w wspólnej walce o narodowość z niemieckimi władzami i w wychowaniu młodzieży łużyckiej, kształcącej się w Niemczech. Gimnazjum polskie w Bytomiu np. ugruntowało w sercach młodzieńców taką świadomość słowiańską, że dziś łużycanie wychowankowie tej szkoły (spośród 11 uczniów niestety żyje tylko jeszcze 3!) są nawszkroś Słowianami, — a byli tylko dwa lata w Bytomiu, potem władze niemieckie zabroniły im dalszego uczęszczania do tego gimnazjum. 10 lat w niemieckim morzu nie zdołały zgnieść ich uczuć polskich.

Rzecz to znana nie od dziś, że Czesi umieją robić propagandę. Przelatywając jeszcze na zachodzie, miałem nieraz sposobność ponownie się o tym przekonać. Wystarczy przypomnieć szerokie rozreklamowanie — że użyję tego niestosownego w tym wypadku wyrażenia — sprawy Lidic O Lidicach wie cały świat, dla Lidic zbierano pieniądze na obu półkulach. Bestialskie zrównanie z ziemią całej wioski górniczej 10 czerwca 1942 r. i wymordowanie wszystkich męskich mieszkańców (kobiety odesłano do obozów koncentracyjnych) było bezsprzecznie rzeczą straszliwą ale cóż to znaczy w porównaniu z tymi dziełkami wsi polskich, które zostały „zlikwidowane” w podobny sposób a o których za granicą nie słyszała i nie usłyszy nigdy.

Albo weźmy nadzwyczajną zrenca propagandę literatury czeskiej w Anglii podczas wojny i obecnie kiedy to wychodzi jedna antologia poezji w przekładzie za drugą i kiedy niektóre kriażki autorów czeskich zakwalifikowane do druku na jesień bieżącego roku są już sprzedane u zagranicznych wydawców. Nad wspaniałą wprost propagandą polityczną i gospodarczą Czechosłowacji na arenie międzynarodowej w ogóle szkoda dyskutować. Nie ma w całej Europie wschodniej i środkowej drugiego kraju, który by miał tak dobrą prasę na zachodzie, jak Czechosłowacja.

Dlatego też, gdy będąc w Warszawie, zobaczyłem wszędzie afisze o urządzanej w Muzeum Narodowym wystawie: „Czechosłowacja 1939 do 1945” postanowiłem udać się na nią koniecznie, spodziewając się lekcji poglądowej dobrej propagandy. I nie zawiodłem się ani trochę.

Nadzwyczaj przejrzyste ułożona wystawa składa się z samych dużych fotografii posiadających niejednokrotnie znaczne walory artystyczne i z gablotek z książkami, broszurami i gazetami odnoszącymi się do rzeczy i wypadków uchwyconych na zdjęciach i ujętych krótko w napisach i objaśnieniach.

W małym foyer pod fotografią Benesza i na jednej wysokości z umieszczoną nad gablotką z książkami programowymi rządu, fotografia Klementa Gottvalda, prezesa Rady Ministrów Republiki Czechosłowackiej — olbrzymie zdjęcia zabytków, fabryk, pracy górników itp., a dalej w kolejności chronologicznej obrazowano walkę Czechosłowacji z Niemcami i nazizmem, począwszy od 1935 roku kiedy to Goebbels korzystając z czeskiej tolerancji, przemawiał do Niemców w Pradze.

Widzimy niemiecką dywersję w Czechosłowacji opuszczanie przez Czechów pogranicza po Monachium Niemców wkraczających do Pragi 15 marca 1939 r. (wyciągnięte, grożące pięści) i oryginały afiszów z owych czasów, skierowanych dwujęzycznie do ludności Czech i Moraw.

Specjalnie ciekawe dla nas są zdjęcia z centrum ochotników czeskich w Krakowie, którymi dowodził ppłk Svoboda. Pod spodem w gablotkach leżą numery powielanego „Tydenní Přeled” z sierpnia 1939 r. Redakcja mieściła się w Krakowie ul. Potockiego 8. Oprócz tego jest tam — również powielany — rozkaz dzienny legionu czeskiego w Polsce.

Potem Francja, lotnicy i czeska brygada pancerna w Anglii, początki armii czeskiej w ZSRR. To już rok 1942. Praga, 10 000 koron za ujęcie zamachowców na Heydricha. No i Lidice przed zniszczeniem i po. Dużo broszur i książek na ten temat. Angielski wiersz Manwella Shane („Lidice lives on”) z nadzwyczaj sugestywną ilustracją. Wielojęzyczna publikacja z Buenos Aires, duża księga dokumentów dotyczących zniszczenia Lidic, wydana przez Min. Spraw Wewnętrznych w roku 1946.

Terror niemiecki w Czechach, Góry trupów, odrutowane wagony z więźniami, a obok niemieckie parady i Sieg Heile — W gablotkach ślicznie wydany grubym tom „Zaluzi” (Oskarżam) z dokumentami z praskiego Pałacu i świetnymi reprodukcjami (co za papier!) portretów skazanych na śmierć, narysowanych przez malarza Jaroslava Lebedę. Szczególnie przyciąga wzrok okładka książki Mirko Tuma „Ghetto našich dnu”

Olbrzymie fotografie egzekucji („Z uśmiechem na ustach mordowali” — spasiene śmiejące się psyki oprawców) za muślinową zasłoną, w kącie. Oświetlone dyskretnie od dołu leżące głową w dół trupy..

Przerosł się znów za granicę. Płk Svoboda na woroneżskim fron-

cie. Prasa: „Československy Listy” — Moskwa 1943. Luksusowo wydany zbiór audycji wygłoszonych z radia londyńskiego w latach 1940—1945 przez dr. Dřtina (pseudo Paweł Svatý) „Čechoslovák v Anglii”. Dużo zdjęć z przygotowań, ćwiczeń, bojów jednostek czeskich na froncie wschodnim. Publikacje o bitwie pod Sokołowem na Ukrainie (1944) Najmniejsza utarczka jest na wystawie propagandowo wykorzystana.

Rok 1944 — wyłuch powstania w Słowacji. Walki powstańcze i terror niemiecki. W plótno oprawny zbiór dokumentów. Znow wyśmienita okładka Korenki „Umenie mstit sa”. Start lotników czeskich do bombardowania Niemiec.

5. 5. 1945 — powstanie w Pradze które trwało 5 dni. Trochę nieco zrujnowanych domów i napisy: „Zniszczone Praga”, „Zniszczone Stare Miasto”. W tym miejscu publiczność reaguje ciepłymi uwagami i lekceważącym uśmiechem. 5 dni i trochę gruzu — mój Boże! Ale zdjęcia z aresztowania Niemców z akcji z rozbięto posąg Hitlera (kawalek twarzy leży wśród czerepów i gruzów — majstersztyk fotografii) są tak sugestywne, że mimowoli ulega się w końcu wrażeniu, że w Pradze działy się wówczas wielkie, niebezpieczne, bohater-

skie rzeczy. Typowy przykład zrencaznego wyolbrzymiania. Pełna dynamizmu okładka sporego tomu pt. „Pamětník Pražského Povstání” (kiedy doczekamy się choć w części tak pięknego wydawnictwa o powstaniu warszawskim? 5 dni i dni 64! Nie dziwiłbym się, gdyby za granicą wiedziała w końcu więcej o walkach w Pradze niż o bojach warszawskich).

I oto docieramy z powrotem do foyer. Nad wejściem doń, od strony sali, na jasnej ścianie wycięta reprodukcja brązowej rzeźby Jana Stursy: „Zwycięstwo”. Wiotka chłupięca postać, śmiało w tył odrzucone włosy wzniesione ręce. Optymizm.

Wychodząc patrzę jeszcze raz na mądrą głowę Benesza i energiczne rysy Gottvalda. Rozmach i siła. „Budovatelsky program Gottvaldovy vlády” i „Demokracie dnes a zitra” Benesza. Solidna, staranna wydawnictwa, solidna, staranna propaganda. Opuszczam wystawę z uczuciem zazdrości. Propaganda dobrze zrobiona jest olbrzymią potęgą. Myśmy się na tym jeszcze nie poznali albo nie mamy zdolności w tym kierunku. Propaganda jest sztuką trudną wkracza w różne dziedziny — od psychologii do estetyki. Uczmy się jej, albowem nie wyszliśmy jeszcze poza frazeologię, która nas samych męczy a innych nie przekona napewno. Sas

Czechosłowacja pokazuje swą walkę wyzwolenczą



Wystawa p. t. „Czechosłowacja” w Muzeum Wielkopolskim w Poznaniu.

NA ZIEMIACH

Transport i komunikacja

Plan trzyletni przewiduje w szerokim zakresie odbudowę komunikacji i transportu na Ziemiach Odzyskanych. Nie jest to przedsięwzięcie łatwe wobec niedostatecznej jeszcze produkcji naszych walcowni i braku sprzętu. Najlepszą ilustracją piętzących się trudności stanowi fakt, że po zniszczeniu naszych lasów zmuszeni jesteśmy obecnie sprowadzać podkłady kolejowe z zagranicy, gdy przed wojną eksport podkładów stanowił poważną pozycję w naszym budżecie.

Z natury rzeczy odbudowa komunikacji i transportu w Polsce w ogóle, a więc i na Ziemiach Odzyskanych postępować musi stopniowo z uwzględnieniem najkonieczniejszych potrzeb. Po uruchomieniu najważniejszych szlaków kolejowych liniami jednotorowymi — położone zostaną drugie tory. Uruchomienie szeregu linii uzależnione jest od odbudowy mostów. Obecnie trwają prace nad odbudową mostów na linii Zielonagóra — Świebodzin oraz Zgorzelec — Luban. Linie te ułatwią komunikację Śląska ze Szczecinem. Trwają również intensywne prace nad budową dwóch mostów na Odrze pod Szczecinem. Pod Malborkiem postawiony zostanie składany most angielski typu wojskowego. Montaż nowego mostu — również angielskiego — w Tezewie rozpocznie się z wiosną. Po zbudowaniu tych mostów prawobrzeżne Powiśle i tereny województwa olsztyńskiego uzyskają wreszcie krótkie połączenie z portami. Plan inwestycyjny przewiduje budowę w Szczecinie trzeciego mostu drogowego. Konstrukcja została już zakupiona we Francji i znajduje się już w drodze do Polski. W niedługim czasie ukończona zostanie odbudowa mostu kolejowego na Pilicy pod Warką, oraz mostu kolejowego w Toruniu.

Obecna zdolność przeladunkowa nrszych portów: Gdańska, Gdyni i Szczecina wynosi 10 milionów ton. Plan inwestycyjny przewiduje podniesienie zdolności przeladunkowej do 12,5 milionów ton w 1947 r., 19,5 milionów ton w 1948 r. i 24,5 milionów ton w 1949 roku. Szczególną opieką otoczony zostanie Szczecin. Nasze urządzenia portowe pozwalają już dziś zaspokajać nie tylko potrzeby krajowe, ale i obsługiwać tranzyt do Czechosłowacji i Węgier. Zasadnicze znaczenie będzie posiadała w tym zakresie Odra jako magistrala wodna morze — Śląsk. Doład brak na Odrze barek i holowników. Trwają intensywne prace przy wydobywaniu zatopionych wraków, niezależnie jednak od wydobywanych zakupimy z zagranicą 134 barki 500-tonowe oraz holowniki o łącznej sile 24 000 koni mechanicznych. Dla przystosowania Odry do tranzytu rudy, idącej przez Polskę, poczynione zostaną poważne inwestycje w portach w Gliwicach i Koźlu, gdzie odbywać się będzie przeladunek na linie kolejowe. Plan inwestycyjny przewiduje, że w 1949 roku przewieziemy Odrą ze Śląska 2 500 000 ton węgla, a z portów morskich w górę rzeki 1 800 000 ton rudy. Na wykonanie tych inwestycji plan trzyletni przewiduje astronomiczną sumę 500 miliardów złotych.

Przed wojną posiadaliśmy 63000 km dróg kołowych, co stanowiło 16 km dróg na 100 km kwadr. Obecnie posiadamy 95 786 km dróg kołowych, czyli 30 km dróg na 100 km². Długość dróg asfaltowych podniosła się analogicznie z 3500 km na 25 000 km. Drogi kołowe na Ziemiach Odzyskanych mają charakter dróg lekkich. Konserwacja ich jest stosunkowo łatwa, zaniechania jednak powodują bar-

dzo wielkie podrożenie kosztów remontu. Plan trzyletni przewiduje całkowitą odbudowę dróg na Ziemiach Odzyskanych. Ministerstwo Komunikacji przyznało duże subsydia dla samorządów na remont i konserwację dróg samorządowych. Subsydia te oczywiście nie pokryją całkowitych kosztów samorządu. Główną część pracy wykona ludność szarwarkiem.

Plan inwestycyjny przewiduje na rok 1937 budowę 200 wagonów osobowych, 400 wagonów specjalnych i 9800 wagonów towarowych,

na rok 1948 — budowę 13 800 wagonów towarowych i na rok 1949 budowę 14 800 wagonów towarowych. Ponadto otrzymamy pewną ilość taboru kolejowego z demobilu oraz zakupimy z pożyczki amerykańskiej na linię Śląsk-porty specjalnie ciężkie parowozy i węglarki o nośności podwójnej, czyli 40-tonowe. Umożliwi to dwukrotnie zwiększenie dostaw węgla do portów. Wykonanie tego planu jest możliwe głównie dzięki pracy fabryk, jakie przejeżdżaliśmy, odbudowaliśmy i uruchomiliśmy na Ziemiach Odzyskanych.

Skarby zdrowia na Pomorzu Zachodnim Uzdrowiska i kąpieliska nadmorskie

Od najdawniejszych czasów historycznych Pomorze Zachodnie było znane nie tylko wśród ludów słowiańskich zamieszkujących dorzecze Odry, Łaby i Wisły, ale również wśród narodów skandynawskich i zachodnioeuropejskich, jako kraj tranzytowy, poeity w różnych kierunkach drogami pod nazwą „solnych“ dzięki znajdującym się tutaj licznym słonym źródłom w rejonie Gryfina i Kołobrzegu, a służącym do wydobywania soli.

Z chwilą odkrycia kopalń, ludność miejscowa zaniechała wydobywania soli, a w miejscach tych zaczęły powstawać uzdrowiska o charakterze kąpielisk morskich: jedno w pobliżu drugich o tak specyficznym zgrupowaniu, jak na żadnym innym miejscu wybrzeża Bałtyku. Wprowadzenie wody Bałtyku zawierają więcej soli niż innych mórz (zaledwie 0,75 do 0,80 proc. wody wierzchniowej), jednakże kąpieliska i uzdrowiska zawdzięczają swój rozwój łagodnym wiatrom oraz mieszaninie powietrza morskiego i leśnego.

Pas uzdrowisk i kąpielisk ciągnie się od Derłowa aż po Świnoujście, skupienia większe tworzą w trzech miejscach, a mianowicie:

NA WYSPIE WOŁYŃ

Będzin i Wegornia, kąpieliska posiadające ciepłe kąpiele morskie dla chorych na astmę, rachitis, blednicę, skrofulozę itp.

Międzyzdroje, założone w 1830 roku, jedno z najpiękniejszych i największych kąpielisk nad Bałtykiem, znane ze wspaniałej plaży, szeregu domów zdrojowych i pobytu eleganckiego towarzystwa z Danii i południowej Szwecji.

Dziwna, kąpielisko na krańcu wyspy, dysponujące kąpielami igliwymi i kwasowogłowymi.

NA ZACHÓD ODKOŁOBRZEGU

Międzywodzie, Poborów, Złotobrzeg — kąpieliska, których łagodny klimat umożliwia w sezonie letnim miły wypoczynek i nerwowe odprężenie oraz

Kamień, uzdrowisko solne, powstałe w 1876 roku dzięki odkryciu źródeł solankowych o 3,5 proc. zawartości soli i śladach jodu, ongiś najstarsze biskupstwo na Pomorzu, założone w 1175 roku przez księcia Kazimierza Pomorskiego, w mieście katedra z 12 w. oraz kościół św. Mikołaja z 15 w. a w nim kopalnia z 1620 roku.

NA WSCHÓD OD KOŁOBRZEGU

Ustronie Zdrój, Mielno, Skarbinowo i Unieście również kąpieliska nadmorskie o łagodnym klimacie, skupiające w latach przedwojennych setki tysięcy letników, pragnących wypoczynku.

Uzdrowiska te, znajdujące się obecnie w administracji Państw. Zarządu Uzdrowisk Pomorza Zachodniego (delegat Rządu inż. St. Twardo, naczelny dyrektor dr A. Wasilewski) doznały znacznych

strat w okresie działań wojennych. Domy zdrojowe i Łazienki zostały częściowo poniszczone, urządzenia wewnętrzne i wanny rozszabrowane do tego stopnia, że cały rok 1945 i część pierwszego półroczia 1946 roku musiano przeznaczyć na remont gmachów i łazienek oraz meblowanie pokoi gościnnych. Cel ten został osiągnięty w zupełności pod koniec pierwszego półroczia br. tak, że na dzień 1 lipca wszystkie opisane wyżej kąpieliska nadmorskie i źródłowe Połczyń-Zdrój otwały podwoje na przyjęcie gości.

Sezon letni 1946 r. powiódł się nadszpiekaniem ku zadowoleniu organizatorów, grupując na wybrzeżu Bałtyku kilka tysięcy kura-cjuszy i letników z różnych stron Polski. Zapelny spokój w ferenie i niskie ceny pokojów z utrzymaniem (350 zł dziennie dla wolnych zawodów, 8 000 zł ryczał miesięczny dla pracujących) były niewątpliwie najlepszą reklamą i magnesem, przyciągającym kura-cjuszy i letników nad polski Bałtyk.

Seryjne domki krajowej produkcji

Gdańsk. — Ministerstwo Odbudowy rozpatruje projekt i możliwość stawiania budynków mieszkalnych, składających się z seryjnie produkowanych części. Omawiana jest głównie sprawa materiałów, którymi należałoby się posłużyć do budowy takich domków. Gdańska Dyrekcja Odbudowy w porozumieniu z Ministerstwem bierze pod uwagę Gdańsk i Gdynię, jako miasta, w których m. in. stanęłyby również ta-

kie domki. W plan ten weszłyby zresztą wszystkie najbardziej przeludnione miasta w Polsce. Biorąc pod uwagę taniość i możliwość szybkiego wykonania, „domki seryjne“ odegrałyby ogromną rolę w zaspokojeniu najbardziej palących potrzeb mieszkaniowych w kraju i przyczyniłyby się do podniesienia stanu zdrowotnego ludności, gnieżdżącej się obecnie niejednokrotnie w mokrych piwnicach i na poddaszach.

Realizacja zaopatrzenia na sty-

Ministerstwo Ziem Odzyskanych zezwoliło na indywidualne osiedlanie się ludności rolniczej, pochodzącej z przedwojennych obszarów Państwa Polskiego — na gospodarstwach rolnych na Ziemiach Odzyskanych, pod warunkiem przywiezienia przez nią brakującego na tych gospodarstwach inwentarza żywego i wyremontowania na koszt własny budynków. Reflektantom na zdewastowane gospodarstwa rolne referaty osiedleńcze wydawać będą odpowiednie pisma, na zasadzie których będą oni mogli uzyskać zaświadczenie przesiedleńcze i przejazd z ziem starych na tereny odzyskane w ramach akcji PUR.

Gospodarstwa niezdeprawowane należy przydzielać repatriantom, osadnikom wojskowym i usuniętym z innych gospodarstw (np. wskutek powrotu dawnych właścicieli — autochtonów).

Zakaz indywidualnego osiedlania się na gospodarstwach rolnych obowiązuje w dalszym ciągu na Opolszczyźnie, w województwie wrocławskim (z wyjątkiem powiatów: Brzeg, Głogów, Góra, Legnica, Lubin, Milicz, Środa, Szprotawa, Trzebnica, Wołów, Zgorzelec, Złotoryja, Żary, Żagań) oraz w powiecie Zielona Góra w województwie poznańskim.

Zgodnie z planem regionalnym powiaty macierzyste mają prawo wy-

Na wyspie Uznam i Wołyń

ki zewi się bujne życie polskie

Powiat woliński, składający się z wyspy Wołyń i części wyspy Uznam, zaludnia się coraz poważniej osadnikami. Dzięki akcji repatriacji Niemców została tu osadzona znowu poważna ilość rolników tak, że wyspy mają już prawie zupełnie polski charakter. Jedynie jeszcze tylko miasto Świnoujście posiada duży procent Niemców. Niemcy ci w większości zatrudnieni są u władz radzieckich.

Z transportów koni, jakie otrzymał z Danii port szczeciński,

przydziały otrzymali również osadnicy na naszych wyspach. Przeczytno się to w dużej mierze do pomysłowych wyników prac na roli. Plan władz centralnych przewidywał, że na terenie powiatu zasianych zostanie najwyżej około 2000 ha. Tymczasem osadnicy zaorali około 3000 ha, a majątki około 700 ha. Największy obszar ziemi zasiany został przez żyto, bowiem blisko 2500 ha, pszenicy 314 ha i jęczmienia 165 ha.

Najlepszym dowodem polskości ziem zachodnio-pomorskich jest ich ludność autochtoniczna, która żyje we wszystkich powiatach i to nawet od dawna już znajdujących się pod presją germanizacyjną, jak np. na wyspach Uznamie i Wołyń. Na terenie tych wysp przeprowadza się jeszcze akcję weryfikowania miejscowej ludności autochtonicznej. Jak dotychczas, zostało tu zweryfikowanych 123 osoby na około 150 przynależących się do polskiej narodowości.

Element zweryfikowany posiada dużą wartość. Są to najeźdźcą rybaczy i fachowcy w poszczególnych działach rybołówstwa i przemysłu rybnego. Oddają oni duże usługi polskiemu życiu gospodarczemu na tych terenach.

Apro wizacja

Specjalny kredyt na dożywianie ludności kaszubskiej i warmińskiej

Aparat aprowizacyjny na Ziemiach Odzyskanych po pokonaniu wielu początkowych trudności pracuje obecnie sprawnie i wypełnia zwiększające się stale zadania. Apro wizacja obejmowała na Ziemiach Odzyskanych w styczniu br. — 876 147 osób, w październiku br. — 1 305 768 osób, w grudniu — 1 376 000 osób.

Realizacja zaopatrzenia na sty-

zeń wykonana została tylko w 48 proc., przy czym przydziały wydano ludności dopiero w marcu. W ciągu następnego miesiąca sprawność realizacji przydziałów podniosła się tak dalece, że np. tłuszczo wydano w październiku w 90 proc. (w styczniu — 3 proc.), żyto, herbatę, cukier, sól itp. — w 100 proc.

Apro wizacja obejmuje obecnie również pewne grupy ludności, szczególnie potrzebujące pomocy, np. repatriantów, którzy przybyli po zasiewach, zniszczonych autochtonów, osadników na zdewastowanych gospodarstwach itp. Ministerstwo Ziem Odzyskanych organizuje doraźnie specjalne akcje dożywiania ludności tam, gdzie zachodzi potrzeba np. na Opolszczyźnie. Dla ludności kaszubskiej i Warmiaków uzyskano specjalny kredyt na dożywianie w kwocie 19 500 000 złotych.

Zmiany w systemie osiedleńczym

syłać przesiedleńców na osadnictwo rolne indywidualne, wyłącznie w następujących kierunkach:

Województwa krakowskie i rzeszowskie — do wymienionych wyżej powiatów województwa wrocławskiego oraz do powiatów w województwie szczecińskim; **województwa warszawskie i białostockie** — do powiatów w województwie olsztyńskim (z wyjątkiem powiatów bezpośrednio graniczących), szczecińskim i gdańskim; **województwa: łódzkie, kieleckie i poznańskie** — do powiatów w województwie szczecińskim i poznańskim (Ziemia Lubuska); **województwa: lubelskie i pomorskie** — do powiatów w województwach gdańskim, szczecińskim i olsztyńskim.

Odstępstwo od powyższego jest dopuszczalne w odniesieniu do rodzin, które wraz z dobytkiem znajdują się już na Ziemiach Odzyskanych i nie mogły być dotychczas osiedlone ze względu na obowiązujący zakaz, jak również do osiedleńców typu specjalnego (pisarze, pracownicy kultury itp.), których osiedlanie się na Ziemiach Odzyskanych zostało uregulowane odrębnymi zarządzeniami.

Kandydaci na opuszczone gospodarstwa jednostkowe posiadać powinni co najmniej jednego konia,

krówę lub 2 kozy, względnie owce albo 2 cielęta, świnie, niezbędną ilość zboża siewnego, środki żywności do nowych zbiorów oraz środki na remont zabudowań. Akty nadania własności przydzielonych gospodarstw będą przesiedleńcom wydane w terminie do 4 miesięcy od chwili wprowadzenia w użytkowanie, jeżeli do tego czasu dokonają zasiewów i przeprowadzą remont zabezpieczający budynki. W miarę istniejących środków przesiedleńcom może być udzielona pomoc w materiale budowlanym.

Kandydaci na rybaków morskich mogą się przesiedlać bez ograniczeń. Zgłoszenia w tym zakresie przyjmują Urzędy Morskie w Gdańsku, Gdyni, Derłowie i Szczecinie. Zakwalifikowanym na osiedlenie przez urzędy morskie, referaty osiedleńcze przydzielą gospodarstwa zarezerwowane dla osadnictwa rybactwa morskiego i wydadzą odpowiednie pisma w celu uzyskania przez nich zaświadczeń przesiedleńczych i przejazdów z ziem starych w ramach akcji PUR.

Ten sam tryb postępowania należy stosować do robotników leśnych z tym, że skierowania na gospodarstwa leśne będą wydawały dyrekcje Lasów Państwowych względnie nadleśnictwa.

ODZYSKANYCH

Rozwój turystyki

Wydział Turystyki Min. Komunikacji zwołał drugą konferencję Międzyministerialną celem omówienia realizacji uchwał konferencji turystycznych, odbytych kolejno w urzędach wojewódzkich Ziemi Odzyskanych.

W konferencji, której przewodniczył Naczelnik Wydziału Turystyki dr Lorenc, wzięli udział delegaci zainteresowanych Ministerstw, Centr. Urzędu Planowania, Wojsk. Instyt. Geogr., Biura Podróży „Orbis” i Urzędu WF i PW, referencje turystyki przy DOKP i Urzędach Wojewódzkich w liczbie dwunastu oraz z ramienia Wydziału Turystyki: mgr M. Sobański, dr M. Orłowicz, red. St. Stankiewicz, mgr Fr. Krzeszowski i mgr T. Dohnalik.

Długoletni i zasłużony działacz na polu turystyki dr M. Orłowicz przedstawił obecnym w krótkim resumé przebieg obrad kwietniowych oraz treść uchwalonych wniosków, poczem referencje turystyki kolejno referowali wykonanie poszczególnych wniosków w terenie i plany na najbliższą przyszłość.

RUCH WYCIECZKOWY

na Ziemiach Odzyskanych był niezwykle ożywiony w sezonie letnim. Uruchomiono w Katowicach 57 pociągów wycieczkowych dla 104 000 osób. w Poznaniu do Puszczykowa 6 pociągów niedzielnych dla 22 817 osób, ponadto szereg wycieczek grupowych dla 163 842 osób, w tym do Częstochowy 7 342 osoby, w Gdańsku pociągi wycieczkowe dla 21 900 osób, a w Olsztynie dla 30 000 osób. — Targi poznańskie zgrupowały — 5 200 osób, a gdańskie ponad 6 000 osób.

ODBUDOWA I ROZBUDOWA HOTELI

stała się palącą koniecznością na tle ożywionego ruchu turystycznego. W Karkonoszach zorganizowano siedem schronisk: „Na Snieżce”, „Pod Snieżką”, „Dom Śląski”, „Samotnia”, „Tzabella”, „Wierchy” i Spółdzielni Turystycznej; w Snieżnych Jamach 3 schroniska, a w Łuczaniech (Mazury) hotel o 200 łóżkach, ten ostatni dzięki subwencji Ministerstwa Ziemi Odzyskanych.

SCHRONISKA TURYSTYCZNE PONIEMIECKIE

na terenie Ziemi Odzyskanych przeszły w administrację Min. Komunikacji, którego pełnomocnikiem zostało Polskie Biuro Podróży „Orbis”. Ono też uskuteczniac będzie rozdział tych schronisk i przydział pożyczek na przeprowadzenie remontu.

DOMY WYPOCZYNKOWE MŁODZIEŻOWE

w liczbie 386 otrzymują organizacje naszej młodzieży, a delegat Ministerstwa Kultury i Sztuki zapewnił obecnych, że władze jego gotowe są sfinansować remont zamków i pałaców, przeznaczając je na cele turystyczne.

OBIEKTY ZABYTKOWE

jak zamek Książąt Pomorskich w Szczecinie, zamek w Santoku, pole bitwy pod Grunwaldem, zamek w Malborku są doprowadzane do stanu używalności, a w najbliższym czasie planuje się rozminowanie terenów wokół kwatery głównej Hitlera w lesie gorlickim pod Rastemborkiem i udostępnienie tych interesujących obiektów dla zwiedzających.

ŚRODKI KOMUNIKACYJNE

dzięki wyteżonej pracy kolejarzy są stopniowo przywracane do stanu używalności. Na Mazurach

uruchomiono szereg linii kolejowych w rejonie Łuczania i Mikolajek, na Śląsku linie Jelenia Góra — Lwówek i Wrocław — Trzebnica, — Kamień i Wysoka — Reclaw. Linie Kolobrzeg — Trzebiatów uruchomi się w 1947 r., a linie Trzebiatów — Kamień w 1948 r.

Mosty kolejowe na Wiśle pod Tezewem, na Noteci pod Piłą i na Odrze pod Wrocławiem są w odbudowie i będą wykończone do marca 1947 r. Wykończenie ich skróci przyjazd z Olsztyna do Gdańska, z Poznania do Piły i Polezyna-Zdroju i z Wrocławia do Poznania.

KOMUNIKACJA AUTOBUSOWA

na Warmii i Mazurach uległa znacznej poprawie. Autobusy ciężarowe zastąpiono autokarami, co podróżni powitali z zadowoleniem.

ORGANIZACJE TURYSTYCZNE

czuwają nad ruchem turystycznym, zakładając swoje oddziały w większych miastach Ziemi Odzyskanych: jak Polskie Towarzystwo Krajoznawcze w Olsztynie, Szczecinie i Wrocławiu, a Polskie Towarzystwo Tatrzańskie w Jeleniej Górze, Sobótce i Wrocławiu. W Olsztynie zawiązała się Wojewódzka Komisja Turystyczna jako organ doradczy i opiniodawczy w sprawach turystycznych w dziedzinie rozwoju turystyki, inwestycji turystycznych w terenie, organizowania ruchu turystycznego i propagandy turystycznej.

RUCH WYDAWNICZY

na Ziemiach Odzyskanych nie pozostaje w tyle. W ciągu 1946 r. wydano „Przewodnik po Zagłębiu Węglowym” dra Krauzego, „Przewodnik po Śląsku” dra Wrzóska, „Przewodnik po Wrocławiu” mgr. Johansona, oraz „Przewodnik po

Olsztynie” inż. Muzolla. W opracowaniu znajdują się „Przewodnik po Warmii i Mazurach”, „Gdańsk” prof. Kilarskiego, oraz mapa turystyczna Dolnego Śląska.

Poza tym Wydz. Turystyki zakupił w ostatnich tygodniach rękopis mapy perspektywicznej: „Wrocław i Sudety” w opracowaniu mgra Zbigniewa Korosadowicza z Zakopanego. Mapa ta ukaże się w niedługim czasie na półkach księgarskich.

Red. Stankiewicz przedstawił „Problem komunikacji osobowej na Ziemiach Odzyskanych” ze szczególnym uwzględnieniem połączeń kolejowych między uzdrowiskami i kąpieliskami a centrum kraju. Dyskusja, jaka wywiązała się następnie, przyczyniła się do ustalenia szeregu wniosków, jako dezeryderatów Wydziału Turystyki na międzydyrekcyjną konferencję w sprawie rozkładu jazdy od 4-go maja 1947 roku.

Co wolno wywozić z Ziemi Odzyskanych

Zarządzeniem z dnia 24 listopada br. minister Ziemi Odzyskanych dokonał zmiany niektórych postanowień zarządzenia z dnia 22 lutego br. w sprawie zakazu wywozu mienia ruchomego z Ziemi Odzyskanych. Nowe zarządzenie ustala rodzaj ruchomości, których wywóz z obszaru Ziemi Odzyskanych nie wymaga specjalnego zezwolenia.

Bez specjalnego zezwolenia wolno wywozić z Ziemi Odzyskanych odzież i bieliznę w takiej ilości, że jest niewątpliwie, iż służy do osobistego użytku przewoźącego w związku z podróżą; przedmioty normalnie używane w podróży; bieliznę pościelową oraz pościel w takiej ilości, że nie zachodzi podejrzenie, że są wywożone w celach spekulacyjnych; gotowe wyroby włókiennicze oraz konfekcyjne z wyjątkiem dywanów; ziemniaki, ich przetwory oraz wszelkie artykuły żywnościowe; papier, wszelkie wyroby papierowe, druki, wydawnictwa i książki; fajans, szkło, kryształy; kamień wszelkich gatunków i wyroby z kamienia; cement, wapno, gips, cegła, dachów-

Siedem kilometrów za Głogowem, w gminie Kotla, nie opodal szosy leży wieś Głogówek. Niewielka to miejscowość, zamieszkała przez 70 rodzin repatrianckich, przeważnie z Poleskiego. Dzisiaj jest słynna na cały powiat głogowski, ba, nawet na Dolnym Śląsku ludzie dziwią sobie o niej opowiadają.

Głogówek oto buduje dziś sobie własny kościół. 70 rodzin uznało, że dzieci ich muszą tu, na tej nowej ziemi, mieć po ojcach pamiętkę, że nawiązać muszą do przerwanej tradycji czasów piastowskich, gdy w polskich kościołach polska pieśń szeroką falą płynęła na pola i lasy dolnośląskie.

Przewodnictwo całej akcji budowy objął 75-letni repatriant ze Lwowa, Piotrowski Alojzy, mogący dla wielu młodych stanowić przykład energii, pracowitości i zapędu. Współ z nim, z entuzjazmem stawia świątynię cała wieś — mężczyźni, kobiety, dzieci nawet; te bowiem pracują chociażby przy wyciąganiu gwoździ ze starych bierwion, spalonych domostw itp.

Jak się to zaczęło? — Oto nie opodal szosy stała murowana dzwonnica dźwigająca już solidną patynę wieków na sobie. Dzwonili z niej Niem-

cy w wypadku pożaru, nagłej śmierci czyjejs itp. Do tej dzwonnicy dobudowany został obecnie drewniany, acz na solidnej podmurówce, kościółek. W tych dniach pokryty został dachówka, zebrana z trudem i mozolem z ruin spalonego Głogowa. Dziś szklą się okna.

Skąd wzięły się fundusze na ten cel, kto dawał pieniądze? Różne były sposoby. Kobiety, mimo ważkich prac domowych, znajdowały czas, by udawać się w dalekie nieraz okolice z listą składkową. Ten dał 10 zł, ten 100, niektórzy nawet i tysiąc. Gdy już ten system zawodził, urządzali kobiety loterie fantową, na których rozlosowano dary przez nie same złożone. Dalej urządzano zabawy, na których znowu bufet dawał dochody — powstawał zaś on znow z składkę gospodarskich. Ten dał jajka, ów masło, tamten krzączki kiełbasy i tak się niezły nawet zapasik na sprzedaż zbierał.

Praca robotników nie kosztowała wiele. Przeważnie mieszkańcy wsi koło nie ofiarowywali po kilka dni bezpłatnych, kilku jedynie fachowców z dalekich okolic trzeba było skromnie wynagrodzić.

I tak to w ciągu tylko dwu miesięcy, zapałem i energią, w oparciu o podbudowę żarliwej wiary, wyrósł nowy kościół na dolnośląskiej ziemi, wniesiony ręką repatrianta z wschodniej granicy. Wyrósł na dowód, że polskość tu wrócona nigdy już ziemi odrzańskiej nie opuści, ale z pomocą Bożą rozpocznie drogę dla niezliczonych na przyszłość pokoleń.

Wszystkim gościom i sympatykom mego lokalu składam serdeczne życzenia

Zdrowych Wesółych Świąt

oraz Dosiego Roku Kawiarnia i Cukiernia

K. GRZESIEK

Poznań, Dąbrowskiego 19 67

Kłopoty pszczelarzy

Szwajcarscy uczeni-pszczelarze wyliczyli, że wartość pracy pszczoły w polu jest dziesięć razy wyższa od najwyższego zbioru miodu w ulu. W Wielkopolsce pszczoły mało do ula przynoszą, bo rolnicy nie dbają o to, aby pszczoła miała przez całe lato z czego miód zbierać. Sadownicy, ogrodnicy i rolnicy są zadowoleni, że mają zapyłone kwiaty wczesną wiosną i nie martwią się, że w czerwcu i lipcu pszczoły głodem przymierają. Roje nie zbierają sobie zapasów na zimę. Wiele z nich pada z głodu już jesienią albo w ciągu zimy. Reszta, która przeżyje, wychodzi z ula osłabiona, niezdolna do podjęcia pracy przy zapyłaniu. A o pszczoły warto dbać!

Każdy pień pszczoł powinien u nas przynosić 10 kg miodu rocznie, co warte jest 3 500 zł! Obecnie w województwie poznańskim jest około 70 tysięcy pni. Te pnie powinny przynieść rocznie 245 milionów złotych w postaci miodu. Jeżeli uwierzymy uczonym szwajcarskim, że ogrodnicy, rolnicy, sadownicy i inni zbierają dziesięć razy więcej od pszczelarza, to ten „dochód społeczny” wynosiłby 2 miliardy 450 milionów złotych! Nie wspominał jeszcze o wosku, którego tak wielki brak odczuwamy. A wiedzieć trzeba, że na terenie powiatów sprzed 1939 roku mamy miejsce na 150 000 pni!

Gorzej przedstawia się sprawa na Ziemi Lubuskiej. Zostało tam tylko

6 000 pni, obecnie głodem przymierających. A miejsce jest na 100 000 pni! Obliczmy, jaką stratę ponosi nasza gospodarka na tym terenie przez brak pszczoł.

Obfitość zieleni w miastach i we wsiach, dużo lasów i łąk, pielęgnowane drzewa i krzewy przyrodnie każą przypuszczać, że pień pszczoł zebrałby tam 20 kg miodu przeciętnie, wartości 7 000 zł, co przy stu tysiącach pni wynosiłoby 700 milionów złotych! Tyle zebrałby wszyscy Pszczelarze na próżno dobijają się o liby dziesięć razy więcej w owocach nasionach itp., to jest 7 miliardów złotych! A więc więcej niż suma zapowiedzianych inwestycji w ciągu trzech lat. Są to obliczenia, w które wierzą wszystkie kraje, prowadzące nowoczesną gospodarkę rolną. Tylko u nas trudno wiarę w to znaleźć. Pszczelarze naprzędno dobijają się o taniszy cukier dla pszczoł. Wielu repatriantów, którzy przywieźli pnie ze swoim dobytkiem na Ziemię Odzyskaną, zamęczeni dawno pszczoły głodem. W ciągu bieżącej zimy na pewno stracimy dalszych 40% pni. Jeżeli pszczelnictwo jeszcze się utrzymało, to tylko dlatego, że właściciele pasiek mieli z czego do nich dołożyć, kupując drogi cukier. Ale czy taki stan długo może potrwać? Rząd winien dostarczyć pomoc w cukrze, oraz dłuższe kredyty dla 76 000 pni istniejących i na urządzenie dalszych 180 tysięcy pni (wraz z Ziemią Lubuską).

Rolnicy, ogrodnicy i inni! Posadźcie co roku choć parę krzewów i drzew miododajnych, sięćcie choć trochę białej koniczyń wśród innych roślin, nie żałujcie seradeli w zbożach, tataraki i gorczycy na ziemniaczyskach. Przy domach twórzcie żywopłoty ze śnieguliczki. Nie wycinajcie ostatnich krzewów z waszych miedz. Bo, aby pszczoły mogły nam wszystkim służyć wiosną, muszą mieć z czego zbierać przez całe lato.

ZNIESIŃNIE

PODATKU WOJSKOWEGO

Ministerstwo Ziemi Odzyskanych wydało polecenie, aby związki samorządu terytorialnego na obszarze Ziemi Odzyskanych zgodnie z postanowieniami dekretu o podatkach komunalnych zaprzęstały poboru podatku wojskowego, pobieranego na podstawie dekretu z dnia 13. IV. 1945 r. o podatku wojskowym.

Publiczna gospodarka lokalami

W związku z rozporządzeniem Rady Ministrów o rozciągnięciu przepisów dekretu o publicznej gospodarce lokalami na niektóre obszary Ziemi Odzyskanych — Ministerstwo Ziemi Odzyskanych poleciło podległym sobie władzom ustalić w porozumieniu z zainteresowanymi czynnikami społecznymi i gospodarczymi wykaz miejscowości o charakterze osiedli podmiejskich i fabrycznych celem podporządkowania w drodze rozporządzenia gospodarki lokalami w tych osiedlach — zainteresowanym miastom.

Wszystkie miejscowe organa gospodarki lokalowej tych osiedli muszą być podporządkowane organom

zainteresowanego miasta, jako dyspozycyjnego ośrodka władzy kwaterekowej. W ustalonych osiedlach podmiejskich władzami kwaterekowymi będą w dalszym ciągu zarządy miejskie (gminne), przy czym zakres kompetencji władz kwaterekowych ustalać będzie zarząd miasta zainteresowanego, określając jednocześnie czynności zarządów danych osiedli podmiejskich, jako dzielnicowych biur kwaterekowych.

Analogiczne komisje lokalowe w osiedlach podmiejskich spełniać będą rolę dzielnicowych komisji lokalowych, jeżeli rada narodowa zainteresowanego miasta nie udzieli im szerszych uprawnień.

Ekspozytura Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie

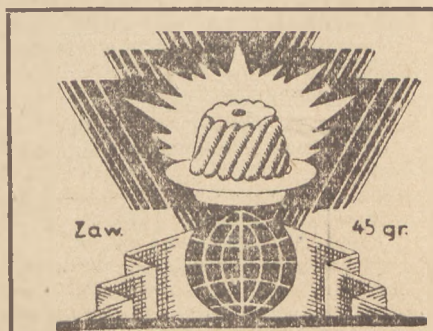
Zarządzeniem ministra Ziemi Odzyskanych uruchomiona została ekspozytura Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie Wlkp. Ekspozytura rozpoczęła już pracę.

Terytorialny zakres działania ekspozytury obejmuje 13 powiatów ziemni Lubuskiej województwa poznańskiego, a mianowicie: babimojski, gorzowski, gubiński, krośnieński, miechowski, pilki, rzepiński, skwierzyński, sulciński, strzelecki, świebodziński, wschowski i zielonogórski.

Równocześnie został skasowany w Urzędzie Wojewódzkim Poznańskim Wydział Ziemi Lubuskiej, który dotychczas załatwiał sprawy z obszaru wymienionych powiatów. Ekspozytura jest organem podległym wojewodzie i uprawniona jest do spełniania pod nadzorem wojewody zadań z zakresu jego działania oraz do wydawania w imieniu wojewody w tym zakresie samoistnych orzeczeń i zarządzeń. Do zakresu działania ekspozytury należy załatwianie spraw prawno-administracyjnych, społeczno-politycznych, samorządowych, osadnictwa oraz aprowizacji i handlu. Pozatem do zakresu działania ekspozy-

tytury należy inspekcja działających na jej obszarze starostów.

Kierownikiem ekspozytury został mianowany ob. Florian Kroenke, dotychczasowy starosta powiatowy gorzowski.



FI. KOSMAŁA
Poznańska Wytwórnia
Środków Spożywczych
Poznań, ul. Półna 21-22
Telefon 29-45

Budynie
Galaretki
Cukier
waniliowy
Proszek
do pieczywa
„UPIEK”
Olejki
do pieczywa
Korzenie
do pierników

Kronika

Woj. poznańskie

NOWY DELEGAT DO W. R. N.

Gorzów. — W związku z złożeniem funkcji członka Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu przez dotychczasowego starostę gorzowskiego ob. Floriana Kroenkego, który został desygnowany na stanowisko Kierownika Ekspozytury Urzędu Wojewódzkiego Poznańskiego w Gorzowie, Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Gorzowie Wlkp. wyznaczyło jednego delegata do Wojewódzkiej Rady Narodowej przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Gorzowie ob. dyr. E. Pilarskiego.

Z ŻYCIA POWIATOWEJ RADY NARODOWEJ

Gorzów. — Ostatnie obrady Powiatowej Rady Narodowej były ożywione. Po przyjęciu przez Przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej ob. Edwarda Pilarskiego sło- bówian od nowych członków, wygłosił sprawozdanie sytuacyjne starosta powiatowy Fl. Kroenke.

W swym obszernym exposé poruszył dotychczasowy Starosta całokształt pracy administracyjnej, samorządowej, poświęcając duże uwagi sprawę gospodarczą i szkolnictwu w powiecie.

Ożywiona dyskusja była najlepszym dowodem, jak żywo sprawy powiatu interesują czynnik społeczny.

Drugą część obrad wypełniło uchwalenie statutu opłat administracyjnych, statutu opłat badania zwierząt rzeźnych i mięsa, podatku od spożycia w lokalach gastronomicznych, położonych w gminach wiejskich, sprawa przejęcia majątku Małyszyn od Powiatowego Urzędu Ziemskiego w Gorzowie na rzecz Powiatowego Związku Samorządowego oraz powołanie Powiatowej Komisji finansowo-budżetowej i Powiatowej Komisji planowania i koordynowania prac w powiecie.

Woj. gdańskie

„VIRTUTI MILITARI” NA SZTANDARZE POCZTOWCÓW GDAŃSKICH

Gdańsk. — W niedzielę, dnia 1 grudnia 1946 r. odbyła się podniosła uroczystość poświęcenia i dekoracji orderem Krzyża „Virtuti Militari” nowego sztandaru Koła Miejskowego Związku Zawodowego Pracowników Poczty i Telekomunikacji Gdańsk I.

O godzinie 8,30 na placu przed Katedrą w Oliwie zajęły miejsce kompania honorowa W. P. wraz z orkiestrą, oddział honorowy pocztowców oraz liczne grono pracowników Poczty i Telekomunikacji z całej Polski łącznie z pocztami szeregu przedwojennych sztandarów pocztowców. Punk-

tyzmem nowego sztandaru jest ob. Guziński Franciszek, były pracownik Poczty Polskiej w Gdańsku, i więzień obozów koncentracyjnych przez cały okres wojny. Następnie przy dźwiękach Hymnu Narodowego sztandar został przeniesiony przed oddziałami honorowymi, prezentującymi broń.

Najbardziej uroczystym momentem była dekoracja sztandaru, której w imieniu Marszałka Polski dokonał kontradmirał Mohuczy. Na proscenium zawisła szafirowa wstęga z wysokim odznaczeniem wojskowym orderem Krzyża „Virtuti Militari” V-jej klasy. Oddziały honorowe prezentują broń przy dźwiękach Hymnu Narodowego. Krótkie przemówienie, w którym podkreślił zasługi pocztowców z 1939 r., kontradmirał Mohuczy zakończył okrzykiem na cześć Prezydenta K. R. N. i Rządu Jedności Narodowej. Okrzyk podjęli wszyscy zgromadzeni, po czym odśpiewano Rotę.

JACEK ŻULAWSKI PREZESEM ZW. PLASTYKÓW NA WYBRZEŻU

Gdańsk. — Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków okręgu gdańskiego odbył doroczne walne zebranie członków w Sopocie w lokalu własnym. Na zebraniu został wybrany nowy zarząd w składzie: J. Żulawski — prezes, W. Królikiewicz i S. Zukowski — wiceprezisi, J. Wodyński — sekretarz, P. Zyngiel — skarbnik, M. Wnuk, S. Samborski, M. Nehring, B. Just, Suchanek — członkowie.

MOST W TCZEWIE

Tczew. — Intensywnie odbudowywany most w Tczewie zostanie niebawem oddany do częściowego użytku. Równocześnie trwać będzie nadal dalsza naprawa. Ze względu na ogromne znaczenie komunikacyjne szybkie uruchomienie mostu jest wielkim osiągnięciem dla województwa gdańskiego.

PIERWSZY KUTER RYBACKI POWOJENNEJ PRODUKCJI KRAJOWEJ

Gdynia. Pod koniec listopada br. Komisja Techniczna Generalnego Inspektoratu Rybołówstwa Morskiego odebrała ze stoczni rybackiej w Gdyni nowowyprowadzony kuter rybacki dł. 15 m, o sile motoru 100 KM. Jest to pierwszy kuter wybudowany przez naszą stocznnię od czasu wzniesienia produkcji taboru rybackiego po naszym powrocie nad Bałtyk. Próby dokonane przez Komisję dały wyniki pozytywne.

14 BANDER W PORCIE GDYŃSKIM W LISTOPADZIE

Gdynia. Do portu gdyńskiego weszło w miesiącu listopadzie rb. 166 statków, wyszło 174. Według bander pierwsze miejsce miała jak i poprzednio Szwecja — 72 statki, Dania — 26, Polska — 23, Finlandia — 11, Norwegia — 9, ZSRR i pod banderą aliancką po 6, USA — 4, Anglia — 3, Holandia — 2, oraz Francja, Bułgaria, Belgia i Grecja po jednym. Ogółem reprezentowanych na wejściu było 14 bander.

180 TYS. TON WĘGLA PRZEŁADOWAŁ PORT GDYŃSKI W LISTOPADZIE

Gdynia. W ciągu ub. miesiąca port gdyński przeładował 180.160,3 ton węgla, bunkru i koksu na 115 statków. Średni przeładunek dzienny wyniósł 6 tys. ton. Najwyższy przeładunek 22 listopada rb. wyniósł 10 tysięcy ton. Eksportowany węgiel odszedł według ilości ton do Szwecji, ZSRR, Danii, Norwegii, Francji i Finlandii. Na bunkier zabrano 3.197 ton, koksu zabrały statki wyłącznie szwedzkie i duńskie 5.907 ton.

WYSTAWA PAMIĄTEK PO ZAMORDOWANYCH W PIAŚNICY

Wejherowo. W sali liceum i gimnazjum w Wejherowie została otwarta wystawa odnalezionych pamiątek w grobach pomordowanych Polaków w Piaśnicy. Publiczności udostępniono wszystkie rzeczy znalezione przy niezidentyfikowanych zwłokach, jak zegarki, paski, pierścionki, części garderoby itd. Wszystkie rodziny pomordowanych w Piaśnicy mają dzięki temu szansę rozpoznania rzeczy należących do swych najbliższych.

Woj. olsztyńskie

ODBUDOWA TELEKOMUNIKACJI

Olsztyn. — Na terenie Okręgowego Dyrekcji Poczty i Telegrafów czynnych jest 206 urzędów i agencji pocztowych, z czego 35 placówek nie posiada jeszcze połączeń telefonicznych z powodu braku łącznic i aparatów telefonicznych.

Do obecnego czasu monterzy pocztowi odbudowali 6154 km. telefonicznej linii napowietrznej i 1818 km. linii kablowych, przez co uzyskano 37 bezpośrednich połączeń między miastowych i 6 telegraficznych. Komunikacje telegraficzne utrzymuje

się z Warszawą, Gdynią, Katowicami, Krakowem, Poznaniem, Bydgoszczą, Lublinem i Elblągiem. Na liniach Warszawa i Bydgoszcz pracują dwa dalekopisy. Dalsza odbudowa urządzeń telefonicznych i telegraficznych napotyka na poważne trudności z powodu braku sprzętu technicznego i wykwalifikowanego personelu

Woj. szczecińskie

ODDZIAŁ TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO

Połczyń-Zdrój. — Z inicjatywy prezesa Okręgowego Pol. Tow. Krajoznawczego w Szczecinie inż. Stanisława Twardo odbyło się dnia 1 grudnia pod przewodnictwem tego. zebranie inauguracyjne miejscowego oddziału P. T. K. Prezesem został wybrany dyrektor gimnazjum Zielniński. Oddział liczy 37 członków.

ODBUDOWA HOTELI I PENSJONATÓW

Kołobrzeg. — Państwowy Zarząd Uzdrawisk Pomorza Zachodniego wyremontował i uruchomił Hotel Bristol przy ulicy Władysława Wincentego Kadłubka 10. Hotel liczy na razie 50 pokoi w cenie nie wyższej niż 50 zł za dobę.

Obecnie posuwają się prace nad remontem szeregu pensjonatów, obliczonych na kilkadziesiąt osób i przygotowanych na sezon letni 1947 roku, pierwszy sezon w odzyskany po kilkusetletniej niewoli Kołobrzegu.

Należy podkreślić, że Zarząd Uzdrawisk planuje w drugiej połowie lipca każdego roku organizować zawody konne dla rolników, aby tych ostatnich zachęcić do hodowli koni gatunkowych, a letnikom urozmaicić pobyt nad morzem.

OTWARCIE POŻYTECZNYCH I POTRZEBNYCH INSTYTUCYJ

Szczecin. — Na terenie województwa szczecińskiego przewiduje się otwarcie trzech instytucji, których brak szczególnie się odczuwa, a mianowicie domu dziecka, dla sierot po poległych w walce o niepodległość i demokrację, domu dla moralnie zaniedbanej młodzieży (instytucja ta jest szczególnie potrzebną, ponieważ zdarzają się wypadki, że młodzież w wieku lat 15 dokonuje napadów z bronią w rękę) i wreszcie domu dla głuchoniemych. Na terenie województwa znajduje się około 50 głuchoniemych, których należałoby umieścić w odpowiednim zakładzie.

POTRZEBNI SĄ RYBACY

Drańsko. Na terenie powiatu drańskiego znajduje się jeszcze około 50 gospodarstw rybnych, zajętych przez Niemców, na które mogliby iść Polacy, gdyby byli odpowiedni kandydaci. Gospodarstwa są dobrze zaprowadzone i wyposażone w odpowiedni sprzęt.

I kwiatki i ziółka

W Dusznikach Zdroju 120 lat temu koncertował Fryderyk Szopen. Fakt ten upamiętniono tablicą z następującym napisem: „W 120-lecie rocznicę tablicę ufundował Instytut Fryderyka Szopena”.

Trzeba się było zastanowić nad tym, co napisać, przed wmurowaniem tablicy, którą ma przecież oglądać tysiące ludzi przez dziesiątki lat.

Woda kolońska — przedmiot zbytku? Może tak, może nie. Zgadzą się, że nie można na to wyrzucić dużo pieniędzy.

Na buteleczce napis — „Handelszentrale der Verbraucherorganisationen im G. G., Fabrikantenanlagen in Kielce”.

I z takim napisem sprzedaje się towar w grudniu 1946 r.

Zapytam gwarą: — Czy to już grudzień 1946 r.? Czy nie prze-spolem znowu czego? Całe szczęście, że nie ja... spolem.

Lubię chodzić do kina. Czytam nawet reklamy świetne, chociaż często sformułowanie ich może razić. Ale, ale wszystko ma swe granice: reklama firmy „Malto”, Srem.

Kto raz sprubóje, ten nie pożałuje.

A szkoda... Powinien tego pożałować.

Reprezentacyjnym muzeum Ziemi Zachodniej było przed wojną i jest dotąd Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu. Zasługi jego dla kultury polskiej na tych ziemiach są bez wątpienia bardzo wielkie. Nie wiem jednak, czy do zakresu działalności tego muzeum należy zachowywanie na drzwiach, wychodzących na ulicę Paderewskiego, napisu odlanego w metalu: Prov. Museum — erbaut 1900—1906. Przecież to chyba nie na „wieczną rzecz pamiątkę”...

Jan

W Szczecinie pracują trzy teatry

Rola teatru na Ziemiach Odzyskanych jest zupełnie inną aniżeli w Polsce centralnej. I tu i tam powinien teatr naprawdę służyć kulturze polskiej przede wszystkim, ale na Ziemiach Odzyskanych powinien jeszcze przyczynić się do jak najszybszego wytworzenia jednolitego społeczeństwa polskiego. Tym bowiem różnią się Ziemi Odzyskane od ziem Polski centralnej, że gdy tam istnieje stare, znające swe zadania i oparte o głęboką tradycję społeczeństwo, na Ziemiach Odzyskanych poza ludnością polską rdzenną mamy grupy różnego rodzaju ludności, grupy jakże często nie rozumiejące się, w różny sposób patrzących na te same zagadnienia.

Z kogo bowiem składa się ludność Ziemi Odzyskanych, przynajmniej na terenie Pomorza Zachodniego? Wyróżnić można tu trzy zasadnicze grupy: osadników, repatriantów i tzw. autochtonów. Ludność rdzenną tego terenu, ze względu na jej stosunkowo niewielką ilość wymieniam celowo na ostatnim miejscu. Główne pozycje zajmują osadnicy i repatrianci.

Ten podział da się przeprowadzić również na terenie miast, jak i na terenie wsi. Nas w danym wypadku, gdy omawiamy sprawy teatralne, głównie interesuje sytuacja panująca w mieście, a przede wszystkim w Szczecinie. Szczecin do niedawna był bowiem jedynym miastem Pomorza Zachodniego, które posiadało stały teatr. Dopiero przed dwoma tygodniami otwarty został teatr w drugim mieście, a mianowicie w Słupsku.

Szczecińska ludność składa się również w dużej mierze z repatriantów. Zagadnienie teatru było rozważane już od pierwszej chwili powstania tu większego środowiska polskiego. I niewątpliwie teatr w Szczecinie byłby powstał znacznie wcześniej, gdyby nie ten fakt, że stolica województwa szczecińskiego przez długi czas był Koszalin. Na miejscu w Szczecinie nie było więc władzy, która by się zainteresowała powstaniem teatru.

Że potrzeba teatru już wówczas istniała, tego najlepszym dowodem jest powstanie Teatru Małego. W jednej z will w śródmieściu grupa aktorów postanowiła, nie dbając o trudności i przeszkody, dawać przedstawienia takie, na jakie w tych niebywale ciężkich warunkach było ich stać. I trzeba bezstronnie stwierdzić, że Teatr Mały w dużej mierze spełnił swe zadania: przy-

gotował ludzi i przyzwyczaił ich do chodzenia do teatru. Dzięki zaś korzystnemu położeniu w centrum miasta teatr ten w dalszym ciągu cieszy się dużym powodzeniem, pomimo, że ma w tej chwili poważną konkurencję w Teatrze Polskim.

Sprawa powstania w Szczecinie drugiego teatru przedstawiała się następująco: Z chwilą przybycia do Szczecina Urzędu Wojewódzkiego z Koszalina, władze opiekujące się kulturą i sztuką postanowiły stworzyć w Szczecinie „prawdziwy teatr”. Zadanie to zostało powierzono dyrektorowi Skąpskiemu, który z polecenia wywiązał się pomyślnie. W sali kinowej znajdującej się w dość dużej odległości od centrum miasta zorganizował teatr stojący na dobrym poziomie. I wówczas przybył do Szczecina Teatr Związku Patriotów Polskich ze Lwowa z nominacją z Ministerstwa Kultury i Sztuki. Zespół ten (nie było się naturalnie bez przykrych sytuacji) pod dyktando p. Czosnowskiego przejął teatr od dyrektora Skąpskiego, który nie zrażony tym faktem pojechał do Słupska i tam stworzył nową placówkę.

Zespół dyr. Czosnowskiego to „Komedia Muzyczna”. O tyle więc wybór dla takiego zespołu Szczecina był niebardzo fortunny, że Szczecin potrzebuje przede wszystkim teatru dramatycznego, a nie stać go na utrzymanie dwu teatrów.

P. Czosnowski wystawił ostatnio „Przeprowadzkę” K. H. Rostrowskiego, a sztuka została przychylnie przyjęta przez publiczność. Obecnie teatr wystawia „Rozkoszną dziewczynę”.

Wystawienie przez teatr „Przeprowadzki” doprowadziło do niebywale ciekawego a niespotykanego w dziejach teatru „sądu” nad tą sztuką. Pewna grupa intelektualistów wystąpiła z oskarżeniem, stwierdzającym, że sztuka Rostrowskiego w obecnych czasach nie nadaje się do wystawiania i jest niemoralną. Sąd wydał wyrok potwierdzający to stanowisko. Jednakże obrona nie zrezygnowała ze swego stanowiska i w najbliższym czasie ma się odbyć rozprawa apelacyjna, w której weźmie udział również minister Kultury i Sztuki. Pierwsza rozprawa odbyła się w obecności 2 tysięcy ludzi. Zjawisko to świadczy o dużym zainteresowaniu się publiczności szczecińskiej sprawami teatralnymi.

Obok dwu wyżej wymienionych teatrów działa tu również „STO” tj. Szczeciński Teatr Oświatowy.

KOMUNIKAT

Zawiadamy, że Zakłady nasze, prowadzone dotąd pod nazwą:

GBIORCZYK i Ska

Spółka Akcyjna Dla Budowy Ogrzewań Centralnych, Wentylacji i Urządzeń Sanitarnych prowadzimy odtąd pod zmienioną firmą i zapisaną do Rejestru Handlowego w następującym brzmieniu:

P. Z. In.

POZNAŃSKIE ZAKŁADY INSTALACYJNE

Dla Budowy Ogrzewań Centralnych, Wentylacji i Urządzeń Sanitarnych, Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością dawniej: Gbioreczyk i Ska, Sp. Akc.

POZNAŃ, ul. Kochanowskiego 7 tel. 39-46 i 14-12

Nowa Spółka przejęła wszelkie aktywa i pasywa dawniejszej Spółki Akcyjnej.

Wykonujemy, projektujemy, kosztorysujemy:

Centralne Ogrzewania wodne, parowe, pompowe i z dala czynne;

Kanalizacje Wodociągi, Gazociągi, Instalacje przeciwpożarowe, Stacje pomp i ciśnienia;

Wentylacje samoczynne, mechaniczne, Urządzenia pneumatyczne, Suszarnie;

Instalacje dla przemysłu konserw mięsnych, warzywnych, chemicznych, drzewnych;

Montaż przewodów parowych nisko i wysokoprężnych;

Pralnie mechaniczne, Kuchnie parowe, Urządzenia dla szpitali.

Spawanie autogeniczne i elektryczne. Projekt, Kosztorys, Porady na życzenie. Poszukujemy wszelkiego rodzaju materiały instalacyjne.

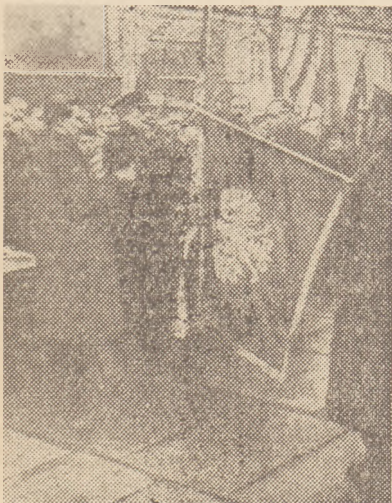
Poznań, 15 grudnia 1946 r.

P. Z. In.

POZNAŃSKIE ZAKŁADY INSTALACYJNE

Dla Budowy Ogrzewań Centralnych, Wentylacji i Urządzeń Sanitarnych Sp. z o. o.

ZARZĄD



Konradmistrz Mohuczy dekoruje sztandar Krzyżem Virtuti Militari

tualnie o godz. 8.45 przybywa przedstawiciel Marszałka Polski kontradmirał Mohuczy Adam, dowódca Marynarki Wojennej w Gdyni, który w towarzysztwie przedstawiciela Ministra Poczty i Telegrafów — podsekretarza stanu ob. mgra Pallascha Romana odbiera raport kompanii honorowej W. P. i pocztowców. Nowy sztandar wnosi do prastarej Katedry Oliwskiej 77-letni emeryt, inspektor Bellwon Michał, senior pocztowców gdańskich.

J. E. ks. dr Andrzej Wronka, Administrator Apostolski Gdański wygłosiła podniosłe przemówienie, podkreślając cnoty gdańskich pocztowców, którzy złożyli ofiarę krwi na ołtarzu Ojczyzny. Następnie dokonuje uroczystego aktu poświęcenia nowego sztandaru, Mszę świętą uświetniły pieńia kościelne chóru katedralnego i koncert słynnych organów oliwskich. Po Mszy św. na placu przed Katedrą podsekretarz stanu w Min. P. i T. ob. mgr Pallasch Roman jako przedstawiciel ministra Poczty i Telegrafów dokonał aktu wręczenia sztandaru przewodniczącemu Koła Związkowego ob. Nowakowi Antoniemu. Chorąg-

Praca i działalność Polskiego Związku Zachodniego

Polacy-autochtoni Ziem Odzyskanych wobec aktualnych zagadnień politycznych

W dniach 4 i 5 grudnia br. odbyła się w salach Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu „Konferencja Programowa Polskiego Związku Zachodniego dla spraw społecznego działania na Ziemiach Odzyskanych i dla Ziem Odzyskanych“ z udziałem działaczy Polskiego Związku Zachodniego, oraz czołowych przedstawicieli b. Związku Polaków w Niemczech, b. Gminy Polskiej w Gdańsku i polskiej ludności autochtonicznej, którzy zjechali się w liczbie 200 osób ze wszystkich stron Ziem Odzyskanych, reprezentując poglądy ogółu polskiej ludności autochtonicznej. Między innymi z ramienia b. Związku Polaków w Niemczech, b. Gminy Polskiej w Gdańsku i polskiej ludności autochtonicznej, którzy zjechali się w liczbie 200 osób ze wszystkich stron Ziem Odzyskanych, reprezentując poglądy ogółu polskiej ludności autochtonicznej. Między innymi z ramienia b. Związku Polaków w Niemczech, b. Gminy Polskiej w Gdańsku i polskiej ludności autochtonicznej, którzy zjechali się w liczbie 200 osób ze wszystkich stron Ziem Odzyskanych, reprezentując poglądy ogółu polskiej ludności autochtonicznej.

Na plenum Konferencji w pierwszym dniu obrad dłuższe referaty wygłosili ob. dr Czesław Piliński — dyrektor Zarządu Głównego P. Z. Z. n. t. „Cele i zadania Konferencji Programowej P. Z. Z.“, oraz ob. poseł J. Dubiel n. t. „P. Z. Z. wobec nowej rzeczywistości polskiej“ Po plenum Konferencji zebrani obradowali w komisjach, celem zreferowania, przedyskutowania i ujęcia we wnioski poszczególnych zagadnień. W dziale „sprawy społecznego działania P. Z. Z. na Ziemiach Odzyskanych“ obradowało 6 komisji, a mianowicie: polityczna, społeczna, narodowościowa, ekonomiczna, oświatowo-kulturalna, młodzieżowa, i reemigracyjna, oraz w dziale: „Sprawy społecznego działania P. Z. Z. dla Ziem Odzyskanych i na Ziemiach Odzyskanych“ 4 komisje, a mianowicie: organizacyjna, finansowo-gospodarcza, propagandowo-wydawnicza oraz niemożnościowa i dokumentacyjna.

W drugim dniu obrad odbyło się zebranie wszystkich przedstawicieli polskiej ludności autochtonicznej z Ziem Odzyskanych, na którym nastąpiło organiczne zespolenie dawnego Związku Polaków w Niemczech i b. Gminy Polskiej w Gdańsku z Polskim Związkiem Zachodnim przez uzgodnienie z władzami P. Z. Z. dokończenie do Zarządu Głównego P. Z. Z. 8-miu działaczy b. Związku Polaków w Niemczech. Większością głosów wybrani zostali ob. ob. prof. Bnkowski, dr Nantke-Namirski, Śruba, dyr. Pietrzak-Pawłowski, poseł Baczewski, wicewojewoda Thomas, prof. Czerwiński i dyr. Mallek.

Rozpatrując aktualną sytuację polityczną w związku ze zbliżającymi się wyborami, zgromadzeni działacze powzięli następującą uchwałę:

Konferencja przedstawicieli ludności autochtonicznej Ziem Odzyskanych, oraz działaczy b. Związku Polaków w Niemczech b. Gminy Polskiej w Gdańsku, stwierdza, że zwycięstwo polityki demokracji polskiej, w szczególności zaś zawarcie sojuszu polsko-radzieckiego umożliwiło realizację celów wysuwanych od 25 lat przez Polski Związek Zachodni i polską ludność autochtoniczną Ziem Odzyskanych, a mianowicie: oparcie granicy Polski zachodniej na Odrze, Nisie Łużyckiej i Bałtyku

oraz powrót do Ojczyzny po wiekach niewoli polskiej ludności autochtonicznej.

Stojąc na stanowisku, że utrwalenie władzy demokratycznej w Polsce stanowi najpewniejszą gwarancję utrzymania po wieczne czasy naszej granicy zachodniej, Konferencja wzywa ogół polskiej ludności autochtonicznej na Ziemiach Odzyskanych do głosowania w nadchodzących wyborach na listę Bloku Stronnictw Demokratycznych.

Jednocześnie Konferencja zwraca się do Bloku Stronnictw Demokratycznych o zagwarantowanie polskiej ludności autochtonicznej odpowiedniej liczby mandatów w Sejmie Rzeczypospolitej oraz realizację w tymże Sejmie postulatów polskiej ludności autochtonicznej, zmierzających do ścisłego zespolenia tejże ludności z całym Narodem Polskim.

Po obradach przedstawicieli ludności autochtonicznej z Z. O., nastąpiło na plenum Konferencji odczytanie wniosków wypracowanych na poszczególnych Komisjach. Łącznie ponad 300 wysuniętych dezyderatów objęło całość spraw, związanych z sytuacją i potrzebami Ziem Odzyskanych i zamieszkałej tam ludności, w pierwszym rzędzie rzesz Polaków-autochtonów.

Po południu odbyła się jeszcze Konferencja Zarządu Głównego przesyłowa Zarządów Okręgowych,

O pomoc dla Słowińców

Na terenie dwu gmin Gardno i Głowczyna na Pomorzu Zachodnim znajduje się jeszcze dość poważna ilość Słowińców. Noszą oni wszyscy czyste polskie nazwiska jak Jakubniak, Wróbel, Kamiński, Gałeczki, Zieliński, Gajl itp. Najczęściej spotykane jednakże nazwiska słowińskie to Kirk, Pajk i Klik. Słowińcy ci zajmują się po większej części rybactwem. Ich stan materialny jest w tej chwili jednakże ciężki, ponieważ brak im odpowiednich narzędzi, taboru i przyborów do wykonywania swych zajęć.

Władze wydały ostatnio zarządzenie powstrzymujące akcję wysiedleńczą na terenie wsi zamieszkałych przez ludność słowińską. Starania w tym kierunku czynił Polski Związek Zachodni w myśl postanowień ostatniego kongresu autochtonów w Warszawie.

Świetlica w Szczecinie

Polski Związek Zachodni w Szczecinie przystąpił do zorganizowania własnej świetlicy, w której odbywać się mogło życie kulturalne i naukowe członków organizacji. Świetlica wyposażona będzie w bogatą bibliotekę, czytelną prasę i czasopisma itd. Biblioteka jest już czynna i wszyscy członkowie PZZ mogą z niej korzystać.

Dyrekcji oraz kierowników Okręgów P. Z. Z., na której powzięto analogiczną uchwałę w sprawie wyborów, jak ta, którą sformułowali przedstawiciele ludności autochtonicznej z Ziem Odzyskanych. Wezwano członków P. Z. Z. i wszystkich, którzy stoją na gruncie programu zachodniego demokratycznego Państwa Polskiego do głosowania w nadchodzących wyborach na listę Bloku Stronnictw Demokratycznych.

P. Z. Z. w Kielcach gościł prof. dr R. Pollaka z Poznania

Z okazji srebrnego jubileuszu pracy PZZ, zorganizował Okręg Kielceki uroczystość ku czci męczenników polskich z okresu okupacji niemieckiej, oraz dwa odczyty, które wygłosił znakomity znawca kultury polskiej, prof. dr Roman Pollak z Poznania w Domu Kultury w Kielcach.

Zarówno osoba prelegenta, jak i tematy odczytów, zelektryzowały nie tylko młodzież kilkunastu szkół średnich w Kielcach, ale i szerokie koła miejscowej inteligencji. Dowodem tego była szczerze wypełniona, wielka sala odczytowa Domu Kultury. Skupienie słuchaczy i żywiołowe oklaski były wyrazem wdzięczności za piękno i głębię żywego słowa, którym prof. Pollak włada po mistrzowsku. Kielce przeżyły dzięki wybitnemu profesorowi poznańskiego uniwersytetu niezapomniane chwile.

Poniżej podajemy wrażenia bezpośrednio po odczycie prof. Pollaka nt. „Polskość Śląska“ spisane przez jednego z uczniów Pryw. Męskiego Liceum i Gimnazjum im. św. Stanisława Kostki w Kielcach, szkoły, która interesuje się żywo zagadnieniem Ziem Odzyskanych i współpracującej z okresem PZZ w Kielcach. Szkołę tę — w drugim dniu swego pobytu w Kielcach zaszczylił swymi odwiedzinami prof. dr R. Pollak (na zdjęciu po lewej stronie w towarzystwie dyr. Stanisława Dobrzyckiego i prof. Stefana Sobańskiego).

CO WYNIOSŁEM Z ODCZYTU PROF. POLLAKA?

Gdybym chciał powiedzieć krótko, jednym zdaniem, jednym słowem, jakie wrażenia przyniosł, jak i o ile zmienił lub rozszerzył swój pogląd na Śląsk prof. Pollak, musiałbym się dobrze zastanowić. Ale uważam, że najlepszym określeniem byłoby: skrytalizował.

Na wstępie słusznie zaznaczył prof. Pollak: Śląsk jest ziemią nieznaną. O Śląsku slyszalem dużo, dużo wiem o nim z propagandy — i może dlatego prawda o Śląsku była dla mnie niepewną, daleką. Poza tym byłam na Śląsku, i znów: wyjechałam zrażony. Nie umiałem zanieść tej polskości dawnej piastowskiej, a widziałem nową, sztuczną polskości, która mnie raczej bolała, niż cieszyła. Dlatego zniechęciłem się. Gdy patrzyłem na żywe pola dolnośląskie — złote od wybijających, wielkich ostów, na biały puch, który leciał nadal polami i domami zdawało mi się, że ten puch ostów mówi po niemiecku, że grozi. Gdy patrzyłem na czarny, spalony Wrocław, na zdruzgotane katedry, na zieloną wodę w kanałach, czułem się jak wy-

rzycony przez obcą falę na obcy brzeg. I pierwszy zapalił we mnie iskrę zrozumienia, pierwszy jakby odwrócił stronicę w moich myślach — odczyt prof. Pollaka. Wtedy wystarczył jeden, prędki rzut myśli — aby dowiedzieć się, jak patrzy na Śląsk. Potem, wyrażając się przenośnią Prelegenta, zacząłem płynąć za

do XVIII w. „Ingłota, „Znaczenie portów Bałtyckich dla Polski“ Stopycka, „Polskie wody terytorialne“ Makowskiego, „Szkic dziejów nowych ziem w związku z Polską“ Batowskiego, „Ogólny zarys historii osadnictwa niemieckiego na zachodnich ziemiach Polski“ Bujaka, „W rocznicę kapitulacji Niemiec“ Wojciechowski, „Polska na starym dziejowym szlaku“ Serwańskiego, „Niemcy na szlakach odbudowy“ Klafkowskiego, „Możliwości gospodarcze nowej Polski“ Kolipińskiego, „Ziemia Odzyskana i Odzyskany Ludzie“ Męclewski, „Akcja kulturalna na Ziemiach Odzyskanych“ Rogalskiego, „O społeczeństwo polskie na Ziemiach Odzyskanych“ Serwańskiego, „Rola Ziem Zachodnich w polskiej kulturze“ Pollaka, „Odzyskane Ziemi — Odzyskany Ludzie“ praca zbiorowa, „Były i będą nasze“ Kraszewskiego, „Łużycom Walność“ praca zbiorowa, „Niemcy rozgromione?“ Danielewski, Kolipińskiego i Rogalskiego, „Śląsk w okresie okupacji“ Targa, „Z biegiem Odry“ Czekańskiej, „Odra szumi po polsku“ Gołińskiego i Fenikowskiego, „Dr Marcin“ Jakóbczyka, „Śląsk wierny Ojczyźnie“ Bednorza, „Dulag 121 — Pruszków“ Serwańskiego, „Miasta niemieckie dzisiaj“ Peregrinusa, „Tęsknota za mieczem“, „Wielkie dni małej floty“ Pertka, „Krzyżacka konspiracja“, „Śląsk w zarysach dziejów“.

Prof. dr Roman Pollak z Poznania w Kielcach



Prof. dr Roman Pollak z Poznania w Kielcach

jego słowami wzdłuż Wisły przez historię Polski — i Śląska. Wiadomości historyczne, na ogół znane i popularne, w sumie związane w szereg wrażeń, porównań, twierdzeń, chronologicznie złączonych w jedno: w klucz do myśli: po takich prześladowaniach: polskość Śląska! Po oderwaniu pięćsetletnim, po germanizacji, po zapomnieniu przez państwo polskie i jego politykę, po rozbiorach, po XIX w., wieku Bismarcka w Niemczech, po faszyzmie, po wojnie... Po tym wszystkim znajdujemy polskość Śląska: historyczną i żywą ludźmi. Polskość historyczna przez Henryka Brodatego, Psalterz Floriański, przez Śląsk — schronienie dla Polaków zza Odry i Olzy, przez powstania Śląskie. Polskość, jak powiedział prof. Pollak, ukryta, schowana pod ziemią.

I polskość żywa, nieśmiała, przygluszone, kańciasta, polskość, która jest największym kapitałem Śląska... Polskość, której nie potrafiliśmy ocenić, której nie umiałem wygrzebać.

Teraz wiem, co o Śląsku myśleć, wiem, że dla Śląska to czas Nowy, Nowej Polski, opartej o Zachód — Wisły Śmiałej.

Jeszcze raz pojedzie na Śląsk. Pojedzie z innym nastrojem, nastawieniem — i gdy będzie potrzeba sięgnie do swojego poglądu na polskość Śląska, skrytalizowaną przez prof. Pollaka.

Krzysztof Kąkolewski
uczeń kl. I lic.

Wydawnictwa P. Z. Z. w roku 1946

Kalendarzyk

najważniejszych imprez Polskiego Związku Zachodniego w 1946 r.

Marzec: Konferencja organizacyjno-programowa Zarządu Głównego i Kierowników Okręgów P. Z. Z.

Kwiecień: 3 — 10 „Tydzień Polskiego Związku Zachodniego“ w Okręgu Bydgoskim.

Maj: 2 — 9 „Tydzień Ziem Odzyskanych“ w skali ogólnopolskiej i powstanie „Funduszu Społecznego dla Ziem Odzyskanych.“

Czerwiec: Ogólnopolska konferencja P. Z. Z.

Lipiec: dn. 14 „Dni Grunwaldu“ w skali ogólnopolskiej.

Wrzesień: Uroczystości wrześniowe organizowane przez Okręgi Obwody i Koła P. Z. Z.

„Tydzień Obrońców Gdańska“ w Okręgu Gdańskim w Sopocie.

Dn. 21 — 22 „Zjazd Polaków Autochtonów i członków b. Związku Polaków w Niemczech z Woj. Szczecińskiego“ w Szczecinie.

Październik: dn. 5 — 6 Zjazd Polaków Autochtonów Ziemi Lubuskiej w Babimście, zorganizowany przez Okręg Poznański.

Dn. 5 — 6 Zarząd Główny P. Z. Z. organizuje „Zjazd Łużycoznawczy“ w Poznaniu.

Dn. 20 „Zjazd Polaków Autochtonów Województwa Gdańskiego“ urządzony staraniem Okręgu Gdańskiego.

Dn. 27 „Zjazd Warmiaków, Mazurów i Powiślan“ w Olsztynie organizuje Okręg Mazurski.

Tydzień Ziem Śląskich w Okręgu Śląsko-Dąbrowskim, Lokalne uroczystości z okazji 25-lecia P. Z. Z. w Okręgach, Obwodach i Kołach.

Listopad: dn. 9 — 10. W 25-lecie P. Z. Z. odbywa się wielki „Kongres Polaków Autochtonów, działaczy byłego Związku Polaków w Niemczech i działaczy Polskiego Związku Zachodniego“ w Warszawie.

Dalsze lokalne uroczystości z związku z 25-leciem P. Z. Z.

Grudzień: dn. 4 — 5. Konferencja programowa Polskiego Związku Zachodniego w Poznaniu w sprawie społecznego działania na Ziemiach Odzyskanych i dla Ziem Odzyskanych, zwołana przez Zarząd Główny.

Uwaga! Niech każdy przeczyta i powie dalej

Każdy członek PZZ — czytelnikiem „Polski Zachodniej“. Pod tym hasłem wzywamy wszystkie okręgi, obwody i koła do intensywnej kampanii werbunkowej na rzecz naszego pisma. W roku 1947 „Polska Zachodnia“ musi osiągnąć największy nakład ze wszystkich pism polskich. Okręgi, obwody i koła, które w ciągu stycznia i lutego zdobędą największą ilość prenumeratorów, będą specjalnie premiiowane. Jednocześnie nam sympatyków i czytelników wśród organizacji, stowarzyszeń i związków zawodowych. Zakładajcie wszędzie agentury i miejsca sprzedaży naszego pisma. „Polska Zachodnia“ musi dotrzeć wszędzie na czas. Tam,

gdzie pismo otrzymujecie nieregularnie lub z opóźnieniem, należy natychmiast reklamować w miejscowych urzędach lub agencjach pocztowych. Jeśli i to nie odniesie skutku, prosimy nas bezwzględnie o tym powiadomić.

Żądajcie „Polski Zachodniej“ w świetlicach, Domach Społecznych, bibliotekach, w księgarniach i kioskach, w kawiarniach, restauracjach, u fryzjerów i w poczekalniach u lekarzy, dentystów, adwokatów.

Przy zakupach i sprzedażach popierajcie tylko te firmy, które ogłaszają się na łamach „Polski Zachodniej“, bo czynią one to nie tylko z punktu widzenia swych potrzeb handlowych, lecz także

w zrozumieniu doniosłej roli społecznej, jaką spełnia w Polsce PZZ.

Umieszczajcie „Polskę Zachodnią“ na tablicach, w gablotkach ulicznych, w witrynach wystawowych. W każdym numerze naszego pisma znajdziecie artykuły, który zwróci uwagę przechodnia. Pamiętajcie, że „Polska Zachodnia“ jest najlepszą gazetą ścienną.

Na zebraniach dyskutujcie sprawy i zagadnienia, omawiane w artykułach „Polski Zachodniej“. Piszcie do nas o wszystkim, co Was raduje i smuci, co Was gnębi i boli.

„Polska Zachodnia“ jest powiernikiem i przyjacielem każdego PZZ-towca.

§ PARAGRAF: obywatel §

O przysposobieniu (adopcji)

W trybie unifikacji prawa polskiego ustawodawca uregulował jednolicie przepisy w sprawie przysposobienia (adopcji).

Nowe przepisy zawarte są w dekreście o prawie rodzinnym z dnia 22 stycznia 1946 r. (Dz. Ust. nr 6, poz. 52).

Ze względu na doniosłe znaczenie nowego prawa o przysposobieniu, należy zapoznać się z jego najważniejszymi przepisami:

Do przysposobienia wymagane jest zgodne oświadczenie stron przed notariuszem i zatwierdzenie aktu przez władzę opiekuńczą. Jeżeli osoba, która ma być przysposobiona, nie ma pełnej zdolności do działań prawnych, akt przysposobienia może być zawarty przed władzą opiekuńczą.

Na wstępie zapytamy, kogo można przysposobić?

Zarówno według prawa dotychczasowego, jak i nowego, przysposobić można osobę małoletnią, pełnoletnią, stanu wolnego lub małżonka. W imieniu małoletniego, który nie ukończył 14-tego roku życia oraz w imieniu ubezwłasnowolnionego całkowicie, oświadczenie składa ich przedstawiciel ustawowy, tj. ojciec, matka, wgl. opiekun, wgl. kurator. Jednakże małoletni, który ukończył 14-ty rok życia oraz częściowo ubezwłasnowolniony składa oświadczenia sam za zgodą swego przedstawiciela ustawowego. Nadto w wypadkach omówionych wymagane jest zezwolenie władzy opiekuńczej.

Osoba, która ukończyła 18-ty rok życia, jest pełnoletnią, nadto małoletni zostaje pełnoletnim przez zawarcie związku małżeńskiego.

Przysposobienie małżonka wymaga zgody współmałżonka. Zgody tej nie wymaga się, jeżeli współmałżonek nie pozostaje w wspólności małżeńskiej lub nie ma pełnej zdolności do działania.

Drugie pytanie: Kto może przysposobić?

Prawo reguluje sprawę w ten sposób, że przysposobić może zarówno mężczyzna jak i kobieta, mając pełną zdolność do działań prawnych i ukończonych lat 35. Nadto przysposabiający winien być przynajmniej o 15 lat starszy od przysposobionego.

Wyjątkowo przysposobić może osoba, która ukończyła lat 25, lecz jedynie małoletniego, którego wychowała

i utrzymywała co najmniej przez trzy lata.

Okoliczność, że przysposabiający względnie małżonkowie mają już własne dzieci, nie jest przeszkodą do przysposobienia.

Małżonkowie mogą przysposobić wspólnie. Jeżeli natomiast przysposabiającym jest tylko jeden z małżonków, natenczas powinien uzyskać zgodę swego współmałżonka. Zgody tej nie wymaga się, jeżeli współmałżonek nie pozostaje we wspólności małżeńskiej lub nie ma pełnej zdolności do działań.

Skutki przysposobienia są następujące:

Z chwilą zatwierdzenia aktu przysposobienia przez władzę opiekuńczą przysposobienie ma moc prawną od chwili zawarcia aktu. Skuteczności aktu przysposobienia nie tamuje śmierć przysposabiającego przed zatwierdzeniem. Jeżeli natomiast przedtem umrze przysposobiony, zatwierdzenie nastąpić nie może.

Poza przysposobieniem wspólnym przez małżonków, można być przysposobionym tylko przez jedną osobę.

Przysposobiony uzyskuje nazwisko przysposabiającego i prawo dziedziczenia po nim. Jednakże strony mogą umówić się, że nazwisko przysposabiającego dodaje się do nazwiska przysposobionego, jeżeli jest odmienne.

Strony mogą również wyłączyć prawo dziedziczenia przysposobionego.

W razie przysposobienia mężatki lub wdowy, nazwisko przysposabiającego dodaje się do jej nazwiska rodzowego, co nie wpływa na jej nazwisko mężowskie.

Wreszcie wyżej wymienione skutki przysposobienia rozciągają się także na dzieci przysposobionego, jeżeli pozostają pod jego władzą rodzicielską, a co do nazwiska także na jego żonę, jeżeli wyraziła zgodę na przysposobienie.

Przysposobiony nie przestaje być członkiem swej rodziny, jednak prawa i obowiązki rodzicielskie przechodzą z jego rodziców na przysposabiającego. Strony mogą się umówić, że przysposabiający nie ma prawa pobierania pożytków z majątku przysposobionego.

W spólnym porozumieniu, strony mogą stosunek przysposobienia roz-

wiązać, przy czym stosuje się odpowiednio przepisy o ustanowieniu. Śmierć któregośkolwiek ze strony nie tamuje jednak zatwierdzenia aktu rozwiązania. W drodze powództwa zarówno przysposabiający jak i przysposobiony może żądać rozwiązania stosunku przysposobienia z ważnych powodów.

Według przepisów wprowadzających prawo rodzinne skutki aktu przysposobienia, który uzyskał moc przed dniem wejścia w życie prawa rodzinnego, ocenia się według prawa dotychczasowego. Strony mogą jednak przez zgodne oświadczenie dostosować skutki powyższe do przepisów prawa rodzinnego przy zachowaniu przepisów tegoż prawa o ustanowieniu stosunku przysposobienia.

Do czasu jednolitego uregulowania prawa spadkowego

1. przysposobiony dziedziczy po przysposabiającym narówni z dzieckiem z małżeństwa, jeżeli w akcie przysposobienia nie postanowiono inaczej,
2. przysposobiony nie ma praw spadkowych w stosunku do rodziny przysposabiającego i zachowuje prawa spadkowe w stosunku do swojej rodziny,

3. przysposabiający nie ma praw spadkowych w stosunku do przysposobionego.

Władzą opiekuńczą jest Sąd Grodzki. Postanowienie Sądu w przedmiocie zatwierdzenia aktu przysposobienia staje się skuteczne dopiero po uprawomocnieniu się. Sąd nie pobiera żadnych opłat, jeżeli akt przysposobienia lub zatwierdzenia dotyczy osoby, nie mającej pełnej zdolności do działań prawnych, zresztą opłata sądowa wynosi 3.000,— zł.

Po uprawomocnieniu się postanowienia Sądu nastąpi sprostowanie dokumentu urodzenia przez Urząd Stanu Cywilnego.

W końcu należy stwierdzić, że przez przysposobienie nabywa się obywatelstwo polskie, lecz jedynie wtedy, jeżeli osoba przysposobiona liczy nie więcej niż lat 18.

Nowe przepisy o przysposobieniu obowiązują już od 1 lipca roku bieżącego.

Ponieważ powszechnie mówi się o adopcji, przeto należy jeszcze wyjaśnić, że przysposabiającym jest ten, kto adoptuje, a przysposobionym jest osoba adoptowana. Ze-Te

Odpowiedzi

Lokatorka z Gorzowa. — Podatek lokalowy winna Pani płacić w wysokości 25% czynszu, a to dlatego, że Pani jest urzędniczką P. K. P. (zatem zatrudniona w służbie publicznej). Normalny wymiar podatku wynosi 100% czynszu, a tylko dla osób, zatrudnionych w służbie publicznej, jest obniżony na rok 1946 do 25%.

P Nowak — Poznań. — Mieszkania nie może Pan wypowiedzieć, jednakże

Wystawa: „Książka Ziemi Odzyskanych“

Dla rozwinięcia czytelnictwa na Ziemiach Odzyskanych, zrobiono dotąd jeszcze bardzo niewiele. Książka polska jest dla osadników na terenach włączonych do Polski rzeczą bardzo pożądaną i rzadką. Ubogie są biblioteki publiczne, ubogie księgozbiory prywatne. Akcja wydawania książek przeznaczonych specjalnie dla bibliotek na Ziemiach Odzyskanych, a więc książek tanich i o wartościowej treści, powinna stać się jednym z najważniejszych i najpilniejszych zadań kulturalnych w pracy dla Ziemi Odzyskanych.

Równie ważne i pilne zadanie stanowi wydawanie książek o Ziemiach Odzyskanych. Popularyzacja zagadnień zachodnich w społeczeństwie całej Polski jest sprawą o doniosłości państwowej.

Aby dać przegląd dokonania na polu wydawnictw książkowych zarówno „dla”, jak i „o” Ziemiach Zachodnich, a przy okazji tego przeglądu

zintensyfikować pracę na tych odcinkach, Zachodni Komitet Dziennikarski inicjuje wystawę pod nazwą „Książka Ziemi Odzyskanych”. Wystawa odbędzie się jednocześnie w 10 największych miastach Polski w jednakowym układzie ekspozycji. W wystawie mogą wziąć udział wszystkie instytucje i firmy wydawnicze, które w swoim dorobku mają —

1. książki wydane dla Ziemi Odzyskanych,
2. książki poświęcone zagadnieniom Ziemi Odzyskanych,
3. książki niemocznawcze (Niemcy dzisiejsze, okupacja, dzieje Niemiec),
4. mapy, afisze, fotografie dotyczące zagadnień zachodnich.

Termin wystawy projektowany jest na styczeń 1947 r. Wszelkich informacji udziela — Wydział Wykonawczy Zachodniego Komitetu Dziennikarzy — Poznań, Chełmońskiego 1,

wobec codziennych awantur i gorszących scen, wywołanych przez lokatora, może Pan wnieść pozew o eksmisję pana X. Dekret o publicznej gospodarce lokalami i kontrolę najmu z dnia 21/12 45 (Dz. U. R. P. Nr 4 poz. 27) nie wykluczył w tym wypadku drogi sądowej (Ust. 40 cyt. dekretu).

Emerytka K. L., Piła. — Odpowiedź j. w., gdyż pobiera Pan zaopatrzenie emerytalne z funduszy publicznych.

P. Wojciech K., Koszalin. — Ponieważ Pan po przyjęciu V. D. wstąpił dobrowolnie w okresie okupacji niemieckiej w Polsce do Wojska Polskiego, zatem na zasadzie wprowadzonego niedawno w życie dekretu z dnia 28. 6. 46 r. o odpowiedzialności karnej za odstępowo od narodowości w czasie wojny 1939—1945 r. (Dz. U. R. P. Nr 41, poz. 237) ma Pan pełnię praw obywatelskich i nie podlega karze.

Czytelnik „Polski Zachodniej”, Poznań. — Jak z listu Pana wynika, jest Pan głównym lokatorem, a pan X, aczkolwiek ma przydział z Komisji Mieszkaniowej, jest u Pana sublokatorem. Czynsz zatem winien X uiszczać Panu, Właściciel domu słuszenie postępuje, że nie przyjmuje pieniędzy od p. X. Wobec tego, że pan X zalega Panu już z zaplaceniem czynszu za 3 miesiące, może Pan wnieść do Sądu o eksmisję p. X. Tej drogi dekret o publicznej gospodarce lokalami nie wykluczył. Ze swojej strony nadmieniam jednakże, że w razie orzeczenia przez Sąd eksmisji, będzie Pan musiał wskazać panu X jakiś lokal, dokąd go komornik mógłby wyeksmitować. Eksmitować na podwórze nie wolno.

P. S. N., Kępno. — Obszar woj. kępińskiego został przez wojewodę poznańskiego uznany za teren, gdzie stosowano powszechny przymus ze strony okupanta. Zatem Pani otrzymała rehabilitację tzw. administracyjną a nie sądową. Złożona przez Panią deklaracja wierności zastępuje rehabilitację postawioną Sądowi. W myśl uwagi dekretu z dnia 28. VI. 46 r. nie będzie Pani na nowo pociągana do odpowiedzialności karnej, chyba, że wyjdą na jaw nowe okoliczności przed tym nieznanne, a obciążające Panią.

St Siebert — Poznań. — Nowy dekret nie mówi o Leistungs-Pole. Wszyscy L. P. mają pełnię praw obywatelskich. Jeśli pan W. nie złożył w swoim czasie deklaracji wierności, chociaż był L. P., to nie może być pociągany obecnie do odpowiedzialności karnej, skoro nowy dekret z dnia 28. VI. 46 r. nie zakwalifikował podpisywania wniosku na L. P. jako przestępstwa.

Centrala Handlowa Przemysłu Elektrotechnicznego

Dyrekcja Warszawa, Puławska 29 — tel. 885-99

dostarcza

wszelkich artykułów elektrotechnicznych, produkowanych przez Fabryki podległe Centr. Zarząd. Przemysłu Elektrotechnicznego

Sprzedaj hurtowa

dla instytucji Państwowych — Przemysłu, zalegalizowanych instalatorów i kupców

odbywa się za pośrednictwem ODDZIAŁU w POZNANIU Wielka 21 — Telefon 38-09

60

J. BARSZCZ

WYTWÓRNIĄ SOKÓW

POLECA PIERWSZORZĘDNEJ JAKOŚCI

SOKI OWOCOWE NA BIAŁYM CUKRZE DO WÓDEK I BUDYNI

38

POZNAŃ, FOCHA 28 TELEFON 7153, 7152

WAGI

uchylnie tzw. automatyczne, precyzyjne dla przemysłu i handlu oraz odważniki poleca i kupuje

J. FIGIŃSKI
Poznań, ul. Fredry 1 tel. 25-55

Remont Justage — przebudowa

29

Łożyska kulkowe i rolkowe wszelkich typów i rozmiarów

w każdej ilości skupuje

Centrala Łożysk Kulkowych

Poznań, Franciszka Ratajczaka 15 pod klnem Apollo

25

W związku ze zbliżającym się nowym rokiem gospodarczym

prosimy już dzisiaj zaopatrzyć się w potrzebne druki i artykuły pomocnicze do księgowości przebitkowej. W okresie przejściowym tj. w styczniu nie możemy ręczyć za absolutnie odwrotną dostawę.

„Perfecta”

Księgowość Przebitkowa

Centrala: Poznań — 27 Grudnia 19

Telefon 26-80

Asortyment: 137 druków

46

Wszystkim gościom i sympatykom mego lokalu składam serdeczne życzenia

Zdrowych i Wesółych Świąt oraz

Dosiego Roku! Cukiernia i Kawiarnia M. Stefański

Poznań, ul. 27 Grudnia nr 1

57

Wszystkim Szanownym Klientom oraz Kupcom składam życzenia

Zdrowych i Wesółych Świąt oraz

Dosiego Roku! Kwaszarnia kapusty i ogórków M. Jabłoński

Poznań, Stawna nr 6 - Tel. 12-92

50

KAWĘ ZIARNISTĄ, skórkę pomarańczową i cukry — poleca

G. CZYŻ

Poznań, Św. Marcina 8

FABRYKA ODZIEŻY Meskiej i Chłopięcej

Z. Bogajewski

Poznań, Stary Rynek 77, tel. 10-93 wejście z ul. Sieroczej

SPRZEDAŻ HURTOWA

Polecamy: palta, kurtki, ubranie, spodnie, odzież chłopięcą

41

Wszystkim gościom i sympatykom mego lokalu składam serdeczne życzenia

Wesółych Świąt i Dosiego Roku

Restauracja Kujawianka

POZNAŃ, UL. FREDRY 3

TEL. 35-24 TEL. 35-24

74

Zdrowych i Wesółych Świąt oraz Dosiego Roku

swym odbiorcom i dostawcom zasyła firma

IZYDOR GÓRCZYK

WYTWÓRNIĄ CUKRÓW I CZEROLADY

Poznań, Wroniecka 13 Tel. 37-18

33

**PAPIERY
KARTONY
TEKTURY
PRZETWORY PAPIEROWE**

polecają:

**Składy Papieru i Tektury
STANISŁAW DOLEWSKI**
Spółka Komandytowa

CENTRALA: Poznań, ul. Przemysłowa 25, tel. 48-80 i 46-91
Sprzedaż drobnicowa: ul. Kantaka 5, tel. 23-01
ODZIAŁY: Warszawa, ul. Lwowska 17, tel. 870-90
Łódź, ul. Piotrkowska 108, tel. 214-85
Sprzedaż detaliczna: ul. Piotrkowska 42 tel. 210-07

Wszystkim gościom i sympatykom naszego lokalu
składamy serdeczne życzenia

Wesołych Świąt i Dosiego Roku

MOULIN ROUGE
PRZEDSIĘBIORSTWO GASTR. ROZRYWKOWE
Poznań, ul. Kantaka 7/8 — Tel. 39-26

W O R K I

Sienniki
Płachty nieprzemakalne na wozy
Pokrowce nieprzemakalne na samochody ciężarowe
Ubrania robocze ochronne (brezentowe)
Fartuchy robocze nieprzemakalne
Rękawice robocze ochronne
Derki na konie
Taśmy jutową do izolacji rur (bandaż jutowy) oraz wszelkie inne wyroby jutowe i brezentowe
poleca **POZNAŃSKA FABRYKA WORKÓW PLANDER I WYROBÓW JUTOWYCH** POZNAŃ, ul. Przemysłowa 33

Składnica drewna w Poznaniu
przy Wałach Jagiełły 6
Telefon 39-52

Zakupimy drewno iglaste i liściaste
Prosimy o oferty

Pasty do obuwia

w kolorach: czarny, brąz, wiśniowy, ciemno-brązowy oraz biały

Zaprawy do podłóg

w kolorach: machoniowa tarbująco oraz bezbarwna

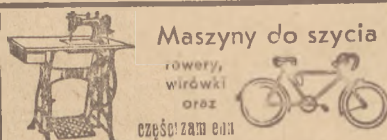
znane, cenione poleca:

Fabryka Techniczno-Chemiczna
„KREMALIN”
Dydgoszcz, Boclanowo 25, tel. 31-6

*Zdrowych
Wesołych Świąt
i Dosiego Roku*

życzy wszystkim gościom i sympatykom mego lokalu

Cukiernia i Bawiarnia
Zdzisław Łajp
Poznań Stary Rynek 71/72



Maszyny do szycia
rowery,
wirówki
ORAZ
części zamienne

W. Buchwald
Poznań, ul. Ratajczaka 35

Centrala Lamp Radiowych
POZNAŃ, ŚW. MARCIN 5
2 piętro, front, tel. 37-79
kupuje wszelkie lampy radiowe

WYTWORNIA MASZYN MIŁYŃSKICH
Leon Binder

Poznań, ul. Strzałowa 2
Tel. 42-85 Tel. 42-85
Budowa młynów, śpichrzów, siłosów, maszyn młyńskich, maszyn do wyrobu kasz jęczmiennych, śrutowniki uniwersalne i gospodarce. Rowkowanie walców młyńskich. — Poleca artykuły młyńskie jak: gazę jedwabną, gurdy elewatorowe, bawełniane i konopne, siatki metalowe oraz materiały do wylewania kamieni.

**Najnowsze fasony
kapeluszy damskich**
bieliznę damską oraz galanterię najkorzystniej kupisz w firmie „Hala” św. Marcin 79



Państwowa Centrala Handlowa

Oddział Wojewódzki w Poznaniu, św. Marcin 65
Tel. 35-18 44-65 Adres telegraficzny „Pececha”

Oddziały: Gniezno, Gorzów, Kalisz, Ostrów, Zielona Góra,
Agentury: Jarocin, Gubin, Konin, Krotoszyn, Leszno,
Międzychód, Września, Żnin.

Poleca: po cenach ściśle hurtowych cukier, sól, makarony, cukierki, zapalki, soki owocowe, wina, kawa ziarnista kosmetyki, tekstylia emalie, art. techniczne, wyroby żelazne, worki jutowe 100 kg

Kupuje: zboża, przetwory, nasiona strączkowe, pasze, ziemniaki, warzywa

Zaopatruje: Kupców, Konsumy fabryczne, Związki Zawodowe, Zrzeszenia Pracowników Instytucji Państwowych i Samorządowych

MILĄ NIESPODZIANKĄ

będzie każdy
PODAREK GWIAZDKOWY
w modnych
ARTYKUŁACH MĘSKICH I DAMSKICH
kupionych korzystnie w firmie

The Gentleman

właśc.: Stefan Schaefer i Synowie
Poznań, Paderewskiego 1 (dawn. Nowa)

WSZYSTKIM KONSUMENTOM ORAZ KUPCOM
SKŁADAM

Życzenia Gwiazdkowe oraz Dosiego Roku
FIRMA J. BARSZCZ
WYTWORNIA SOKÓW OWOCOWYCH, HANDEL WIN
POZNAŃ, ULICA MARSZAŁKA FOCHA 28 TELEFON: 7153 7152

RADIO-ODBIORNIKI

baterijne, sieciowe, lampy, anodówki, akumulatory, głośniki, wzmacniacze, sprzęt radioelektrotechniczny poleca i kupuje

Fa „KONTAKT”
Poznań, Szkolna 13 Tel. 10-01 22

Wszystkim gościom i sympatykom naszego lokalu składamy życzenia

*Wesołych Świąt
i Dosiego Roku!*
„BAGATELA”
Restauracja — Dancing
Poznań, Plac Wolności 5
Telefon 36-87

Dom Radiowy - Z. Kolasa
Poznań, św. Marcin 45 a, tel. 39-56

poleca:
Radioaparaty sieciowe-baterijne, akumulatory — anody — żarówki płyty gramofonowe

Zakup i sprzedaż części i lamp radiowych
Warsztat napraw

Wszystkim odbiorcom i dostawcom składam
życzenia

*gwiazdkowe
i Dosiego Roku!*
Hurtownia Towarów Krótkich
Bielizny i Galanterii
Bronisław Janda
Poznań, ul. Wielka nr 19

Wszelkie biurowe

Zakup Sprzedaż
MARIAN BESSERT
Poznań, Plac Wolności 2 obok PKO

HURTOWNIA

galanterii drogerijnej, kosmetyków, perfumerii, szczotek i pędzli
C. A. D. A. M.
Poznań, pl. Wolności 9 - tel. 99-50

W E Ł N E owczą stałe kupuje i wymienia na włóczkę szydełkową i maszynową w różnych kolorach, także za pośrednictwem poczty.

WEŁNA

Crestaw Biatecki

Poznań, ul. Roosevelta 19, tel. 70-57
Oddział w Bydgoszczy, Dąbcowa 54, tel. 33-13 Biura czynne od 8-15, w soboty od 8-13

Asygnaty kasowe na okaziciela
książeczki wkładkowe
o charakterze celowym płatne w 200 placówkach

Banku Gospodarstwa Spółdzielczego
zapewniają bezpieczeństwa i tajemnicę
Oddział Wojewódzki B. G. S. w Poznaniu
ul. ARMII CZERWONEJ nr 12

F-a ANTONI MAGDZIAREK
Hurtownia Cukrów i Czekolady
POZNAŃ — ŚW. MARCIN 63
Telefon 41-37
poleca wyroby znanych firm

Od Administracji
Przy ogłoszeniach stałych i seryjnych udzielimy 50% rabatu.

WSZYSTKIM NASZYM DOSTAWCOM I ODBIORCOM SKŁADAMY SERDECZNE ŻYCZENIA

Zdrowych i Wesolych Świąt oraz Dosiego Roku

Spółdzielnia Spożyców „JEDNOŚĆ” z o. u.
w Poznaniu, ul. Dąbrowskiego 83-85 tel. 3389

FABRYKA CUKRÓW, KEKSÓW I PIERNIKÓW
Spółdzielnia Spożyców „JEDNOŚĆ” z o. u.
w Poznaniu, ul. 27 Grudnia 5 tel. 1652

PIEKARNIA MECHANICZNA
Spółdzielnia Spożyców „JEDNOŚĆ” z o. u.
w Poznaniu, ul. Marszałka Focha 175 tel. 6794

PANI
PANI
PANI

Wytworną bieliznę damską oraz wszelkie wyroby
dziane ze specjalnym działem dziecięcym

POLECA FIRMA „PANI”
POZNAŃ, SEW. MIELŻYŃSKIEGO 8 • TELEFON 39-85



Lampy

żarówki, baterie oraz wszelki sprzęt elektryczny,
także żelazka, kuchenki, zegary elektryczne

poleca: **kupuje:**

St. Duchowski i Ska
Poznań, Miełżyńskiego 16 tel. 3226

W. SZULC
POZNAŃ, PLAC WOLNOŚCI NR 5
TELEFON 46-26

JUBILERSTWO
ZEGARMISTRZOSTWO
ZŁOTNICTWO

SZTANDARY

Chorągwie, proporczyki, paramenta
kościelne

570 **IRENA SZALOWA**
Poznań, ulica Szkolna nr 3

„Bałtyk”

Wędzarnia Ryb

i Wytwórnia Konserw i Marynat

w Poznaniu, przy ul. Kantaka 7
Tel. skład 27-83

poleca: żywe i wędzone ryby
konserwy, marynaty
inne artykuły rybne.

HURT DETAL

Przeróbki maszyn
do pisania na układ polski oraz fałdowe
naprawy wszelkich maszyn biurowych
wykonuje **ReMa Maszyny Biurowe**
W. CZAJKA i Ska
Poznań, Św. Marcin 5, tel. 44-07
ZAKUP 566 SPRZEDAŻ

Zdrowych i Wesolych Świąt oraz Dosiego Roku
Klienteli i Gościom życzy

Cukiernia „CRISTAL”

ST. KĘDZIORA

Poznań, ul. Kantaka nr 5 • Tel. 40-19

Maria Hirsz - Langerowa

Wykwintna galanteria damska i męska
BYDGOSZCZ

ALEJA 1 MAJA NR 33 Telefon 24-50



Do P. I. Kupców

Ku uwadze: zawiadamiamy,
że z początkiem grudnia
pojawiły się znów na sładzie
niezawodne proszki do pieczenia

ze znakiem ochronnym „Babka”

HURT

DETAL

Na Święta Bożego Narodzenia
polecamy

wina - likiery - wódki

przyprawy do pierników, proszki do pieczenia (gwarantowane), olejki, cukry
wanilin., budynie, sliwki suszone, owoc, grzyby, soki, dzemy, herbatę,
mydła toaletowe, pastę do butów itp.

SKLEP 1 - UL. BUKOWSKA 1., tel. 74-43

wina - likiery - wódki

SKLEP 2 - UL. DASZYŃSKIEGO 50, tel. 42-28

Spółdzielnia Spożyców Pracowników Skarbowych
z odp. udz.
w Poznaniu

Okucia budowlane i meblowe narzędzia oraz
armatury piecowe

zakup **Hurt Polski** sprzedaż

POZNAŃ, WROCŁAWSKA 14 • TELEFON 28-88

ŹRÓDŁA ZDROWIA NA POMORZU ZACHODNIM

leczą

POŁCZYN-ZDRÓJ

Sezon całoroczny

schorzenia reumatyczne, artretyczne ischias, choroby kobiece, posiada źródła wód
szczawożelazistych, kąpiele borowinowe, kwasowęglowe, igliwiowe, zabiegi fizyko-
terapeutyczne.

KOMUNIKACJA KOLEJOWA przez Świdwin do Szczecina i Gdańska-Gdyni
oraz przez Grzmiącą do Bydgoszczy, Torunia, Poznania, Łodzi, Warszawy i Katowic.

TRZCIŃSKO-ZDRÓJ

kąpiele borowinowe — sezon całoroczny

KĄPIELISKA NADMORSKIE:
DZIWNA, CHORZEWO, MIELNO, MIĘDZYWODZIE, MIĘDZYZDROJE, NOWA
WIEŚ, POBURÓW, POSTOMINO (USTRA), ŚWINOUJSCIE, UNIESTY, USTRONIE
NADMORSKIE, ZŁOTBRZEG.

Warunki pobytu: W zdrojiskach pokój z całodziennym utrzymaniem i zabiegami
borowinowymi, od 250 złotych do 320 złotych za dobę, w kąpieliskach 250 złotych.

Chorzy - przyjeżdżajcie na kurację! Sportowcy i turyści - poznawajcie stare **PIASTOWSKIE POMORZE**



ZACHODNIOPOLSKA SPÓŁKA PAPIERNICZA
M. DERDA · W. MAŁACHOWSKI · E. SPRINGER · SP. Z O. O.

POZNAŃ, UL. ROOSEVELTA 19
(dawniej ul. Jasna przy moście Uniwersyteckim)
Telefon 70-54 i 70-39

dostarcza:

papier, tekturę, duplekisy, materiały piśmienne i wyroby przemysłu przetwórczo-papierniczego, artykuły introligatorskie i graficzne

Dom Sanitarny

POZNAŃ, UL. SEW. MIELŻYŃKIEGO 19 • TELEFON 29-25

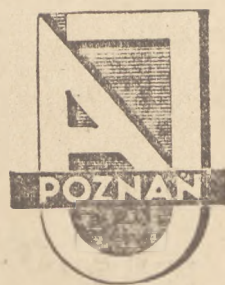
INSTRUMENTY CHIRURGICZNE • MEBLE DO SAL OPERACYJNYCH • ARTYKUŁY LEKARSKIE I DO PIELEGNOWANIA CHORYCH • PASY BRZUSZNE • BANDAŻE

ZDROWYCH ŚWIAT DOSIEGO ROKU

składa życzenia Bywalcom oraz Gościom mego lokalu

Cukiernia K. KRZYŻANIAK
POZNAŃ, UL. RATAJCZAKA 15
w PASAŻU APOLLO
Tel. 29-24

HURTOWNIA PAPIERU ARTYKUŁÓW PIŚMIENNYCH I POLIGRAFICZNYCH



ALEKSANDER JAKUBOWSKI

POZNAŃ, — Aleje Marcinkowskiego 20

Telefon 38 72 i 38-73

(Dom Poczłowca)

Oddział: w Szczecinie, ul. Małkowskiego 26 — Telefon 548

Najlepsza i naprawdę...



Poznań, Al. Marcinkowskiego 7, tel. 43-23, 21-04, 44-85

Na św. Mikołaja

poleca różne niespodzianki

firma

Kazimierz Żniński

WROCŁAWSKA NR 10

Pieczywo — Ciastka — Cukierki

563

Wesołych Świąt Dosiego Roku

milym gościom i sympatykom mego lokalu śle

PROBIERNIA ANTONI GOLAR

Poznań, św. Marc'ina 77

24

Hurtownia bielizny damskiej i dziecięcej

BOGDAN WIESE I SKA

Poznań, ul. 27 Grudnia 161 p. tel. 2088

68

Wszystkim swym odbiorcom i dostawcom składa życzenia Gwiazdkowe i Dosiego Roku

firma

"Bon-Ton"

GALANTERIA MĘSKA
POZNAŃ, 27 GRUDNIA 7

WSZYSTKIM odbiorcom i dostawcom składa życzenia Zdrowych i Wesołych Świąt oraz Dosiego Roku

Firma A. KOSZEWSKI
Poznań, Stary Rynek Tel. 35-64

23

IDASZAK i WALCZAK

Elektro i Teletechnika
Poznań, Św. Marcin 18 Tel. nr 34-59
565 poleca
Sprzęt elektro i teletechniczny
Warsztat napraw aparatów radiowych,
oraz wszelkiego sprzętu elektrycznego

99 ROMA⁶⁶

WYTWÓRNIA CUKIERKÓW

POZNAŃ, ul. Maszalarska 7a

Rok założenia 1919 Tel. 29-77

POLECA
SŁOJE ZNANE PIERWSZORZĘDNE WYROBY

Wszystkim dostawcom i odbiorcom zdrowych i wesołych Świąt oraz Dosiego Roku

7

Wesołych Świąt i Dosiego Roku

życzy swym Odbiorcom i Dostawcom

M. WOŚ

HURTOWNIA CUKRÓW I CZEKOLAD
POZNAŃ, 23 LUTEGO 1 • TELEFON 32-12

35



Szanownym

Kupcom i Konsumentom przy wspólnym łamaniu oplatka zasylam

życzenia gwiazdkowe i Dosiego Roku

Firma

BABKA!

Poznań, ul. Różana 12 Tel. 26-00

27a

Hurtowa sprzedaż

wyrobów papierowych — artykułów piśmiennych — przyborów szkolnych wszelkiego rodzaju opakowań cukierkowych do maszynowego i ręcznego zawijania

Projektowanie wszelkich opakowań

SKÓRA i SKA

Poznań, Stary Rynek 98-00 Tel. 32-81

Ktokolwiek wiedziałby o losie Wdziękońskiego Jana, prosi rodzina o nadesłanie wiadomości do Redakcji „Polski Zachodniej”, Poznań, Chelmońskiego 2. 45

Zdrowych, Wesołych Świąt i Dosiego Roku

Gościom oraz Sympatykom mego lokalu życzy

ST. HEYDUCKI - Restauracja
POZNAŃ, Al. Marcinkowskiego 28
TEL. 30-76 12 TEL. 30-76

Zakład Ortopedyczny

7. Lachowicz
Bydgoszcz, Al. 1 Maja 22, tel. 19-41
Protezy nóg rąk, aparaty ortopedyczne, gorsety ortopedyczne, podkładki pod chore stopy, pasy przepuklinowe i lecznicze, obuwie ortopedyczne 561

WIELKOPOLSKA HURTOWNIA ARTYK. KOSMETYCZNYCH

POZNAŃ
ARMII CZERWONEJ 2
HOTEL BRITANIA 30



Hurtownia Cukrów i Czekolady
"Wisła"
Poznań
ul. Czerwonej Armii 7
Telefon 10-61 13
Hurt Detal

ZDROWYCH I WESOŁYCH ŚWIAT oraz DOSIEGO ROKU życzy

WARSZAWSKI DANCING - BAR
POZNAŃ, ulica 27 Grudnia 10 TELEFON 40-35



Kto chce wiedzieć, co się dzieje w Niemczech

niechaj zaprenumeruje „Polskę Zachodnią“ dla siebie, dla krewnych i znajomych. Tygodnik nasz drukuje rewelacyjne, na oryginalnych źródłach oparte materiały, nie publikowane w żadnym innym piśmie polskim.

„Polskę Zachodnią“, która kosztuje miesięcznie tylko 25 zł, zamawiać można w każdym urzędzie i agenturze pocztowej na terenie całej Polski.

Traktat pokojowy z Niemcami wejdzie niebawem na warsztat polityki międzynarodowej. Sprawa ta jest również dla nas problemem ogromnej wagi o doniosłości. Stojąc niewzruszenie nad Odrą, Nisą Łużycką i Bałtykiem — Polska musi wziąć udział w rozmowach na temat przyszłości Niemiec.

Wchodzimy przeto w przełomowy okres dziejów.

„Polska Zachodnia“ czujnie i uważnie śledzi wszystko, co się dzieje na terenie Niemiec. Dlatego też w każdym polskim domu winno znajdować się nasze pismo.



HOOTCHY-KOOTCHY is danced before inmates by an SS girl who was propagandist in India. She made brassiere from tin foil in cigaret wrapper

Hootchy-Kootchy, taniec indyjski wykonuje przed lokatorkami obozu dziewczyna z SS, która była propagandystką w Indiach.

NAZI WOMEN

They talk up Hitler and put on weight in U. S. interment camp



BUNKROOM GOSSIP is a popular activity. Less notorious individuals, released at rate of six or seven a week, are given bunk parties before leaving

Plotki obozowe są najulubiejszym zajęciem. Dla pomniejszych „wielkości“, z których tygodniowo 6-7 wpuszcza się na wolność, urządzane są poprzednio wieczory pożegnalne.

„Cała różnica to ciemniejsze pończoszki?“

Czytaj artykuł na str. 5



SPACERING in small groups is the chief diversion. A U.S. soldier escorts any group of U.S. or Polish, single fraternizing with these women.

Spacery w małych grupach stanowią główną rozrywkę. Każdy strażnik, Amerykanin czy Polak, otrzymuje 15 lat więzienia, jeśli zostanie przychwycony na „fraternizacji“ z tymi kobietami.

RAU KOCH, notorious sadist, sits for a portrait. Wife of former Buchenwald commandant, she made lamp shades from skin of men she ordered killed.

Frau Koch, osławiona sadystka, pozuje do portretu. Jako żona b. komendanta Buchenwaldu, robiła abażury do lamp ze skóry ludzi, którzy na jej rozkaz zostali zamordowani.

Niemcy okupowane 1946 r.

Styczeń 1946 r. — Wybory samorządowe w strefie amerykańskiej. Zwycięstwo chrześcijańskiej demokracji i socjaldemokracji. Wznowienie procesu w Norymberdze.

Luty-marzec. — Fabryki niemieckie osiągają produkcję przedwojenną w wielu dziedzinach przemysłu.

Kwiecień. — Niemcy domagają się udziału w Sojuszniczej Radzie Kontrolnej. Amerykański plan niemieckiej Rady Mi-

nistrów. Partie bloku demokratycznego protestują przeciw odłączeniu Nadrenii i Zagłębia Ruhry od Niemiec. Fuzja KPD i SPD w strefie sowieckiej. Nowe stronnictwo SED proklamuje jedność i niepodzielność Rzeszy.

Maj. — Atak Churchilla na zachodnie granice Polski. Niemcy terroryzują ludność łużycką. Wybitna pomoc anglosasów w utrzymaniu dotychczasowych racyj żywnościowych w Niemczech.

Czerwiec. — Rozszerzanie samorządu niemieckiego w brytyjskiej strefie okupacyjnej Niemcy wołają o przemysł wojenny. Socjaliści austriaccy domagają się zniesienia okupacji Austrii.

Lipiec. — Współpraca młodzieży angielskiej z młodzieżą niemiecką. Olbrzymi rozwój prasy niemieckiej. Szereg nowych koncepcyj ze strony anglosasów.

Sierpień. — Dr Schumacher domaga się „scalenia Niemiec“ i atakuje granice Polski.

Wrzesień. — Proniemieckie stanowisko Byrnesa w sprawie zachodnich granic Polski (mowa w Stuttgarcie).

Październik. — Przemówienie proniemieckie W. Churchilla w Zurychu. Wyrok na przestępców w Norymberdze. Kościół ewangelicki w Niemczech występuje przeciw Polsce. Wybory samorządowe w

Berlinie triumfem czynników antypolskich.

Listopad. — Wzrost propagandy antypolskiej, uprawianej przez wszystkie partie niemieckie.

Grudzień. — Wizyta dra Schumachera w Anglii. Wstępne obrady nad traktatem pokojowym z Niemcami.



Lokatorki żegnają wesoło kilka swoich towarzyszek, które zostały wypuszczone na wolność.



SOLITARY CONFINEMENT in female concentration camp prison is medieval. Even for 24-hour shifts in solitary in bread and water.

B. dozorczyńni obozu koncentracyjnego w Ravensbrück uśmiecha się zamknięta w celi pojedynczej. W pierwszych trzech dniach aresztu pożywienie składa się z chleba i wody.

Redaktor naczelny Bohdan Danielewski przyjmuje od godz. 10-12. Redakcja i Administracja ul. Chelmońskiego 2, czynne od godz. 8-15. Tel. 68-22. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Za niedostarczenia pisma, spowodowane siłą wyższą, nie odpowiadamy. Prenumerata miesięczna 25 zł, kwartalna 75 zł.

CENNIK OGŁOSZEN. Ogłoszenia: za 1 mm szpalty szer. 54 mm — 36,— zł, w tekście 100% drożej. Ogłoszenia drobne do 10 słów 50,— zł, za każde dalsze słowo — 10,— zł. Słowo tustym drukiem podwójnie. Wszelkie wpłaty należy kierować na k-to PKO V 42-28